



<p>Logotyp</p> 	<p>Nazwa instytucji</p> <p>Muzeum Ustrońskie</p>	
<p>Tytuł jednostki / publikacji / fotografii Zaranie Śląskie, rok XIV, zeszyt 3</p>		
<p>Ilość stron oryginału 72</p>	<p>Ilość skanów 72</p>	<p>Liczba plików publikacji 147</p>
<p>Autor Red. Lutman Roman,</p>	<p>Wydawnictwo / zakład fotograficzny Organ Instytutu Śląskiego w</p>	<p>Skan okładki</p>
<p>Miejsce wydania Cieszyn</p>	<p>Rok wydania / Data powstania 1938</p>	
<p>Sygnatura ---</p>	<p>Rodzaj zasobu (np. zdjęcie, czasopismo itp.) kwartalnik</p>	
<p>Wymiary (wys x szer) 23,5 x 19,5 cm</p>	<p>Stan zachowania ---</p>	
<p>Hasła przedmiotowe (okres historyczny, postacie, miejsce) Śląsk Cieszyński w okresie międzywojennym, kultura, historia i twórczość literacka Śląska, Beskid Śląski, Ustroń, Lipowiec, Golezów, Wisła, Józef Jakubowski, Jan Wantuła.</p>		<p>Charakterystyka skanowanego obiektu Publikacja jest kwartalnikiem, wydawanym z przerwami w latach 1907-1992. Prezentuje artykuły związane z historią i kulturą ludową Śląska oraz prace literackie i sceniczne miejscowych twórców, dotyczące tematyki Śląska i Beskidów, a nawiązujące do motywów kultury ludowej. Zawiera materiały etnograficzne zebrane w terenie. Niniejszy numer obejmuje opis historii kościoła katolickiego w Wiśle w analogii do kościoła w Lipowcu na tle rozwoju parafii ustrońskiej i goleszowskiej oraz opis zwyczajów wielkanocnych Śląska, a także opracowanie dotyczące walki z alkoholizmem, w którą szczególnie zaangażowany był Jan Wantuła</p>
<p>Hasła tematyczne (np. miasto, przemysł, kuznia, letnicy itp.) Historia kościoła katolickiego w Wiśle na tle rozwoju parafii w Ustroniu i w Golezowie, zwyczaje i wierzenia wielkanocne na Śląsku, walka z alkoholizmem na przełomie XIX i XX w.</p>		
<p>Prawa autorskie ---</p>		

ZARANIE ŚLĄSKIE

R. XIV BYTOM, CIESZYN, KATOWICE, ORŁOWA — MAJ i CZERWIEC 1938 Z. 3

Julian Przyboś

Linie i gwar

1.

Z między, zaczynającej się zielono tuż za furtką i wpadającej wzniesioną pochylnią wprost w błękit, dwaj rozbiegani malcy wzbijają pokrzykując latawca. Długi, złotopomarańczowy ogon zawija w tej chwili nad rdzawym ziemniaczyskiem, które, pozabawione nagle gruntu, opiera się o obłok; obłok wysuwa się ze skraju; jest lekki i smukły jak pióro. Dwie tarcze, dwie zadarte plamy słoneczne, porywa papierowy ptak, i gdy odwrócony od ich triumfalnych okrzyków otwieram drzwi pokoju, czuję jeszcze ten wzlot jak niesie się nad moją głową, startuje pod sufit, i wzmożony o pięć pionów czerwieni, wścickłym zawijasem przerzuca się nad kominami domu. Wtedy wystarczy otworzyć okno, by jeden nieboskłon zsunął się na drugi — i czekać, nim ten olbrzymi niebospad, zastygły — napieryany promieniami słońca, lunawszy, uderzy o krawędź wzgórz półokolnych.

Wychylam dłoń. Spod okna kłonią się ogrody, ich czuby widać coraz niżej jak głowy kłękających, ozienione domki zatrzymują się nad brzegiem. Ustępują miejsca przestrzeni niewidocznej dla oka, ale pamiętanej jak płaszcz, który zrzuciło się z ramion. To park miejski rwie liściastą chmurą w głąb, nad Olzę, w ciemnozieloną dolinę. A już do połowy okna, nad najbliższymi dachami, podnosi się i odkreśla widnokretem przeciwległe wzgórze: równe i nie-

zatrzymane niesie oddal od lesistej smugi Cierlicka po —

Nawykiem do tego odrysu ziemi od nieba w powietrzu, jak do własnej brwi oglądanej w lustrze. Brew z lewej stroay obniża się ku rozległej dolinie; w głębi, na dalszym tle, wylatują z niej — wielołukowym poderwanym lotem sojki — góry zielone, sine i liliowe; uryw pasma Beskidów.

Pisząc go, szukam nazwy dla wysokiej polotności tego widzenia: skrzydlaność? skrzydłonosz? — gdy wpada mi w słowo rozciągliwy przyśpiew i zamyka myśl:

— Jeendrysku kandy...

W najdalszym zasięgu spojrzenia żarzy się chmurny kłąb nad Jaworowym i Ostrym. Bliskie drzewa ulicy, uszczywnione jak słupy, nie nadążają lotowi żrenic, dalekie nieregularne uskoki gór łamią się, wikłają i dymią. I oto dymi pociąg wiozący mnie po raz pierwszy do Cieszyna.

— Jeejjku, to szumny drak!

Wyrazy są prostackie, śmieszny germanizm drapie mi ucho, ale w przyświadcującym przyśpiewie, w zachwycie sylab, w przecięciach słów słyszę tę najwyższą lotność, której szukam w wierszach.

2.

Obracam pióro w palcach. Dziewięć lat mija od mojego przyjazdu na Śląsk.



Bure niebo, załadowane rozwlekłymi szeregami wózków ciągnących wysoko na linach, rozsunęło się swobodniej nad lokomotywą, dymiąc. W dymie, nad szczękiem wysterkniętych dźwigarów (pamiętam ja, czy tamten wieczór pamięta mnie?) prze-walało się mglisto rude słońce przedwieczorne. Ziało po zgrubieniach kominów. U dołu podpałała je ognista szlaka wylanego kruszcu; dziobali w niej osękami, tryskali iskrzastym ogniem, broczyli zetłalymi cieniami: czarni, opłomienieni ludzie w kaszketach odżaru.

...Za oknem mijają czarne, kurzące hałdy, brudnożółte usypiska, jamy ropiejące w splugawionej ziemi. Pejzaż — straszliwie brzydki — dogorywa.

Wzmagam się w czterech płaszczyznach spajanych śrubami na moc. Miażdżąca dotykalskość natłoku żelaza nie opuszcza mnie. Po obu stronach toru to rozściela się to stoży rozprażony rozruch maszynowy. Piryamida mechanicznych szkieletów. Jelita machin wywleczone na ulicę. Wzmagam się, bijący rytm pędu roztlukuje słowa, rozpryskuje za oknem drzewa, iskry szpilkowe... Krąży obcy, niezrozumiały, monotony gwar.

— Pjeroński! gorole! smyrajom! po wszystkie! Gnädige, wiederholen Sie... Zgłoski wtarły się w rytm, i choć raz wraz powtarzałem zawzięcie: Zamiast słów użyję wozu, wozu! wozu!

rytm cienko dźwięczał: i-er-o-el? ...i-er-o-el? ...Kołowałem po raz setny obok wyrazów, które były tak niezależne i samoistne, tak wyzbyte ludzkiej słabości, jak obiektywny kształt wydłużonej szyny trwającej podę mną. Kołowałem po raz setny pierwszy... I podczas gdy odbłask lamp kładł wielokrotne źrenice na wydłużone oka stawów migających za oknami, na rozrzucone kształty drzew, na smugi pól, gdy odrętwiały od wysiłku, układając, wsłuchiwałem się w gwar —

Domyśliłem się nareszcie tego prawdziwego wiersza, który

...wie der Vogel singt.

Był to ptak na rusztowaniu, gałąź wśród czynnych kominów.

3.

Gdy wysiadłem, zaskoczyło mnie: nie ja, lecz wieczór przybył bez mnie do celu.

Od stacji ścieżką owachlowaną drzewami pod górę. Na wprost — ratusz w mżeniu lampy, nie wzbijał się i wznosił — przystanął. Gdzie zaczyna się wzrost wieży, błękitno-złoty pęk: herb. Na iglicy podwierzzonej orzełkiem i blaszaną chorągiewką — migotało. Gwiazda. Rozlegało się głębokie, pełne niebo.

Nabity niedawnym ruchem maszyn i słów uczułem, że spokój i łagodność perspektyw są chwilowe i złudne, że jedno słowo wymówione spowoduje tu jak w poemacie wybuch. Nie dowierzałem milkiwemu rynkowi, podejrzewałem zabawne, miłe domki z podcieniami. Aż nocą spod tych domków karcianych, spod schematycznych rysunków dzieci zawałał się jak kołyska pośpiew:

Nie będę, nie będę
u Pustówki służyć
...tu nie dają ...dają
wesołości
u...

Wtedy zrzuciłem z siebie ukuty ciasny pancerz. Ucho przymknięte do poduszki odetchnęło. Zdjąwszy z piersi sklepienie z żelaza, u — za — wesołości — zawieśni — zaśniłem.

4.

...Hnet ...isty doma... grondol... gruch... Mamrotanie, gadanie — gadanie, prawienie, gwara. Pilniejsza niż znajomość żywych ludzi jest znajomość mówionych słów. Niech szumi ten obszerny gwar nieogładzonego bełkotu, niech chrobot o ucho ordynarny mruk, niech łomocze dudnienie, niech huczy hydr. Z grubego rozru-

chu mowy wyciągnąć jak linę prostą i jasną jedno zdanie, drugie zdanie, swoje zdanie. Tak odbija się język poetów od mówiącego ludowiska, tak wznosi się ponad poziom bezkształtnego szumu, tak oddycha falami bełkotu...

Tak. Śląsk widzę i słyszę zarazem. Uliczki Cieszyna są odrzewione jaworkami. Wieczorem, gdy ogrody poprzęsadzają zaułki dalekie, przechadzać się nimi można, nie odróżniając. Można zejść do cichych zakątów, aż do gniazd, gdzie milknie echo tego języka, który w najczystszych swych rejestrach.....der in den Zweigen wohnet. Wo? Echo powiedzie, gdzie jego znikliwy ton rozdziwił wabliwiej i wyżej: w szczeniocie kilkorga dzieci unter dem Schubert-Denkmal! A w koło — szeroko po rynku, na placach, na boiskach, po ulicach, korytarzach rozlega się zwyczajnie szorstka w kształcie, a dobrotliwa w intonacji gwarra, gwar.

5.

Gładka tafla słów książkowych jest nieruchliwa i uroczysta. Trzeba nastawić ucho na grube klekocące wargi: trzeba posłyszeć, jak wzburzona słowem twardym jak kamyk głębia książkowa dobrzmiewa i gra; jak w jej brzmienie, poprzez bełkot, zaczyna się inny, jedyny rytm. Wargi radzą, namawiają — irytuja, kamień za kamieniem pa-

da w gładzinę mowy, w połysk, gromada przegaduje cię, przekonuje, terkoce ostro...

...W Żorze nad Olzą posoł Tomek Mików barany, roz wyszły ku niemu z orstwi... (Tak opowiadały istebniańskie baby, w kabotkach, w szerokich fałdzistych spódnicach, ciemne, tylko z białym czepcem na czubie: jak jesienne kopki ściemniałego siana obielone na wierzchołkach pierwszymi gwiazdkami śniegu: baby — orstwie) ...dwie sotony i pytały go, by se z niymi potańcowoła, jak jedna ni mógła, drugo go chyciła i tak tańcowały z nim trzi dni, kiedy już miol nożyska po kolana zedrziłe, ściepały go z wysokigo brzegu do wody, niejedyn już gorol widziol tam w brzegu chłopa bez nóg... Wtedy właśnie, wbrew nieurodnej opowieści, usłyszałem nurt, mój nurt, rytm poematu „Oberek”.

6.

Za Olzą żywiol tej samej mowy kurczy się dziś po dziedzinach. W wędrówce ku Ostrawicy zagadnąłem starzika (a był to plebiscytowy uprhlik): — Wesolo tu u was? Odrzekł — Wiesioło... Lecz jego wnuk:

— Chodzę do sztwrty trzidy i dalej skakał po śląskiej gwarze szczudlastym czeskim akcentem jak człowiek bez nóg.

Poeta ludzkiej krzywdy

Tomik wierszy Pawła Kubisza „Przednówek” wzbudził powszechne zainteresowanie. Powodem swojego rodzaju zdziwienia stała się zarówno szata zewnętrzna wydawnictwa, jako też i osoba samego poety, znanego jedynie z kilku sympatycznych i oryginalnych wierszy, zapowiadających już jednak pojawienie się ciekawej indywidualności poetyckiej w regionie śląskim. Paweł Kubisz pracuje na Śląsku Zaolziańskim. Fakt ten należy podkreślić z uwagi na charakter jego poezji, zespolonej całą głębią natchnienia, rozmachem młodzieńczego patosu z atmosferą zagłębia karwińskiego i zadumą Beskidu. Niemniej jednak poezja jego stanowi dalsze ogniwo w rozwoju artystycznej produkcji poetyckiej całego Śląska i zajmuje tu pozycję trwałą jako rzecz o nieprzeciętnej wartości treściowej i formalnej.

Poezja Kubisza ma swój ciężar gatunkowy, swoją sugestywną moc. W pierwszej chwili działa przez grozę, ponurość, przynębiający w swym zewnętrznym wyrazie patos, który rozsiadł się wśród wierszy poematu i raz wraz rozsiewa tony żałobnego akordu:

Mgły sie pletom popod gory
Na szczochrane w cmawość bory...
Pod okapym beczom dziecka
Głodne smarki ze somsiadzka...

Pije Chachar — grej muzyko!
Północ w godzinach kuwiko;

Strzybno noc sie na świat dziwo
Jak w ciyrpieniu dusza żywo...

Śmierć sie zgibo, szurzy boki
Po grzebiyniu gębom smyko
Z jakimsi dziwnóm muzykóm...

Kolanami miesionc kopie
W pozłocónym gwieżdzie snopie...
Dziwajóm sie gwiozdy kolym

Śmierć sie chichrze nad padolým.
Spiom chachary, spi robota
Chodzi po świecie tęsknota
Lica biole mo z pajęczyn
Serce z bolu, lzy z udręczeń!

Tajemniczy, upiorny koloryt niektórych wierszy przypomina do złudzenia tło nastrojowe pierwszych ballad, albo grozę poematu Goszczyńskiego, w którym rozmawiają puszczycy, wyladowują się namiętnie instynkty, dyndają wisielcy i obficie leje się krew. W krwawe dygresje bogaty jest i poemat Kubisza (Był we Frydku, był grof srogi). Podobieństwo to jest uderzające tak w nastroju, jak i obrazowaniu, a przede wszystkim w technice stylistycznej, opartej na takich efektach, jak refren, onomatopeja, personifikacja, stopniowanie. Doprawdy można by słowami klasyka Morawskiego zarzucić Kubiszowi, że głosi „czułość tyłu zbójców i wisielców wdzięki”. O ile chodziłoby o określenie psychicznej organizacji zaolziańskiego poety, to jest on, wbrew temu, co się powszechnie twierdzi, raczej lirycznym, ani-

żeli epikiem. Postawa jego wobec przejawów zewnętrznego świata jest subiektywna. Zawartość emocjonalnej treści wyraża się w formie refleksji, pełnych smutku, rozżalenia, rozpacz. Powiedział swojego czasu Mochnacki, że liryce „czasem wiodą nas tam, gdzie jest ich wielkiego a samotnego ducha siedlisko, gdzie jest częstokroć lepiej, milej, bezpieczniej, jak na tym tu świecie”. Wiersz Kubisza błąka się po ziemi, napęczniał skargami ludzkiej nędzy i poniewierki, czai się nienawiścią, grzmi odwetem, buntem:

Wydłubej, wyszarpej zdna boleść i wyj,
Do pustki chwil naszych, zatarmoś, gwizdź, ryj!

Z trucizny i jadu — z otyrchłości dni
Wychluśnij poemat, zwrotkami się pnij!

Bunt w poemacie Kubisza wyrasta z dwu podstawowych elementów treściowych. Są nimi ucisk socjalny i narodowy. Pod tym względem „Przednówek” jest poetycką emanacją proletariackiego środowiska poety, emanacją, w której skupia się i koncentruje cała jego myśl, uczucie, pragnienia, całe życie, czy raczej tego życia przekleństwo. Bo przekleństwo ciąży nad całą bezwładnością, nad dolą i losem ludzi szarych, prostych, ludzi-kretach, o twarzach powykrzywianych beznadziejnością egzystencji, brutalnością zewnętrznego przymusu. Praca tu nie jest radością twórczego życia. Nie ma miejsca na zapał, poryw, entuzjazm. Jest gorycz, niezadowolenie, poczucie krzywdy, protest, bunt. Radość, o ile jest motywem poezji, jest ponura, złowroga (W Gutach jest muzyka). Ten dominujący nastrój poematu po mistrzowsku podchwycił malarz Franciszek Świder, dostosowując do niego ilustracje, wyraźnie, aż nazbyt wyraźnie uplastyczniające istotną treść poezji Kubisza. Zapowiedź ostrych akcentów socjalnych we wstępnym wierszu „Akordy” przewija się przez całą „Balladę o hawiryjskim Śląsku za Cieszynem” i cykl drugi poematu „Co to młody gorol prawil, jak się mu na śmierć niosło”, ujawniając się w poszczególnych wierszach to w większym to mniejszym natężeniem i s. 14.

Od pańszczyzny, od początku
Pomiatany z kąta w kąta
Chłop uparty, chłop jagniątko
Nosił w rękach cudzy rząd.

— — — — —
Cyckały mu pany krew,
Dziwoczyły go na słóge
Siły stracił, zgarbnył, zdech
Bronowali nim dość długo...

— — — — —
Cińczom karwacze — książe nas dynczy
W plóg nas zaprzągo — orze i włóczy.

— — — — —
Zgorzknył nóm owies w chlebie skiśniony
Skis!o nom życi pleśniom zgryzane...

— — — — —
Nic wóm herbowoł nie bydym —
Jyny smutek, jyny biyde
Jyny nasze pomiatani
Jyny to żywe konani!

— — — — —
Jyny to pluci nóm w gęby
Od każdego i zewszędy!
I tom boleść niemówionom,
W dusze, w serce wkorzyniönóm.

Po co mnożyć cytaty! Trzeba by było chyba przepisać dwie trzecie poematu. Naprawdę nie ma wiersza bez mocnych, goryczą napęczniałych wyrazów ludzkiej poniewierki i niedoli. Krzywda ludzka jest właściwym, treściowym Leitmotiwem zbioru i nie ma w tym żadnej przesady. W szczerzej poezji Kubisza odzywa się i krzyczy wielkim głosem poczucie moralne szarego człowieka pracy, deptane przez hipokryzję współczesnego świata, wybucha rozpaczą odczuwającą to zło serce, serce proletariatu, wołające o nową moralność. Serce — nie intelekt, ani wola. Młody poeta, nie ogarniający jeszcze dość konkretnie perspektywy społecznego zagadnienia, ustala raczej uczuciem aniżeli rozumem swój do niego stosunek. W splocie społecznych stosunków dzisiejszych nie widzi możliwości korzystnych dla pokrzywdzonego człowieka pracy „przekształceń”, ale sugeruje beznadziejność walki wobec przeważającej siły zewnętrznej.

Chcij sprawiedliwość, biydnyś i słaby!
Siła to wszystko... stępi cie, zmiele,
Chcóm cie mieć jyny pacholym, drabym...

Krzywdza rodzi nienawiść, nienawiść chęć zemsty. Dwa te negatywne czynniki życia społecznego wypuklił poeta szeroko.

Jo już kochać nic ni mogym
Nienawiść je dło mje bogym,
Nienawiść wielko jako gory
Nienawiść z rana, w wieczory.

Po długiej walce zaświtał wreszcie górnikowi i robotnikowi miraż wolności. Było to w r. 1918. Wśród nieopisanego entuzjazmu górnik zagłębia karwińskiego i robotnik trzyniecki zaczęli sięgać po nową przyszłość. Wykazali opanowanie, umiar, dojrzałość narodową. Kierunek wewnętrznej prężności, siły, rozmachu, a nawet częściowej rewolucji wytyczała nie doktryna, która przez długie lata służyła za odskocznię do walki o postęp socjalny, ale idea niepodległościowa, wyrosła z samozachowawczego instynktu tubylców i wiary w Polskę.

Polska przydzie... musi być
Jedzie z sinej dalekości
Prowde mówi, no... dyć... dyć,
Chodnik w wolność się już prości.

Niestety. Po dniach entuzjazmu rozpoczął się „nowy prolog”. Gorzkimi akcentami rozpaczy znaczy się pasmo poniżeń pod nowym panem. Liryczny rapsod na cześć „hawiryza Karła Klimsza”, wiersze „Dzień dzisiejszy”, „Epilog”, „Frydek — Opawa — Hłuczyn”, „Jutrznia w Gruszowie” odzwierciedlają wyraźnie psychiczne podłoże walki z tymi, którzy „serce w cichości zabili, miast ręki nóż chcieli podać”.

Oto dwa zasadnicze wątki myślowe zbiorku. Znamionują one poetę „burzy i naporu”, który nie osiągnął jeszcze ani tematycznie szerszego zasięgu problematów duszy ludzkiej, ani też ogarnął talentem ich całej głębi i pełni. Stałe powtarzanie się jednak tych samych treściowych postaci refleksji musiałyby doprowadzić do monotonii, gdyby nie sugestywna, intrygująca czytelnika forma. Epikiem w pełnym tego słowa znaczeniu Kubisz nie jest. Obrazy zlewają się u niego w jedną liryczno-rytmiczną frazę, bez wyraźniejszych odgraniczeń logicznych.

Odbiło się to w tych wierszach, które z uwagą na temat wymagają epicznego potraktowania. Sylwetki ludzi utonęły i rozlały się w kompozycji i refleksji. Wiersz „Hawiryz Karęł Klimsza” nie daje w całości najmniejszego plastyczniejszego rysu tej twardej postaci górnika, stąd wyobraźnia czytelnika nie chwyta go zupełnie. Taki temat jak „Rebelia goroli w Mostach” — należał par excellence dla epiki, nie mógł znaleźć właściwego wyrazu pod piórem Kubisza. Obraz obradujących nad rebelią górali zamknął poeta w kilku wierszach.

Zacupkały kroki, szuszcóm gałęziska
Jedyn, dwa, trzy cjinie... schodzom się goroli
Zaboczóno gębska, zacisle ręczyska
Dyć w lesie narada o prawa, o pole!

Zadnej wyraźniejszej charakterystyki! Nic więcej. Starcie dragonów z rebeliantami zilustrowane znów tylko w kilku wierszach, bez cienia plastyki. To samo można odnieść do tak charakterystycznych obrazków rodzajowych jak „Był we Frydku, był grof srogi”, czy „W Gutach jest muzyka”, w których przy świetnie podchwyconym nastroju całości brak wyrazistości akcji i ludzi. Usuwają się na plan dalszy, rzucane szkicowo, impresjonistycznie prawie.

Najpoważniejszym osiągnięciem formalnym poezji Kubisza — to gwara. Od chwili pierwszych poważniejszych przejawów twórczych w regionie śląskim kwestia użytkowania gwary dla celów artystycznych stała się aktualna. Rzucone i wałkowane w licznych dyskusjach pytanie, czy gwara śląska nadaje się jako tworzywo poetyckiej formy, starali się rozwiązać mniej lub bardziej udanie pomniejsi pisarze i poeci regionalni. Przykład Tetmajera i Orkana, którzy z całą świadomością wykorzystali w utworach bogactwo podhalańskiej gwary i doszli do niezwykłych efektów, działań. Morcinek w swoim bogatym dorobku powieściowym nie zdecydował się jednak na pełne wprowadzenie gwary, ale ograniczył się do jej umiejętnego stylizowania. Kubisz upoetycznił gwary i posłużył się całym zasobem jej bogatego

słownictwa. Obok rzadko spotykanej konsekwencji w zakresie fonetycznego brzmienia gwarowego uderza nas niezwykle rozmaitością form rzeczownikowych, przymiotnikowych, a zwłaszcza czasownikowych, które przeważają w ogólnej liczbie użytych wyrazów w najróżniejszych postaciach i odcieniach słowotwórczych. Czasowniki o tak wyraźnym zabarwieniu gwarowym jak ki-dać, żbluchać, czochnąć, gichać, charcząć, szklabić, ogibać, kulhaczać, dziwoczyć, cyc-kać, kuwikać, scypnąć, chechłać, dynczyć, szurzyć odżyły w poezji Kubisza i osiągnęły w rytmicznym kontekście pełnię plastyki i barwności. Formy gwarowe ujęte w tryby konstrukcji poetyckiej zespoliły się w spłoty sugestywnych obrazów, przenośni i wyrażeń. I dopiero w zakresie poetyckiego obrazowania, formalnego konstruowania językowych wartości do zasobów myśli i uczucia, możemy mówić o Kubiszu-epiku. Zużytkował on po mistrzowsku i wyzyskał jędrność i obrazowość gwarową, nie cofnął się nawet przed użyciem wyrażeń o brutalnym brzmieniu i zabarwieniu. Stąd takie przenośnie jak: noc sie w ciężkiej szychcie poci, kolanami miesionc kopie, charczy mi już krew po krtani, w groniach mamrzą stare roki, żduchają gębom łopaty itd., któ-

re zagęszczają tok poetyckiej frazy i zacieśniają barwę wyrażeń, jakby dobytých z arsenału epika.

Nawet przeciętny czytelnik, niepodatny zazwyczaj na działanie t. zw. poezji, unikający ostrożnie wierszy i spoglądający z pewną ironią na wszelkiego autoramentu poetów, nie odłoży tomiku wierszy Kubisza bez wrażenia. Świadczy to niezawodnie o tym, że mamy do czynienia z prawdziwą organizacją psychiczną poety, który doszedł do osiągnięć w ubogiej literackiej produkcji poetyckiej Śląska nienotowanych. Kubisz jest poetą środowiska. Jest to środowisko ludzi pracy o wielkiej różnorodności zawodowej i niespotykanej prężności społecznej. Ciężka walka o byt wyłobiła w duszach tych ludzi zdecydowane i mocne dyspozycje psychiczne, których nie zasłonią prawdopodobnie żadne brutalne chwytły i demoralizujące środki, które wysuwa dzisiejsza walka o niezależność na ich terenie. „Przednówek” nie jest dokumentem pesymizmu, ale dokumentem walki. Poprzez cierpienie i krzywdę — do wiosny!

Nad Olzóm, Odróm, Ostrawicóm
Wiosna sie budzi zdaleka!
Zaklasko burzóm, powichrzycóm
Łobudzi słóge — człowieka.

Zwyczaje i wierzenia ludu śląskiego w okresie wielkanocnym

Lud śląski, mimo że przez wieki całe pozostawał oderwany od polskiej Macierzy, wytrwale stał przy polskiej mowie, przy polskim stroju, pieśni i obyczaju i mimo wzrastającego coraz bardziej naporu niemieczyny pielęgnował wytrwale tą odziedziczoną po przodkach kulturę ludową i zachował ją prawie całą niemal do ostatnich czasów. Ta właśnie pradawna, rodzima kultura śląskiego ludu przyczyniła się w głównej mierze do przetrwania naporu niemieczyny i umożliwiła powrót części Śląska do Polski. W uchronieniu ludu śląskiego od narodowej zagłady dużą rolę odegrały jego wierzenia i zwyczaje.

Wiele z tych zwyczajów korzeniami swymi sięga tych czasów, kiedy Śląsk tworzył jeszcze jedną całość z Polską piastowską, a są takie, które sięgają nawet czasów pogańskich.

W ogromnej większości zwyczaje i wierzenia ludu śląskiego są podobne, albo nawet i te same, jak i w innych dzielnicach Polski. To ich podobieństwo jest najwyraźniejszym dowodem jedności całego naszego narodu, jedności jego pochodzenia i jego kultury. Z tego znaczenia polskiej kultury ludowej, polskiej pieśni, polskich wierzeń i zwyczajów zdawali sobie sprawę Niemcy, a widząc, że polskie zwyczaje ludowe przyczyniają się wybitnie do podtrzymywania pol-

skości Śląska i utrudniają jego germanizację, starali się te zwyczaje wytępić, ażeby usunąć wreszcie wciąż żywe dowody łączności Śląska z Polską.

Niewiele to jednak pomagało i lud śląski, nawet ta jego część, która uświadomienia narodowego nie miała, trwał przy dawnych swoich zwyczajach, pielęgnował je i wiele z nich dochował nawet do dnia dzisiejszego. I mimo tego, że wielkie zmiany zachodziły na ziemi śląskiej, mimo że znaczna jej część pokryła się lasem kominów i szybów kopalnianych, mimo ogromnego rozwoju miast i osad śląskich, do dnia dzisiejszego zwłaszcza wieś śląska wierna jest dawnym zwyczajom i wierzeniom.

A są to wierzenia i zwyczaje bardzo różnorodne, związane z całym życiem naszego ludu, z jego pracą i odpoczynkiem, jego smutkiem i radością, towarzyszyły mu i poniekąd towarzyszą po dziś dzień we wszystkich niemal okolicznościach jego życia.

Spośród wielkiej liczby ludowych zwyczajów na szczególną uwagę zasługują te, które są związane ze świętami, a więc z Bożym Narodzeniem, Wielkanocą, czy Zielonymi Świętami. Niektóre z tych wierzeń, mimo że na pozór są ściśle zespolone ze świętami chrześcijańskimi, są tak stare, że sięgają jeszcze czasów sprzed wprowadzenia chrześcijaństwa, a więc czasów pogańskich. Po wpro-

wadzeniu chrześcijaństwa stare wierzenia zostały związane z nową religią i z nowymi, już chrześcijańskimi świętami.

Posłuchajmy teraz o tych zwyczajach i wierzeniach śląskiego ludu, które są związane z okresem świąt wielkanocnych.

Najpierw należy tu wymienić te zwyczaje, które jakkolwiek nie należą do zwyczajów wielkanocnych, wprowadzają nas niejako w okres wielkanocny.

Pierwszym z tych zwyczajów jest tak zwany „babski comber”, czyli zabawa, urządzona przez kobiety i dla kobiet w ostatnim lub w przedostatnim dniu karnawału. Zabawa ta ma przebieg bardzo wesoły, gdyż biorące w nim udział kobiety wymyślają najrozmaitsze niespodzianki, a niekiedy nawet wcale złośliwe figle. Ma to miejsce zwłaszcza przy wprowadzaniu do swego grona młodych, w ostatnim karnawale wyszłych za mąż kobiet. Dawniej urządzało się „babski comber” zwykle w karczmie, obecnie, gdy karczmy straciły już dawny swój charakter, w gospodzie lub w restauracji. Trwa on zwykle aż do nastania środy popielcowej.

Obok „babskiego combra” drugim zwyczajem bardzo na Śląsku popularnym, jakkolwiek niezbyt starym, jest t. zw. „pogrzebanie basu”. Urządza się tę uroczystość, podobnie jak i poprzednią, w ostatnim dniu karnawału, we wtorek przed środą popielcową, a każdy niemal, młody czy stary, uważa za swój obowiązek wybrać się na tę uroczystość, która jest symbolem końca wesołych zapustów, a zwiastunem poważnego okresu postu.

W wymienionym więc dniu zbierają się ludziska, którzy pragną się trochę rozweselić, na jakiejś sali, aby przy dźwiękach orkiestry spędzić wesoło ostatni wieczór karnawału. Zabawa wre. Młodzież tańczy, starsi poważnie wypróżniają grube kufle piwa, lub zabawiają się śpiewem, czy opowiadaniem dawnych historyjek, związanych z karnawalem. Trwa to do godziny 11. O godzinie 11 pojawia się na sali uroczyście ubrany gospodarz zabawy, który głosem pełnym powagi ucisza zebranych i wzywa ich, aby wybrali

„wdowę”, gdyż zbliża się godzina śmierci starego, zmęczonego zabawami basu. To powiedziawszy, podchodzi do orkiestry i odpiną jedną z czterech strun basu. Młodzi tymczasem dokonywują wyboru wdowy, a zwykle zostaje nią najlepsza tancerka. Co 15 minut powtarza się scena odpinania struny, a nastrój na sali staje się coraz to poważniejszy. Wreszcie, punktualnie o północy, orkiestra ucisza się zupełnie, na chwilę nastaje całkowita cisza, którą przerywa nagle zgrzyt ostatniej struny basu. Wszyscy milczą, a na twarzach maluje się ponura powaga, gdy wtem przerywa ciszę płacz; zrazu cichy, niby kwilenie dziecka, później coraz bardziej przybierający na sile, by przemienić się w końcu w przejmujący, spazmatyczny szloch. To płacze wdowa po zgonie ukochanego męża „basa”. Wśród szlochu zbliża się powoli do miejsca przy orkiestrze, gdzie rozstrojony nieboszczyk — bas leży na czarnym suknie i ciągle szlochając, zaczyna jęczeć i narzekać, że straciła kochanego męża, który ją odumarł i zostawił na ziemi na nędzę i poniewierkę. Chwali go, jaki to był on dobry za życia i wzywa obecnych, ażeby mu oddali ostatnią przysługę. Kiedy wyrzekania i szlochy nieutulonej w żalu wdowy stają się coraz bardziej rozpaczliwe, zbliża się do niej gospodarz i tłumaczy, że nie ma o co właściwie płakać, gdyż zmarły mąż-bas był nicponiem, który tylko po knajpach siedział, nic nie robił, a tylko ją oszukiwał. Wdowa, rozwścieczona na nieboszczyka, rzuca się ku niemu, szarpie go i wzywa, a wreszcie powiada, że jeśli się jeszcze na drugim świecie spotkają, będzie go karmiła samymi śledziami. To mówiąc, wyciąga spod zapaski zawczasu przygotowanego śledzia i zwracając się do obecnych, mówi: „Tego śledzia za pokuta łostowcie w pamięci i niech wom sie cały post przy łobiedzie kręci”. Wtedy wszyscy ustawiają się parami za czterema czarno ubranymi młodzieńcami, którzy biorą bas, niby trumnę, na ramiona i obchodzą salę kilka razy dookoła, a kończą pochód przy bufecie, gdzie gospodarz częstuje wszystkich śledziami, przypominając im o zbliżającym

się poście. Na tym kończy się zwykle uroczystość „pogrzebania basu”.

Z tą chwilą kończy się karnawał, a nastaje smutny okres postu. Okres ten był dawniej czasem prawdziwej pokuty i wszelkich umartwień. Dużo o tym do dziś dnia lubią opowiadać starzy ludzie.

Ludzie starej daty wszelkie nakazy kościelne wypełniali, a często wypełniają je i teraz co do joty. Wszelkie oznaki braku powagi i płochości były i są w tym okresie surowo karcone.

Jedynym wyjątkiem w tym okresie skupienia powagi jest święto „marzanny”, przezywające barwnie i krzykliwie szary i smutny okres postu. Święto Marzanny obchodziło się dawniej wszędzie w 4 lub 5 niedzielę wielkiego postu, zwaną stąd niedzielą marzannią lub też „goiczną” od goika, jaki się w tym czasie obnosi.

Skoro nadejdzie ta „marzannio niedziela”, już od wczesnego ranka panuje we wsi ruch nadzwyczajny. Młode dziewczęta zbierają się u jednego z gospodarzy i wynoszą na ulicę goik, czyli niewielką, pięknie ustrojoną choinkę, obwieszoną jeszcze poprzedniego wieczora różnokolorowymi wstążkami, papierkami, kolorowymi skorupkami z jajek i różnymi łakociami. Wyszędłszy na ulicę, idą z goikiem wśród radosnego gwaru, śpiewając pieśni, z tą uroczystością związane. Najczęściej powtarzającą się pieśnią jest pieśń, zawierająca opis goika i trudu w jego ubieranie włożonego. Ma to na celu łatwiejsze zdobycie datku od osoby, której się to śpiewa. A więc:

*„Na naszym goiku malowane jajka,
Bo je malowała dobrowsko Kaczmarka.
Całą noc nie spała, jajka malowała.
Nasz goik zielony, pięknie przystrojony.”*

Zależnie zaś od tego, czy w domu, do którego z „goikiem” przyszły, jest chłopiec, czy dziewczyna, przypochlebiając się, śpiewają:

*„W tej tu sieni jest tu gnotek,
Jest tu dziewczę jako kwiatek.”*

albo znów:

*„W tym tu domu jest tu tyczka,
Jest tu synek jako świczka.”*

Za każdą zwrotką powtarza się refren:

*„Nasz goik zielony
pięknie przystrojony”.*

Gdy zaś gospodarz nie kwapi się z ofiarowaniem czegoś, ponaglą go do tego, śpiewając:

*„Dejcie, dejcie, co macie dać,
Nie będziemy długo czekać,
Bo nom dzień krucje,
Wiatr nom goj rozwieje.”*

A kiedy otrzymają podarunek, znowu dziękują za niego pieśnią:

*„Bóg wom zapłać tego podarunku,
Abyście nie mieli cały rok frasunku,
Co byście sie mieli
Jak w niebie anieli.”*

i znów refren:

*„Nasz goik zielony,
pięknie przystrojony”.*

Z goikiem chodzi się zwykle tylko przed południem. Po południu zaś obnosi się po wsi „Marzannę”, w niektórych wsiach obok Marzanny także i jej odpowiednika, „Marzanioka”.

Zaraz po południu gromadzą się chłopcy i dziewczęta zwykle w jakiejś stodole i ze słomy robią kukłę, jedną lub dwie, jeśli ma być i Marzaniok, które następnie przystraja się w najpiękniejsze „szatki”, jakie są we wsi. Tak ubraną kukłę osadza się na wysokiej żerdzi, po czym ruszają wszyscy w gwarnym pochodzie przez wieś, niosąc wysoko „Marzannę”. Od czasu do czasu przystaje pochód przed chałupami i śpiewa:

*„Dziwują się ludzie, co dziś jest.
A to dziś Marzannio niedziela jest.
Dziwują się starzy i młodzi,
A my wynosimy chorobę ze wsi.”*

Według bowiem wierzeń ludowych „Marzanna” jest uosobieniem śmierci i choroby, którą należy ze wsi wynieść. W innych znowu wsiach tłumaczy się ten zwyczaj tym, że Marzannę wynosi się ze wsi jako symbol kończącej się zimy, a w jeszcze innych, że wynoszenie Marzanny i jej topienie, to pamiątka czasów wprowadzenia chrześcijaństwa, kiedy to lud topił swe dawne bóstwa pogańskie.

Przejdźmy jednak do dalszego opisu. Pochód z Marzanną posuwa się przez wieś coraz dalej, orszak otaczający Marzannę coraz bardziej rośnie, rośnie też radosne podniecenie tłumu. Przyczynia się do tego wzrostu weselości i treść niektórych piosenek, które niekiedy są bardzo nawet złośliwe. Przechodzą np. koło mieszkania kobiety, znanej z długiego języka, orszak śpiewa:

*„Tu przed tym domem tabula,
Bo tam jest baba klachula”.*

Po każdej zwrotce powtarza się refren:

*„Marzanna rośla, aże urosła,
Aże urosła, jak sosna, jak sosna”.*

Po przejściu pochodu przez całą wieś, rusza orszak w pole do rzeki, lub stawu. Tutaj dziewczęta rozbierają Marzannę, a chłopcy Marzanioka, jeśli ten był i rzucają kukłę do wody.

Po utopieniu kukły uczestnicy co prędzej wracają do wsi, przy czym nie wolno im się w tył oglądać, aby przez to ponownie nie przynieść do wsi choroby.

W niektórych wsiach śląskich, jak np. w W. Dąbrówce, po utopieniu Marzanny i Marzanioka wraca się do wsi z goikiem, a wtedy młodzież śpiewa:

*„Wynieśliśmy Marzaneckę ze wsi,
A niesiemy latorośle do wsi”.*

Jest to zgodne z wierzeniami, że obchodzi się Marzannę na znak, iż skończyła się zima, a nastąpiła wiosna.

Tak to „marzannio”, czyli „goiczno” niedziela jest obchodzona po wsiach śląskich.

Jest to jeden z najbardziej charakterystycznych i najpiękniejszych zwyczajów naszego ludu. Jakkolwiek w ogólnych zarysach piękna ta uroczystość zgodna jest z tym, co tu opowiedziałem, to w szczegółach istnieje wielka różnorodność. Każda niemal wieś, każda osada ma swoje odrębności w pieśni i zwyczaju, stosowanym w „Marzanną niedzielę”.

Tymczasem Wielkanoc zbliża się coraz to bardziej, coraz niecierpliwiej też jest wyczekiwana.

Nadchodzi Wielki Tydzień, który rozpoczyna się Palmową Niedzielą. Z samą Niedzielą Palmową związanych jest szereg zwyczajów. W czas rano odświętnie ubrana młodzież, czy dzieci, idą do kościoła, gdzie święci się „palmy”. Palmy są to cienkie pęki gałązek i lodyg różnych roślin. Daje się zwykle do nich przede wszystkim gałązki wierzby, pokryte baziami, które nieraz na długo przedtem trzyma się w wodzie, ażeby jak najprędzej rozkwitły, dalej Boże drzewko, lyskę, rokitę, kruszynę itp. Palmy te zbiera się zwykle wstążeczkami i różnokolorowymi bibułkami i znosi się do kościoła dla poświęcenia.

Po poświęceniu dawniej ten, kto palmę do kościoła przyniósł, okładał nią drugich, ce niby miało być pamiątką biczowania Chrystusa. W związku z tym niekiedy jednak dochodziło do prawdziwych bitew i to często w pobliżu kościoła, toteż władza kościelna tego obijania się palmami zakazała.

W tej dawnej formie więc zwyczaj ten zanikł, nie zniknął jednak zupełnie, gdyż do dziś ten, co był z palmą w kościele, wróciwszy do domu, obija nią najpierw ściany domu i zabudowań gospodarczych, potem bydło i drzewa w sadach, a wreszcie domowników, aby wypędzić z nich wszelkie zło i grzechy. W niektórych okolicach gospodarz wyciąga z przyniesionej z kościoła palmy lyskę i rokitę i umieszcza ją na rogu zabudowań i na krańcach łąk i pól, gdyż mają one chronić zabudowania od piorunów a pole od gradu. Kokocynę zaś i Boże drzewko zostawia w domu zwykle za obrazem lub nad drzwiami

czy oknami, aby chroniła dom i jego mieszkańców. Gospodarz, pragnący swoje bydło uchronić od chorób, wrzuca do paszy kilka bazi, oderwanych od gałązek poświęconej palmy, a po obiedzie polykają bazię po kolei wszyscy członkowie rodziny, co ma chronić wszystkich od chorób, a w szczególności, ażeby nie zaszkodziło obfite jedzenie wielkanocne. Z Niedzielą Palmową związanych jest szereg wierzeń i podań, w które do niedawna wierzono po wsiach śląskich. Były to podania o skarbach tajemnych, ukrytych zwykle pod stuletnimi dębami, bukami i olbrzymimi głazami. Miejsca tych skarbów nie można było odnaleźć, a cóż dopiero je wydobyc z ziemi. Była jednak chwila, w której te skarby można było odkryć, a był nią moment Niedzieli Palmowej, w której, jak się na wsi śląskiej mówi, „organista wadzi się z farorzem”. — Jest to chwila, w której po procesji organista wchodzi do kościoła, zaś ksiądz pozostaje na zewnątrz, a następnie obydwaj na przemian śpiewają, co rzeczywiście wygląda na pozór tak, jakby się obydwaj ze sobą kłócili. W chwili, kiedy ksiądz uderza trzykrotnie krzyżem w bramę kościoła, otwierają się wszystkie tajemnie ukryte skarby i palą się na chwilę błękitnym płomieniem. Trwa to wszystko tylko przez chwilę tak krótką, że trudno jest dokładnie zauważyć miejsce, w którym płomień zakwitł. Chcąc więc skarby znaleźć, należy obserwować bacznie płomień i rzucić w niego z góry przygotowanym butem, albo choćby czapką, aby w ten sposób oznaczyć miejsce skarbów i głębokość ich położenia. Chociażby bowiem nawet ktoś ujrzał płomień, a niczym w niego nie rzucił, znalazłby wprawdzie miejsce zakopanych skarbów, ale zapadłyby się one tak głęboko, że nie byłoby ich można wydobyć. Natomiast gdy się rzuciło w płomień butem, zapadały się pojawiające się skarby na głębokość buta, kto zaś rzucił czapką, zapadały się na głębokość człowieka i w każdym razie łatwo można je było wtedy wydobyć.

Opowiadano sobie dawniej, że wielu ludzi doszło do majątku tym sposobem i nieraz,

jeśli się okazało, że ktoś we wsi jakoś zbyt nagle się wzbogacił, szeptano sobie wtedy na ucho, że musiał w Niedzielę Palmową odszukać tajemne skarby.

W okolicach Panewnik opowiadają sobie ludzie o pewnej kobiecie, która koniecznie chciała się wzbogacić przez zdobycie takiego skarbu. Kiedy więc przyszła chwila ukazywania się niebieskiego płomienia, trzymając na ręku 2-letniego synka, udała się do ogrodu, ażeby zobaczyć, czy nie pojawi się gdzieś płomień. I o dziwo. Tylko co wyszła, aż tu w ogrodzie roztwiera się ziemia, a w niej błyszczą wśród płomieni skarby niezmiernie. Pędzi do nich co tchu, nabiera część złota do fartucha, a nie mając czego innego pod ręką, kładzie dziecko koło skarbów i szybko biegnie do domu, aby skarby wysuć i przyjść po resztę. Kiedy podniecona wraca, staje jak skamieniała, gdyż skarby już się zapadły, a wraz z nim jej ukochane dziecko. Boleść matki była straszna, morze łez wylała i stała się tak nieszczęśliwa, jaką nie była nigdy dotąd, mimo swego ubóstwa. Przekonała się, że skarby szczęścia nie dały, że zdobyła wprawdzie złoto, ale straciła skarby o wiele większe, najdroższe dziecko. Znekana, udała się po radę do starego, mądrego proboszcza. Ten, po długim namyśle poradził jej czekać do następnej Niedzieli Palmowej. Czekala więc z rozpaczą i nadzieją w sercu, czekała znowu do chwili, w której „ksiądz z organistą będą się wadzić”. I doczekała się. Bo gdy ukazał się skarby, buchający niebieskim płomieniem, obok niezliczonych bogactw ujrzała swego synka, całego i zdrowego, pięknego. Z ogromną radością rzuciła się do swego dziecka i porwała go w swe ramiona, nawet nie spojrzawszy na bezcenne u jej nóg leżące bogactwa.

Po Niedzieli Palmowej wolno mijają dni Wielkiego Tygodnia. Smutno jest wtedy i cicho, gdyż lud śląski odznacza się wielką pobożnością i surowym przestrzeganiem form i przepisów kościelnych. Dopiero w ostatnich dniach przed świętami ruch w gospodarstwie śląskiego rolnika się wzmagają. Wszystko się

czyści, myje i przestawia, przygotowując dom na tak uroczyste święta.

W Wielki Czwartek zawiązuje się na wieży kościelnej dzwony, które od tej chwili zastępują drewniane klekotki. Odgłosy ich słyhać można nie tylko koło kościoła, ale i koło gospodarstw, gdyż chłopcy chętnie biegają z nimi koło domów. Te drewniane klekotki nie rażą jednak ucha w te dni, jakkolwiek w mieszkaniach zdejmuje się nawet wagi od zegarów, ażeby biciem nie zakłócały atmosfery powagi i skupienia. Post jest teraz przestrzegany aż do surowości, stosuje się go nawet do dzieci, które chodzą po domu na wpół głodne, a domagać się jedzenia nie mogą, gdyż za to jeszcze pasem oberwą, aby pamiętały, że w tym czasie wszystkim się umartwiać należy. W niektórych okolicach w Wielki Czwartek chłopcy wyszukują w domu wszystkie stare miotły, wynoszą je na dwór, zapalają i biegają z nimi po polu rzekomo na pamiątkę tego, jak żołnierze szukali Chrystusa w Ogroju.

Zaś wieczorem w Wielki Czwartek ojciec rodziny w otoczeniu domowników robi z poświęconej palmy krzyżyki, które następnie w Wielką Niedzielę po sumie wetknie w swoje pole.

W Wielki Piątek nad ranem, niekiedy już o godz. 3 spieszą wszyscy starzy i młodzi do najbliższego potoku lub stawu, aby się obmyć na pamiątkę przejścia Chrystusa przez rzeczkę Cedron, po czym wracają w milczeniu do domu. Niektórzy rodzice budzą rano swe dzieci, biją je po rękach, wymawiając słowa „Boże rany oplakane”, co znowu ma być pamiątką biczowania. Według dawnych wierzeń ludu śląskiego w Wielki Piątek czarownice odbywają swój kiermasz i wyprawiają różne harce. W nocy z Wielkiego Piątku na Wielką Sobotę można było spotkać czarownice, które kradły gospodarzom trochę gnoju i unosiły go do swych chlewów, a przez to rzucały urok na bydło, od którego ten nawóz pochodził. Przewidujący jednak gospodarz, chcąc uchronić swoje bydło od uroku, wnosił trochę gnoju wczas rano

w Wielki Piątek z powrotem do stajni, gdzie było bydło, wskutek czego czarownica traciła nad tym bydłem władzę.

Wielka Sobota jest dniem ostatecznych przygotowań do świąt wielkanocnych. Zaraz z rana udają się wszyscy na ceremonię święcenia ognia i wody. Każdy z wiernych, a w szczególności dzieci, pragną przynieść choć trochę popiołu lub niedopalonego ogarka, ażeby go następnie wrzucić w domowe ognisko.

Popołudnie dziewczęta poświęcają na przygotowaniu „kraszonek”, czyli pisanek. Kraszonki przygotowuje się zwykle w ten sposób, że najpierw np. barwi się całe jajko na żółto, następnie powleka się je woskiem i na tej woskowej pokrywie wydrapuje się igłą rozmaite desenie. Teraz wkłada się jajko do wody inaczej zabarwionej, np. na czerwono, a po wyjęciu jajka z wody usuwa się wosk i otrzymuje się tym sposobem żółtą pisanekę z czerwonymi deseniami. Oczywiście barwy i desenie można dowolnie kombinować. Od stopnia zdolności i przedsiębiorczości dziewczyny zależy piękno wyglądu pisanek. Barwniki do kraszonek wyrabiano dawniej wyłącznie w domu, posługując się ogólnie na wsi dostępnym materiałem, a więc z wygotowania łupin cebuli otrzymywano kolor żółty, z młodego żyta zielony, z kory olchy czarny itd. W ostatnich czasach coraz częściej używa się farbek kupowanych w drogeriach, albo nawet kalkowych odbitek, nieładnych i robiących wrażenie tandetnych. Oczywiście, że i zwyczaj malowania kraszonek ma też swoje uzasadnienie w podaniu ludowym, które powiada, że robi się to na pamiątkę tego, iż jakiś wieśniak, idący z koszem jaj na targ do Jerozolimy, pomógł Chrystusowi nieść krzyż, a Chrystus w nagrodę za to zamienił jajka w jego koszyku z białych na kolorowe.

Podczas gdy młodzież, a głównie dziewczęta, zajęta jest sporządzeniem kraszonek, gospodyni nie próżnuje, ale krząta się pilnie koło świątecznego pieczywa. Wśród tego pieczywa poczesne miejsce zajmują t. zw. „święcenniki”, to jest dwa pszeniczne chleby, naznaczone krzyżem.

Zbliża się Rezurekcja, chwila ważna i podniosła. W niektórych wsiach śląskich dochował się dotąd zwyczaj, że kiedy w Wielką Sobotę rozwiązuje się dzwony, gospodarz wychodzi z siekierą do sadu, aby ścinać to drzewo, które nie rodziło owoców w ubiegłym roku. W tej chwili, w której chłop zabiera się do ścinania drzewa, wybiega z chałupy gospodyni i prosi go, ażeby drzewa tego jeszcze nie ścinał, gdyż odtąd zaczniesz rodzić. Wierzy się bowiem, że po takim zabiegu drzewo rzeczywiście w roku przyszłym znacznie owocować. W innych znowu wsiach, gdy odezwia się dzwony na Rezurekcję, gospodarz wraz z gospodynią udają się do sadu, aby potrząsnąć drzewami, gdyż wierzy się, że to zapewni tym drzewom liczne i dobre owoce. Wieczorem, po powrocie z Rezurekcji, pakuje gospodyni do koszyka „święcenniki”, kielbasę, szynkę, jajka, chrzan itp., gdyż rano w niedzielę pójdą z tym wszystkim wystrojone dziewczęta do kościoła, aby dary Boże poświęcić. Przyniesione święcone obnosi się trzy razy dookoła domu, aby chleba w ciągu całego roku nie zabrakło. W niektórych wsiach święci się „święcone” w niedzielę, w niektórych robi się to jeszcze w sobotę rano.

W Wielką Niedzielę, skoro tylko suma się skończy, każdy gospodarz stara się jak najwcześniej wrócić do domu, wierząc, że przez to zboże na jego polu wcześniej dojrzeje i że prędko będzie je mógł zwieźć do sąsiedka.

Kiedy już cała rodzina powróciła po nabożeństwie, zasiadają wszyscy uroczysto do obiadu, z utęsknieniem wielkim oczekiwanego przez wszystkich, a zwłaszcza przez wygłodzoną długim postem młodzież. Obiad wielkanocny zaczyna się od ceremonii dzielenia się poświęconym jajkiem. Dzielenie się jajkiem odbywa się kolejno, a więc najpierw gospodarz z żoną, potem z dziećmi według starszeństwa, w końcu ze służbą. Przy dzieleniu jajka powtarza się w niektórych wsiach formułkę: „Jakbyś się stracił, to se ino przypomnij, skim żeś to we wielkanoc jójkiem się dzielił”. Zgłodniali członkowie rodziny z lu-

bością zabierają się do spożywania apetycznych zapasów święconego, a więc kielbasy, szynki i innych specjalów. Wszystko to smakuje w dniu tym nadzwyczajnie. Zanim jednak będzie mógł każdy dobrać się do święconego, musi jeszcze każdy spożyć trochę chrzanu, na pamiątkę, że i Chrystus był pojony żółcią. Resztki święconego dostają zwierzęta domowe.

W Wielką Niedzielę zwykle nie przyjmuje śląski gospodarz gości, ani sam nie wychodzi z domu, tak samo i pozostała rodzina, gdyż dzień ten jest uważany za zbyt poważny, ażeby wypadało gdzieś iść. To też panuje w domu zwykle nastrój pogodny, członkowie rodziny, a zwłaszcza starsi, skupieni koło siebie, opowiadają sobie o ważniejszych zdarzeniach, jakie się im w życiu przytrafiły, lub też ktoś starszy opowiada o tym, jak to było dawniej, albo też różne legendy i opowieści, a więc o skarbniku, o utoplcach, skrzatach i strachach. Tak upływa pierwszy dzień świąt. Mówiąc o pierwszym dniu, dodam jeszcze, że w niektórych wsiach np. w Kościeliskach na Śląsku Opolskim, istnieje ciekawy zwyczaj, wywodzący się jeszcze gdzieś z średniowiecza. Mianowicie po sumie zbierają się wszyscy gospodarze ze wsi na koniach i śpiewając pieśni nabożne, które przepowiada jeden z jadących na przedzie, udają się na pola. Tutaj po pewnym czasie wszyscy zsiadają z koni, przypinają im zielone gałązki, po czym wracają do wsi. Robią to w tym celu, aby sprowadzić na pola urodzaj.

Drugi dzień świąt, Poniedziałek Wielkanocny, w odróżnieniu od Wielkiej Niedzieli ma już zupełnie inny charakter. Jest dniem radości i wesela, upragnionym przez młodzież i jak gdyby dla samej młodzieży ustanowionym. Dzieje się to dlatego, że z dniem tym jest związanych szereg zwyczajów, przeznaczonych dla młodych. Już wczesnym rankiem można ujrzeć na ulicach wiejskich chłopców, uwijających się z bańkami pełnymi wody, polujących na dziewczęta, które, jeśli się im niebacznie pod rękę nawiną, zlewają tak dokładnie wodą, że suchej nitki na nich nie zo-

stawia. Jest to tradycyjny śmigus, albo śmirgus, czyli dyngus, znany na terenie całej Polski. Jak na naszych wsiach tłumaczą, śmigus ma być pamiątką tego, że żydzi, obawiając się, ażeby niewiasty, powracające od grobu Chrystusa, nie rozniosły wieści o jego Zmartwychwstaniu, rozpędzali je w ten sposób, że oblewali je wodą. Jakby tam z tą legendą nie było, wpływ jej widać choćby i w tym, że i dziś oblewa się przeważnie niewiasty. Za narzędzie do oblewania służy na wsi każde naczynie, a więc oblewa się wodą z garnuszków, flaszek, kubków i konwi. Młodzieniec, zalecający się do jakiejś dziewczyny, udaje się do jej domu, ażeby ją polać i otrzymać w zamian za to piękną „kraszonkę”. Niekiedy taki kawaler przychodzi wczesnym rano, aby oblać dziewczynę jeszcze śpiącą. Ta, jeśli wyczuje podobny zamiar, stara się go uprzędzić. Wstaje więc wcześniej, ubiera się i gdy niczego nie spodziewający się napastnik nadchodzi, wylewa mu wiadro wody za kark z zasadzki. Oczywiście, że powoduje to od razu rewanz, który nieraz kończy się nawet zaciągnięciem ofiary pod pompę, spod której zwykle obydwójce wychodzą jak topielcy. Nadmiernie złane dziewczęta przezywają chłopców i niby bardzo na nich się gniewają, jeśli jednak jakiejś panny nikt nie obleje, czuje się wzgardzoną i obrażoną na swoich znajomych chłopców.

Kiedy kawaler, zjawiwszy się w domu panny, obleje ją i sam został oblany, mówi, zwracając się do jej matki:

*„Przyszołech tu po śmiguście,
Tylko mnie tu nie opuście,
Dajcie jajec pięć,
To byda wasz zienć”.*

Wygłosiwszy tę orację, otrzymuje jedną lub kilka „kraszonek”.

Oprócz kawalerów, oblewających znajome panny, chodzą od domu do domu i dzieci

w wieku szkolnym, które oblewają gospodarzy i wygłaszają przy tym taki np. wierszyk:

*„Jo tu przyszedł po śmiguście,
Ale mie tu nie opuście.
Kromka chleba podarujcie,
Kopa jajek narachujcie.”*

Wprawdzie gospodni nigdy im kopy jaj nie narachuje, ale jedno albo nawet i dwa jajka da, a kromki chleba, a nawet kołacza nigdy nie żałuje. Prośba śmigustników nie jest więc daremną.

Po skończonym śmiguście ci, którzy najwięcej jajek zbiorą, urządzą różne zabawy i gry o jajka. A więc na przykład, dwóch chłopców toczy z przeciwnych stron jajka po ziemi i które z nich prędzej się stłucze, tego właściciel przegrywa itp. Śmigus jest najweselejszym zwyczajem wielkanocnym i dlatego przedłuża się go w niektórych okolicach i na następny dzień, to jest na wtorek po świętach wielkanocnych. W tym drugim dniu śmigustu rehabilitują się dziewczęta, starają się przydybać jakiegoś samotnego chłopca, a wtedy zleją go niemiłosiernie. Niekiedy dziewczęta okładają chłopców prętami wierzby, czego ci oczywiście nie pozostawiają bez odpowiedzi.

Tak kończą się święta wielkanocne, a ze świętami przemijają piękne i radosne zwyczaje z nimi związane. Zwyczaje te, jakkolwiek wiele z nich jest dotąd dość żywych, powoli zanikają. Nie wszyscy ludzie wiedzą, że większość ich stanowi cenne zabytki kultury naszego kraju i że dlatego należy je chronić przed zanikiem, a jeśli już to jest niemożliwe, przynajmniej przed niepamięcią. I tutaj każdy, komu te sprawy na sercu leżą, może bardzo dużo zrobić, zbierając i spisując stare pieśni i legendy, czy opisy zwyczajów ludowych, aby te, wszędzie wśród naszego ludu porozrzucane pomniki jego pradawnej własnej a nie zapożyczonej kultury uchronić od zatracenia.

Charakterystyka Ślązaków na podstawie nowszych powieści niemieckich

Stosunkom polsko-niemieckim poświęcono już bardzo wiele uwagi. Zainteresowanie to szło w różnych kierunkach i zyskiwało na znaczeniu zależnie od okresów, w których zachodziła potrzeba pisania o nich. A okazja nastroczała się zawsze. Jest to bowiem kraj, który najwięcej niepokoił różnych polityków i mężów stanu. Przyczyna tego może i w tym leży, że nasi przodkowie za mało doceniali ziemię praojców naszych i pozwolili na zgermanizowanie jej do tego stopnia, że Niemcy kraj ten uważają za „swój” a Ślązaków za „rodowitych Niemców”, którzy językowo tym tylko różnią się od rodowitych Germanów, że w „swej” gwarze używają „naleciałości” języka słowiańskiego. Stąd nazwa tego języka „Wasserpölnisch”, albo „Mischsprache”, jak go nazywa Fischer¹⁾. Ten dualizm językowy naprowadził już dawno Niemców na inne, również bardzo śmiałe twierdzenie, że Ślązak jest rozdwojony duchowo. Rozumując w ten sposób, ciekawym jest tylko to, że Niemcy z różnych przesłanek wyciągają tylko jeden wniosek, tj. że Ślązak to Niemiec. Tak rozumowali już i przed walkami o Śląsk, po nich i teraz, kiedy rzeczywistość wykazała, że sprawa nie odpowiada prawdzie nawet w przybliżeniu. Patrząc trzeźwo na tę kwestię, musimy dojść do wniosku, że argumenty o rzekomej przynależności Śląska do Niemiec są li tylko środkami germanizacji,

która Ślązakom jest dobrze znana. Niemcy doszli widać do wniosku, że dzisiaj nie podobna walczyć o Śląsk, tak jak to czynili niegdyś Fryderyk, Bismarck i Krzyżacy — siłą pruską — tylko rozumem i uczuciem. Tym się chce pozyskać dzisiejszego Ślązaka przede wszystkim. To też tym zagadnieniem zajmują się Niemcy dzisiejsze świadomie i celowo i to nie tylko uczeni, których argumenty idą po linii pangermanizmu, ale i sfery niefachowe.

Znamy zresztą z recenzji większą część tych publikacji, rozmaitych paszkwilów, grotesek i tym podobnych środków germanizacji dzisiejszej. Przekraczają zresztą one setki, a pisane są na jedną i tę samą nutę. To też zajmować się nimi nie będę w tej chwili, aczkolwiek trzeba przyznać, że nie zyskują one zawsze należytego echa w literaturze polskiej. Jakżeż gorzej przedstawia się powieść niemiecka o motywach ogólnopolskich lub też regionalnych! — Tych powieści jest cała masa, a myślą przewodnią jest chęć zohydzenia Polski i Polaków przez Niemców, chęć podkreślenia „niższości” kulturalnej tego Narodu na korzyść „wielkich” Niemiec, wyraźne odgrążanie się za rzekomo „nielegalne” wcielenie Śląska i polskiego Pomorza do Polski, wreszcie podburzanie ludności śląskiej i pomorskiej wszelkimi możliwymi środkami przeciwko temu co polskie. Nie będę wysnu-

wał na razie z tych powieści wniosków, ale już teraz należałoby podkreślić, że one nie powinny znaleźć u nas przyjęcia, jako materiał oczerniający Polskę! Przypatrzmy się samym powieściom — za materiał posłuży nam stosunkowo niewielka ich ilość, ale ilość wystarczająca, żeby mieć wyobrażenie, co Niemcy o Polsce myślą.

Z powieści wybrałem te, które są najcharakterystyczniejsze. Zagadnieniem będzie Śląsk, czyli ta dzielnica Polski, o którą Niemcom najbardziej chodzi. Niemniej sprawy ogólnopolskie nie są w tych powieściach potraktowane lepiej i korzystniej. Zagadnienia, jakie poruszają autorowie, nie podobna ująć w jednym artykule, dlatego rozważę najpierw zagadnienie charakterystyki Ślązaków na podstawie powieści niemieckich.

Charakterystyka obejmuje wszystkie warstwy społeczne Śląska, a więc szlachtę, inteligencję i wreszcie sfery robotnicze. Szlachta śląska zasługuje na osobne rozpatrzenie, opisana jest bowiem na tle dziejów tej dzielnicy polskiej i związana z jej dziejami, dlatego zanalizowana być winna w zagadnieniu osobnym, np. w problemie przeszłości w powieści niemieckiej Śląska. Obecnie zajmiemy się kolejno warstwą wykształconą i robotniczą. Zagadnienie pierwsze jest stosunkowo skąpo potraktowane przez niemieckich pisarzy beletrystycznych, zresztą jest to zupełnie dla nas zrozumiałe, gdy sobie przytomimy fakt, że za czasów pruskich Ślązak właściwie nigdy nie miał możliwości kształcenia się w swoim języku ojczystym, t. zn. polskim. Naturalnym następstwem tego było to, że urzędy publiczne i prywatne zapelniali Niemcy, nie dopuszczając języka polskiego do żadnego urzędu. Rzecz oczywista, że tego rodzaju podchodzenie do Ślązaka musiało się z czasem odbić bardzo ujemnie na całokształcie polityki niemieckiej. Przyznają to sami Niemcy. Taki np. poeta niemiecki Heyduk, z pochodzenia Ślązak, zwany przez Niemców „Haldendichter”, który publikował swoje poezje o Śląsku w gazecie „Der Oberschlesier”, pisze w jednym ze swoich wierszy dosłownie w ten oto sposób:

...Schürt nicht Rachegeist und Hass,
Nicht zu jedem Frühstück einen Polen —
Auch die Sterne braucht ihr (Rząd niemiecki) nicht vom
Firmament zu holen²).

W tym samym wierszu wypowiada zupełnie otwarcie swoje niezadowolenie z polityki niemieckiej z okresu przedwojennego. Czytamy tam takie oto skierowane do polityków i strategów państwa słowa:

„Was nehmt ihr den Mund so voll,
Ihr Politiker, Patrioten und Stammtisch-
strategen?
Euren Herzen gilt unser Groll...³)

A. Scholtis, znany nieprzyjaciel Polski, również piętnuje polityków niemieckich. Zdaniem jego Śląsk dlatego (również) został wcielony do dwóch państw wiecznie nienawidzących się, ponieważ ci politycy nie potrafili i nie zadali sobie trudu poznania psychiki Ślązaka⁴). Molo⁵) i Langer⁶) piętnują znowu nauczycielstwo i duchowieństwo niemieckie. Podaję to tylko przykładowo dla zilustrowania naszego zagadnienia charakterystyki Ślązaka. Nie podobna tu tego problemu roztrząsać, jest on za obszerny i wymaga osobnego omówienia.

Do inteligencji śląskiej, która studiowała oczywiście w Niemczech, powraca najczęściej Langer⁷) w swoim dramacie, mniej już w swoich powieściach z Górnego i Dolnego Śląska⁸). Z innych pisarzy zasługuje na uwagę Richter⁹), Molo¹⁰), Scholtis¹¹) i Herwig¹²). Ten ostatni nie zahacza wprawdzie w swojej powieści o sprawę Śląska, niemniej jednak zasługuje i on na baczną uwagę ze względu na wstęp napisany do powtórnego wydania swej powieści zatytułowanej „Die letzten Zieliński”. Wstęp nakreślony jest jego własną ręką, a całość wydana była w 1929 r. Powieść napisana była grubo wcześniej, a w każdym razie ukazała się najprawdopodobniej bez tej przedmowy. Zarówno sama

powieść, jak i jej wstęp nie roztrząsają bezpośrednio sprawy Śląska, jednakowoż treść wstępu można bez żadnych zastrzeżeń odnieść pośrednio do Śląska. Technika podejścia do czytelnika i zamiary autora są tu jasne. Dla zrozumienia wstępu nie podobna pominąć krótkiej charakterystyki samej powieści. Akcja rozgrywa się na Pomorzu w pobliżu miasta Sopoty. Waleria Zielińska, bohaterka powieści, żyje tu wraz z bratem na własnym, mocno zadłużonym wskutek nieurodzaju i różnych klęsk majątku. Nic dziwnego też, że dokłada wszelkich możliwych starań, aby spuściznę po pradziadach podnieść, a przede wszystkim utrzymać w rękach polskich. Wbrew zdaniu brata, człowieka o małej wartości moralnej, który jej radzi majątek sprzedać Komisji kolonizacyjnej a kupić inny gdzie indziej, podejmuje różne próby, bez skutku jednak. Po rozpaczliwych zmaganiach z losem ginie Waleria, ujrawszy zgłiszcza swej ojcowizny. — Jakiż jest wstęp do tej powieści? — wszak o to chodzi przede wszystkim. Jest niedługi, dlatego pozwolę go sobie zacytować w dosłownym brzmieniu:

„Nie musi to być zawsze naród własny, z którego czerpiemy wzory dla postawy narodowej, także inne narody mogą nam dostarczyć podobnych wzorów. To odczucie było dla mnie bodźcem do napisania powieści „Ostatni Zieliński”. Wtedy Polska nie posiadała jeszcze swej niezawisłości, a od przeszło stu lat rozdzielona była pomiędzy trzy potężne mocarstwa. Ale nigdy nie ztraciła ona wiary w połączenie w jedno państwo, wiarę tę podtrzymywano nieustannie we wszystkich warstwach narodu, chociaż właśnie w pierwszych latach XX w. mało było szans na urzeczywistnienie marzenia. Dziś Polska jest państwem, a setki tysięcy Niemców(?) są jej poddany. Karta odwróciła się całkowicie. Nie potrzebujemy ani nie powinniśmy się zgodzić na to położenie, jak Polacy się nie godzili, będąc w niewoli. Niejeden Niemiec przejmuje dzisiaj rolę Walerii i prowadzi walkę o utrzymanie się na miejscu. Niech ma zawsze, gdy spojrzy poza granicę, przed oczyma widok silnych Niemiec, które

go witają z ojcowską miłością. Wtedy łatwiejszą stanie się dla niego walka, którą prowadzić musi, aż do ponownego połączenia. Nie potrzebuje ginąć jak Waleria.”¹³⁾

Kreślenie sylwetek polskich w powieści, jak to wyżej widzieliśmy, dowodziłoby, że Niemcy rzeczowo i obiektywnie piszą o Polsce. Przypuszczenie to nabierze jeszcze więcej cech prawdy, gdy sobie uprzytomnimy, że rok wydania książki (1929) jest rokiem ostrych zmagani politycznych, wykluczających przymierze między obu państwami, że jest on czasem, w którym mniejszości polskiej w Niemczech znacznie gorzej się powodziło niż dziś, że wolność myśli i słowa polskiego nie istniała itp. To też jest to prawie jedyna powieść, w której autor zajmuje przychylnie stanowisko wobec Polaków w literaturze niemieckiej o motywach polsko-niemieckich¹⁴⁾. Niestety efekt po przeczytaniu tej powieści jest zgoła inny, gdy zacznie się ją czytać normalnie, to jest od wstępu. Wstęp z roku 1929 przypomina Niemcowi, że żaden obywatel Rzeszy niemieckiej „nie potrzebuje i nie powinien się zgodzić na to położenie”, t. zn. na podział Pomorza i Śląska, ale należy „podjąć rolę Walerii i prowadzić walkę o utrzymanie się na miejscu”. Widok zaś silnych Niemiec, które „z ojcowską miłością” witają „setki tysięcy (?) Niemców”, mieszkających na terenie państwa polskiego, winien „poprowadzić do ponownego połączenia Niemców” z Polski z Rzeszą¹⁵⁾. Takie nastawienie autora do swej powieści zaciera wszystkie jej dodatnie nawet cechy i spycha ją do powieści tendencyjnych o zabarwieniu wrogim do Polski. W odróżnieniu od innych powieści uczy ona tego, czego w innych powieściach o stosunkach polsko-niemieckich dotychczas nie zauważyłem, mianowicie walczyć z Polską śródkami polskimi. Zmierza ona bowiem ją w nie do germanizacji nie tylko Pomorza, ale i Śląska, a nawet ziem polskich w ogóle (czyżby „Mein Kampf” — Hitlera?), przy czym wzoru i sposobu walki dostarczyć mają Niemcom Polacy¹⁶⁾. Tak jak Polacy nie stracili wiary w swoje siły, mimo że nie posia-

dali „szans na urzeczywistnienie swych marzeń”, tak też Niemcy nie powinni wątpić w wcielenie „korytarza polskiego” (der polnische Korridor) i Śląska do Rzeszy, tak jak Waleria walczyła o polskość pradedzictwa, tak też powinni „chlubnie” walczyć o ziemię utraconą Niemcy, „będący w niewoli”¹⁷).

Zupełnie inaczej nakreślony jest charakter inteligenta polskiego w innych powieściach niemieckich. Autorowie niemieccy nawet o znanych nazwiskach¹⁸) nie wahają się ani na chwilę zerwać z elementarnym poczuciem tego, co można i czego nie wypada pisarzowi nadużywać, chociażby tylko dla dobra jego popularności. Zupełnie świadomie przeciwstawia się inteligenta polskiego takiemu samemu niemieckiemu, jako komuś lepszemu, który niby to kulturą i cywilizacją służyć za wzór powinien innym, a zwłaszcza Polakom¹⁹). Po przeczytaniu powieści takich autorów, jak Richter, Langer (we wszystkich pod rozwagę wziętych książkach), Scholtis²⁰), odnosi się wrażenie, że Niemcom właściwie nic zarzucić nie można, ba nawet więzienia są tam już tylko zabytkami historycznymi. Kreślenie typu Ślązaka, czy też Polaka z innych dzielnic Polski ma, zdaniem ich, wykazać rzekomą „wyższość” i przodujący pierwiastek kultury niemieckiej. Tego rodzaju podejście do dzieła jest ulubionym tematem niemieckich powieści o motywach ogólnopolskich lub też tylko regionalnych²¹). Sposób przeprowadzania ich dowodów jest zupełnie prosty, nieskomplikowany i przystępny dla każdego laika. To też nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ci pisarze chcą przede wszystkim podziałać na uczucie i umysł tej warstwy ludności Śląska, której uczucie narodowe skryształizowało się jeszcze dosyć wyraźnie na skutek silnej akcji germanizacyjnej. Z takim to zamiarem przystępuje Langer do swojego dramatu zatytułowanego „Dziewczeta z Koźła”²²), z takim przedsięwzięciem do swojej powieści z Dolnego i Górnego Śląska²³), w której swego przekonania nie zmienił, mimo że książka jego ukazała się w 1935, a więc w czasie, w którym mógł przecież swoje przekonania

zmienić ze względu na zawarte przymierze z Polską!

I tak przenosi nas autor we wspomnianym dramacie za Śląsk do Koźła, gdzie w roku 1807 polscy insurgenci pod dowództwem księcia Sułkowskiego²⁴) chcieli zniweczyć plany Prusaków w czasie oblężenia tegoż miasta przez wojska Napoleona. Insurgenci ci posłużyli autorowi jako podkład do całego dramatu, w odróżnieniu od innych autorów, u których jest o nich mała wzmianka tylko²⁵). Na czele grupy polskiej stoi w dramacie pani de Bakalorz, wdowa, i jej syn Zygmunt. Mąż jej, Władysław, walczył cały szereg lat zwycięsko pod dowództwem samego Kościuszki i generała Dąbrowskiego. Ginie w walce o wolność ojczyzny i oswobodzenie jej z kajdan niewoli. Za serdeczne przyjęcie, jakiego doznała pani de Bakalorz po stracie męża od owdowiałego pruskiego komisarza policji i prokonsula Gideona Tausewalda²⁶), odpłaciła się czarną niewdzięcznością, a później nawet zdradą jego ojczyzny. Syna swego wychowała w zupełnej nieświadomości narodowej, tając przed nim wszystko. I tak w swoim źle zrozumianym patriotyzmie wychowuje syna na Prusaka, nie uświadamiając go o polskości. Za późno dowiaduje się Z. Bakalorz od generała Dąbrowskiego („...,dem alten Schürer und Intriganten”²⁷) o bohaterских czynach ojca i swoim polskim pochodzeniu. Nic dziwnego więc, że popada w ostry konflikt z samym sobą i ze swoim otoczeniem; z jednej strony poczuwa się do obowiązku wdzięczności względem swego chlebobdawcy i wychowawcy, a „swojej” armii winien jest posłuszeństwo i gotowość służbową, z drugiej strony odzywa się w nim krew polska, która słusznie domaga się zadośćuczynienia. To dosyć późne uświadomienie o jego polskim pochodzeniu doprowadza go wreszcie do zdrady armii pruskiej i do złamania przysięgi żołnierskiej. Kiedy matka widzi, że synowi grozi niechybna śmierć, gotowa jest zdradzić plany i zamiary insurgentów (nawiasem mówiąc — swoje własne plany, bo przecież ona była organizatorką wraz z dowódcami, z którymi tajnie się porozumiewała), byleby urato-

wać syna. Syn jednak musiał zginąć, ona uratowała się ucieczką. Autorowi chodzi o zohydzenie Polaków po to, aby postawić na najwyższym piedestale szlachetność, uczciwość i życzliwość Prusaków, boć tak szlachetnie scharakteryzował autor w dramacie Niemców. Dalej chce on wykazać, że Polak nie zdolny jest sam oswobodzić własnej ojczyzny. Ażeby ten rys charakteru Polaka wystąpił jeszcze jaskrawiej, wprowadzeni są do dramatu żołnierze polscy, w większej części rekrutujący się z uciekinierów z armii pruskiej. O nich to autor się wyraża, że byli jako Polacy najgorszym dorobkiem, jaki armia pruska kiedykolwiek posiadała²⁸). Ich nie interesują plany oswobodzenia Polski od zaborcy pruskiego, dla nich dowódcy są tylko tematem krytyki. Panią de Bakalorz („die alte Hexe”, „die alte Suse”) nienawidzą, mimo że korzystają z jej gościnności. Mimo to ludzi się ona nadzieją pozyskania ich różnymi nieuczciwymi środkami, jak np. wódką, którą często, nawet w chwilach decydujących, mocno nadużywają, skradzionymi pieniędzmi i podobnymi obietnicami. Z chwilą, gdy sprawa zdrady wychodzi na jaw i gdy stają przed sądem wojennym, zwalają całą winę na swoich dobroczyńców. Rzecz oczywista, że taka „gromada nie mogła w żadnym wypadku przyczynić się do zwycięstwa Polaków!”²⁹)

Do inteligencji polskiej należy dalej w powieści *Langer* z Dolnego i Górnego³⁰) Śląska rodowity Ślązak nazwiskiem Ryszard, który właśnie kończy gimnazjum niemieckie na Śląsku. I tu również podobnie jak pani de Bakalorz, okazuje on Niemcom, którzy go wychowali, wyżywili i wykształcili, czarną, kompletną niewdzięczność. Najbardziej uderza nas ta okoliczność, że Ryszard jest zdrajcą Niemiec dlatego tylko, że się jawnie przyznaje do polskości i że jako Polak nie chce śpiewać niemieckiej pieśni bojowej „Die Wacht am Rhein” w Krakowie!! — A było to tak: Profesor ich mówiąc o Polsce zainicjował wycieczkę do Krakowa, żeby „na miejscu” poznali Polskę. W grodzie podwawelskim podziwiają piękno tego miasta hi-

storycznego, zwiedzają muzea, zamek królewski i wiele innych zabytków. Na jednym z uczniów wywarł Kraków ogromne wrażenie. Dochodzi on jako Niemiec do słusznego wniosku, że Prusacy wyrządzili Polsce właściwie wielką krzywdę, zagrabiając część tego państwa dla siebie. W tej chwili budzi go kolega z tych refleksji, wołając podniesionym głosem, że Polacy nie okazali się godnymi tego księstwa, gdyż nawet i tej wolności nadużyli, przemycając z Niemiec podstępnie wiele rzeczy na niekorzyść ich pruskiej ojczyzny. Państwo, które siało naokoło siebie zgorzniecie („die Luft verpestet”), zasłużyło słuszenie na rozbiór³¹). Jedyne co sobie Niemcy wyrzucić mogą, to to, że mogli ten żyzny kraj lepiej wykorzystać. Dla dodania sobie pewności zaczynają śpiewać w Krakowie pieśń „Die Wacht am Rhein”! — Chodzi tu o lata 1815—45, kiedy wolność Polaków była tylko pozorną, bo przecież Kraków stał pod protektoratem zaborców, którzy niejednokrotnie wolność tę ograniczali.

Pomijając już to, że tej pieśni gimnazjaliści niemieccy w tym czasie śpiewać nie mogli, gdyż pieśń ta znana była szerszym warstwom dopiero później, w r. 1865³²), to uderza nas okoliczność zupełnie nam dotąd nieznaną, nową i aktualną dziś w Niemczech, że Polakowi w Niemczech nie wolno być Polakiem, mimo że płynie w nim polska krew! To inna rzecz, że tego Ryszarda i tak Niemcy źle wychowali, kiedy ten odważa się, niby to za namową swej matki (korzystającej również z gościnności niemieckiej), jechać do Częstochowy, ażeby pomodlić się u stóp Matki Boskiej Częstochowskiej („das schmutzige, schwarze Weib”³³), jak ją *Scholtis* nazywa) i iść na „brudne” ulice w poszukiwaniu dziewcząt lekkich obyczajów. Tam na tych ulicach ma za radą kochającej matki, Polki, zaspokoić swe zachcianki seksualne! Więc z jednej strony płacze w grodzie wawelskim olśniony pięknnością swej ojczyzny, z drugiej strony znowu potrafi o tym wszystkim zapomnieć w objęciach ulicznicy!

Idźmy dalej. — Autor tej samej powieści zaprowadza gimnazjalistów niemieckich, chcących³⁴⁾ — jak wspomniałem wyżej — zwiedzić Polskę, do majątku Poleskich. Pan w starym fraku, bez kołnierzyka, nie robi wrażenia, że jest właścicielem majątku. Żona również. Nawet w południe chodzi nieubrana, brudna. Zaskoczona niespodziewaną wizytą, ubiera się w podarty, brudny szlafrok. Podobnie wygląda sam majątek. Przy obiedzie podano gościom jakąś narodową potrawę, która by była może i smaczna, gdyby nie warstwy much, które w niej ugrzęzły! Autor przyznaje Polakom gościnność, dobre serce a przede wszystkim miłość ojczyzny. „Na cóż się przyda komu taka miłość ojczyzny. — pisze dosłownie autor, — która ciągle płacze i o płacz drugich przyprawia?”³⁵⁾. — Mimo wszystko efekt końcowy wycieczki był dodatni — jak się zdaje. Uczniowie bowiem zapragnęli poznać coś więcej z historii polskiej. Profesor daje im dzieła Rzewuskiego, Chodźki i Siemieńskiego (które — nie wiadomo), ale po to tylko, żeby oni sami doszli do konkluzji, wyrażającej się w tych słowach: „...Und wer konnte an Hand solcher Schriftsteller den Gedanken an Polens Wiederaufstehung nur von ferne denken...”³⁶⁾ Oczywiście ci autorowie nie wystarczają; mniej-sza o to, czy oni obiektywnie sprawy polskie ujmują czy nie. Tych możliwości pod uwagę nie biorę. Innym typem inteligenta polskiego, pochodzenia śląskiego, jest w powieści Langerera „Richter Wichura” Damion von Wilnowski. Zajmuje on poważne stanowisko w społeczeństwie niemieckim. Bez skrupułów namawia on chłopów do strajku, podburza ich przeciw znienawidzonym Prusakom, a nawet podpala własny dom, żeby tylko wywołać jakieś zamieszki przeciw Prusakom. Chętnie by się też pozbył swojego niemieckiego adwokata, gdyby go mógł zastąpić jakimś polskim. Ale takiego nie mógł znaleźć. Podobnych sylwetek tu więcej. Rolę Wilnowskiego w powieści Scholtisa³⁷⁾ odgrywa pewien ekonom, któremu zaufać nie można, bo jest złodziejem, bez ambicji i honoru. Jest to jedyny typ inteligenta polskiego

w dotychczasowych powieściach Scholtisa w ogóle. Molo, zasłużony dla niemieckiej literatury powojennej, nie omieszczał również napisać książki o Polsce. W powieści porusza on problemy ogólnopolskie, głównie chodzi mu jednak o „ziemie utracone”, a więc Pomorze i Śląsk. Powieść nosi tytuł „Holunder in Polen”. Akcja rozgrywa się tuż po wojnie światowej a kończy się z rokiem 1923. Nawet okoliczność, że Polacy mogli w zaczątkach swego bytu państwowego popełnić niejedyn błąd, walcząc z gospodarczymi, narodowymi i społecznymi trudnościami, nie przekonała go widać. Z całą bezczelnością i złośliwym krytycyzmem piętnuje on wszystko, co go otacza: a więc rząd, urzędy i urzędników, nauczycieli, wojsko itp. — krótko mówiąc — całe społeczeństwo polskie. Molo nie cechuje stronniczość (jak autorów poprzednich). Jest on za poważnym pisarzem. Jemu nie podobna się również stara generacja niemiecka (Vazin), a w niektórych wypadkach i młoda (Holunder). Nie ma tam więc wyidealizowanych postaci, takich, które by można przeciwstawić Polakom. Jego cechuje skrajny patriotyzm, kult wielkości i krytyka całego społeczeństwa niemieckiego. Jako taki ani na chwilę nie może się pogodzić z podziałem Pomorza i Śląska. Książka napisana jest w tonie bardzo wrogim dla Polski i jako taka wywołuje bardzo przygnębiające wrażenie na czytelniku polskim, podobnie jak powieść Freytaga, znanego nieprzyjaciela Polski. Do inteligencji polskiej³⁸⁾ należy jeszcze generalny dyrektor pewnej huty niemieckiej na Śląsku. Plany jego zmierzają do tego, żeby przez różne machinacje z Polską, jak również przez różne strajki nie dopuścić do wybudowania olbrzymiego pieca i przez to obniżyć przemysł niemiecki. To mu się oczywiście nie udaje, bo plany pokrzyżował mu jego podwładny niemiecki inżynier Bruck. Polaka wypędzono do Polski, a piec, symbol „wielkości Niemiec”, wybudowano. — Tyle o inteligencji polskiej na podstawie wspomnianych powieści.

Jakżeż gorzej przedstawia się charakterystyka sfer robotniczych śląskiej³⁹⁾ ludności!

Zdaniem Scholtisa nie posiadają Ślązacy ani kropli kultury. Żyją na gnoju, cuchną a nawet chorują od brudu⁴⁰). Pouczyć się Niemcom nie pozwolą. Odnosi się wrażenie, że w ogóle nie znają wody i mydła. Jedynie co na pewno znają, to... wszy. Scholtisa dziwi to w ogóle, jak można taki „brudny, owszony”, „dreckige” naród, mieszkający w „kurnikach” (domach) lubić. „Jeżeli Polacy — pisze Scholtis — mają w brudzie jakiś interes, to Niemcy przynajmniej winni byli tego nie tolerować i nie ułatwiać tego Polakom.”⁴¹) Nic dziwnego, że jego bohater, Kaczmarek, opuszcza Śląsk i udaje się do Niemiec, przeklinając wszystko co polskie, a nawet swoją matkę. Tu staje się Niemcem, przeklinając los, który go dotąd prześladował. Po powrocie do Pszczyny⁴²) mówi mieszkańcom tego miasta: „Da ich nun weder ein Pole noch ein Deutscher bin, zu gleichen Teilen beiden angehöre, gab mir die Vorsehung einen Verstand und dann ein Gefühl zu entscheiden. Ich will auf der Stelle mein Gelübde ablegen: Fortan will ich ein ganzer Deutscher sein und verfluche das Geschick, das mich bislang halbierte.”⁴³) Tak oto pojmuje Scholtis narodowość! Albo w innym miejscu: „Also so sieht die Rückkehr in das polnische Volkstum bei euch in Pless aus. Aus Liebe zu Schmutz und Dreck liebt ihr Polen?... Steckt euch euren Acker samt eurem verlausten, dreckigen Hühnerstall in euer allerheiligstes Gefäss...”⁴⁴)

W drugiej swej powieści⁴⁵) autor nie zmienił zdania o Polakach. Przykładem umiłowania brudu przez Polaków jest kobieta nazwiskiem Baschysta. Ona to nawet pieniądze, które u chlebobdawcy niemieckiego zarabia, woli schować w sienniku, niż je wydać na nową bieliznę dla siebie i dla dzieci. Co najwyżej dałaby tylko księdzu, „który przecież musi żyć!” Tego samego zdania o Polakach jest Richter i Kurpiun⁴⁶). O braku kultury u Polaków może, zdaniem Scholtisa, świadczyć nie tylko brud, niechlujstwo, nieporządek, ale również pijaństwo i obżarstwo („Weg- und Vielfressen”). Polacy to nałogowi pijacy, którzy nigdy się z wódką nie rozstają — nawet w czasie wojny. Jedni

padają z opilstwa na roli⁴⁷), inni przy pracy, inni w gospodzie. Zarobione pieniądze przepijają przede wszystkim górnicy, zostawiając rodzinę w największej nędzy. W powieści Scholtisa „Jas der Flieger” umiera dziecko Tschorta (Czorta), bo ojciec jest pijany i nie potrafi mu udzielić pomocy. Jeżeli się pijaków nie zaprowadzi do domu, to napadają na kobiety lub podburzają przechodniów przeciw Niemcom. Przy takich scenach nie mają odwagi popatrzeć Niemcowi w oczy, gdyż się boją i tchórzą⁴⁸). W domu pijacy robią żonom straszne sceny, bijąc je, rzucając potrawami dla siebie przygotowanymi, lub wyrzucając żony z domu. Najczęściej wracają pijacy do domu wtenczas dopiero, kiedy się po nich idzie⁴⁹). To też żony ich całymi nocami oczekują, zanim się mężowie zdecydują wrócić do domu. Czekanie i wystawianie przed drzwiami szynków, przeszło w zwyczaj tych nieszczęśliwych kobiet.

*„Frauen stehen vor den Türen,
Stumm in Worten eingehüllt,
Um die Männer heimzuführen.
Doch die kneipen wüst und wild.*

*Frost umkrallt die müden Weiber.
Letztes Glück verendet fern.
Brünstig küsst die bleichen Leiber
Kommend schon der Morgenstern.”⁵⁰)*

U M o l a⁵¹) pijakami są nawet obywatele nowopowstałego państwa polskiego, jak oficerowie, urzędnicy i żołnierze armii polskiej. Oni to urządzają po pijaństwu napady na mniejszość niemiecką, biją, torturują, mordują, gwałcą kobiety, obcinają im piersi, rozrywają ich ciała, wlewając w rany błoto i kwas, dopóki dają znak życia. Nie u wszystkich wychodzi kobieta bez winy.

B r o n n e n⁵²) przedstawia ją w najgorszym świetle. Nazywa kobiety polskie najbardziej występny i w gruncie rzeczy najbardziej podłymi charakterami⁵³), jakich sobie nawet wyobrazić nie można. Typem takiej kobiety jest w jego „O. S.” Antoinette Werner — Ślązaczka. Jest to kobieta wyzuta

z wszelkiej czci i szacunku, kobieta szpieg, sadystka, umiejąca przy tym dobrze kraść, jak i prowadzić najohydniejsze życie kurtyzany. W drugiej⁵⁴) swej powieści Scholtis jest nieco łagodniejszy w swoich sądach o Polakach-Ślązakach. To tylko jednak pozorne. Inteligencja, wytrwanie w walce do zamierzonego celu, pracowitość, uczciwość i ambicja, to nie zalety Polaków, jakby się mogło na pozór wydawać, to są nabyte cnoty od Niemców, którzy je z trudem zdołali wpoić Polakom w dusze! Przykładem tego jest w tej powieści Matuschek, który dzięki dłuższemu obcowaniu z niemieckim inżynierem stał się typem „zbliżonym” do Niemca. W ostatniej⁵⁵) swej powieści niemieckiej nie zmienił Scholtis zdania o Polakach z dzielnicy śląskiej, mimo że powieść ukazała się w 1935 r. Ślązacy to ubogi i źle wychowany naród. Nalogiem tej ludności jest złodziejstwo, które w czasie wojny światowej doszło do olbrzymich rozmiarów. Przy całej swej głupocie i prostocie robią oni nadzwyczaj ujemne wrażenie na ludziach kulturalnych, t. zn. nie Polakach lecz Niemcach. Opowiadanie o najnowszych zdobyczach techniki nie odnosi żadnego skutku, gdyż oni o tym nie słyszeli.

Kurpiun⁵⁶) twierdzi znowu, że ten „sakkermensche Raubgesindel” uważa kłamstwo i złodziejstwo jako zwyczaj narodowy. Pojęcie prawa i porządku jest Ślązakowi nieznanym. Niemniej religia katolicka jest dla autorów niemieckich przedmiotem drwin. Katolicyzm, to — zdaniem ich — jakieś marzycielstwo („Glaubensschwärmerei”), mistycyzm gorszy od pogaństwa. Częstochowa⁵⁷), do której Ślązacy chętnie odbywają pielgrzymki, to miasto złodziei i miasto, w którym zakonnicy, opiekunowie („brudnej i czarnej częstochowskiej kobiety”) Matki Boskiej, podburzają ludność katolicką przeciw niemieckim protestantom. Autorami, którzy tak piszą o katolicyzmie Polaków, są Scholtis, Molo i Kurpiun. Ten pierwszy przyznaje przynajmniej, że Ślązak najchętniej odbywa pielgrzymkę do Częstochowy, inni się nie mogą z tym

zgodzić. — Posyłają Ślązaków do miejsc niemieckich słynących cudami⁵⁸). — Inni autorowie katolicyzmu polskiego nie uznają⁵⁹). — Według Langer'a Polacy klną na ulicach, kłócą się o rzeczy zmarłych, nawet mordercy modlą się po kościołach, aby w następnej chwili napaść i mordować^{60/61}). Niedosć na tym! Polacy-Ślązacy to analfabeci nie umiejący czytać i pisać po polsku ani po niemiecku, bez poczucia narodowości⁶²). Richter dodaje jeszcze, że Ślązakowi jest obojętnym czy jest on Polakiem czy Niemcem, byle mógł dobrze zjeść i popić. Uważa ludzi z pogranicza za niewdzięcznych synów „ich” niemieckiej ojczyzny, którzy pod wpływem dzisiejszej wychowawczej metody i ulepszonej niemieckiej polityki „swoją” ojczyznę, którą dotychczas pogardzali, bardziej szanować winni.

Kurpiun dodaje do tego, że Ślązacy to ludzie o dobrych sercach, trzeba tylko dużo cierpliwości, a można ich wychować na sprytnych ludzi. Wychowawcami mogliby być tylko i wyłącznie Niemcy. Richter moc tych zarzutów skierowanych przeciw Polakom powtarza za innymi autorami, dlatego ich tutaj nie wyliczam. O wrogim nastawieniu Niemców do Polski, o tendencyjności i groteskowości ich powieści niechaj świadczą same nazwy, jakimi określają autorowie niemieccy Polaków. Ze względu na ich jaskrawość zacytuję je w dosłownym brzmieniu niemieckim, Polacy to: Gauner, Schufte, Dummköpfe, Lumpen, Gesindel, dummdreistes Gesindel, Vandalen, Diebe, Hunds- und Hurensöhne, Hundspolacken, Wassermenschen, Lause, Säufer, deutsche Knechte, dummdreiste Polacken, Strolche, Nichtsnutzer, Kleingeister, Aasgeier, hundischunterwürfige Polen, Brutalen, Wilde itp.⁶³). Mieszkania o brudnym wyglądzie, charakter Polaków z natury nad wyraz zły, oto powód, który skłonił Richtera do wypowiedzenia się o Polakach tak samo jak niegdyś Napoleon o Rosjanach: „Soulevez l'epiderme et vous trouverez les tartares”⁶⁴).

Przypiski

¹⁾ Dr. Fischer, *Erlebtes Grenzland Oberschlesiens. Ein Bekenntnis zur deutschen Sendung Oberschlesiens 1925—1933*, Breslau 1935.

²⁾ A. Heyduk, *Volk unterm Hammer*, Gedicht: *Anklage der Flüchtlinge und Verdrängten*, str. 70.

³⁾ Tamże, str. 70.

⁴⁾ Znamienne jest powiedzenie Scholtisa o ówczesnej polityce pruskiej z czasów przedwojennych: „Berlin vergaß vollends den realen Sinn dieser Menschen“, *Ostwind*, str. 248.

⁵⁾ Walter v. Molo, *Holunder in Polen*, Paul Zsolnay Verlag Berlin-Wien-Leipzig 1933. (Powieść.)

⁶⁾ G. Langer, *Richter Wichura*, Oberschlesischer Roman aus der Zeit von Achtundvierzig. Bergstadt-Verlag Wilh. Gottl. Korn 1928.

⁷⁾ G. Langer, *Die Mädchen von Kosel*, widowsko w 4 aktach, II wydanie.

⁸⁾ G. Langer, a) *Christel Materus weisse Seeie*, powieść śląska, Bergstadt-Verlag, Breslau, druk.: Wilh. Gottl. Korn, Wrocław 1927; b) *Auf östlicher Erde*, Jugendtage eines Schlesiens, Herder Co. G. m. b. H. Verlagsbuchhandlung, Freiburg im Breisgau 1933; c) *Grodzisko, das wilde Lied von Oberschlesien*, Eine Sagendichtung, Völkischer Verlag Walter Uttikal, Breslau I. Druck Verlagsdruckerei Ernst Grosse, Sagan 1935.

⁹⁾ H. Richter, *Hochhofen I* (powieść śląska), Verlagsanstalt Stuttgart, 1927.

¹⁰⁾ Molo, *Holunder in Polen*.

¹¹⁾ Scholtis A., *Baba und ihre Kinder* (patrz dopisek 20).

¹²⁾ F. Herwig, *Die letzten Zieliński*, Bergstadt-Verlag, Wilh. Gottl. Korn 1929.

¹³⁾ Korzystam tu z tłumaczenia, które ukazało się w Komunikacie Instytutu Śląskiego w Katowicach, nr 15, str. 2—3.

¹⁴⁾ Powieść Herwiga zajmuje istotnie wyjątkowe miejsce w literaturze niemieckiej o Polsce, a w literaturze o Śląsku i Pomorzu prawie jedyne. Wywody swoje opieram na przeczytanych przeszło kilkudziesięciu powieściach, rozpatrujących zagadnienia polskie.

¹⁵⁾ Słowa przytoczone są z powyższego wstępu do powieści Herwiga. — Kwestię „niemieckości“ Śląska i Pomorza należy rozważyć osobno.

¹⁶⁾ Podobnych środków używa już nie tylko powieściopisarz, ale publicysta niemiecki Fischer w wyżej wspomnianej publicystyce swojej. (Fischer był do niedawna wiceprezydentem prowincji opolskiej.) Przytoczę tu tylko jeden przykład zaczerpnięty z tej książki, a znajdujący się na stronie 66: „In diesen Schulen werden von deutschen Lehrern Kinder deutscher Staatsbürger in der polnischen Sprache zu deutschen Staatsbürgern erzogen“.

¹⁷⁾ Fischer, słowa ze wstępu do jego książki.

¹⁸⁾ Mam tu na myśli przede wszystkim Mola i Bronnena, którzy zajmują poczesne miejsce w literaturze niemieckiej.

¹⁹⁾ Czynią to Langer (we wszystkich wspomnianych książkach), Bronnen w powieści O. S. (Ernst Rowohlt Verlag, Berlin 1929, Druk bei Otto v. Holten, Berlin C. 19), Richter i Köhler, który kreśli charakter Polaków w przeszłości dziejowej w powieści *Sehnsucht im Reich*, Ein Grenzlandsschicksal (Verlag J. Kösel u. F. Pustet München 1933, druk tamże).

²⁰⁾ Scholtisch, a) *Ostwind*; b) *Baba und ihre Kinder*; c) *Jas der Flieger* (dwie pierwsze powieści ukazały się w nakładzie Cassirer'a w Berlinie w roku 1934, a ostatnia 1935).

²¹⁾ Mam oczywiście na myśli powieści niemieckie o Śląsku i Pomorzu.

^{22/23)} Langer, *Die Mädchen von Cosel; Auf östlicher Erde*.

²⁴⁾ Sulikowskiego Langer nie wspomina. O oblężeniu Koźła w roku 1807 napisał niejaki K. Siegel osobną książkę, wydaną z okazji setnej rocznicy wyswobodzenia tego miasta od wojsk Napoleona. Książka ta nosi tytuł: *Die Belagerung von Cosel 1807*, Festschrift zur Hundertjahrfeier der Befreiung der Stadt, Juli 1907. (Lithogr. Anstalt Bogdan Gisevius, Berlin W.). Siegel wspomina porucznika von Witkowskiego, który walczył jako Polak pod Mikołowem z Insurgentami, na których czele stał Sulikowski. Ten ostatni chciał powołać do życia cały pułk polski, który w decydującym momencie miał się przeciwstawić pruskiej milicji. Zabiegi jego nie odniosły żadnego pozytywnego skutku, gdyż Polacy nie wykazali zainteresowania. Po długim czasie zdołał on zebrać trochę holoty, z którą Prusacy sobie łatwo dali radę.

²⁵⁾ Wzmianka o Insurgentach znajduje się również i u R. Kurpiuna w powieści *Das schwarze Weib*, Eine Geschichte eines Einsamen aus dem Volk. Deutsche Verlags-Anstalt Stuttgart, Berlin und Leipzig 1925.

²⁶⁾ Postać Tausewalda zdaje się być rzeczywistą; właściwym jednak dowódcą Prusaków był w tych walkach Dawid v. Neumann. Był on komendantem twierdzy w Koźlu. Jemu też dedykuje Siegel swą książkę.

²⁷⁾ Langer, *Die Mädchen von Kosel*, str. 82.

²⁸⁾ Langer, tamże: „Das Schlimmste in dem preussischen Heer ist der Pole“, str. 26.

²⁹⁾ Langer, tamże: „So ein Haufen von Nichtsnutzen und von hergelaufenen Kleingeistern konnte selbstverständlich an den Sieg der Polen nicht denken“, str. 26.

³⁰⁾ Langer, *Auf östlicher Erde*.

³¹⁾ Dosłownie brzmi to w ten oto sposób: „Dieses Volk, das seine politische Stellung in Europa verloren hatte, hat sich auch der letzten

Freistädte, der Freistadt Krakau nicht würdig gezeigt, denn was an Hinterlist, Hinterhalt, Asylbereitschaft, Zollbetrügerei und Schmuggelei dem deutschen Nachbarreiche zum Nachteil geleistet werden könnte, das hat hier eben das polnische Volk geleistet. Die ganze Luft ringsum diese Freistadt herum ist von den Polen verpestet, die Nachbarländer verdorben worden... Ein solches Land habe es verdient aufgeteilt zu werden...“ Langer, *Auf östlicher Erde*.

³²⁾ Gimnazjaliści istotnie tej pieśni bojowej w tym czasie (1815—45) śpiewać nie mogli, gdyż melodia do niej powstała dopiero w roku 1845 (Karl Wilhelm), a szerszym warstwom znana była dopiero po roku 1865, po zjeździe śpiewaczym w Dreźnie.

³³⁾ Scholtis, *Der Ostwind*.

³⁴⁾ Langer, *Auf östlicher Erde*.

³⁵⁾ Tamże, str. 210.

³⁶⁾ Scholtis, *Baba und ihre Kinder*.

³⁷⁾ W powieści Richtera pt. *Hochofen I*.

³⁸⁾ Tamże takie zdanie: „Der Hochofen wird ein Wahrzeichen, daß Deutschland nicht untergehen werde, trotzdem die Polen die deutsche Industrie vernichten wollen“, str. 236.

³⁹⁾ Scholtis, *Ostwind* (Kaczmarek).

⁴⁰⁾ Scholtis, *Baba und ihre Kinder* (Marianny Baschysta).

⁴¹⁾ Langer, *Auf östlicher Erde*, str. 210.

⁴²⁾ Pszczynę Scholtis tak nazywa: „Pless, eine kleine schmutzige Stadt, von den Bauern genannt Pszczyna, was heißt etwa soviel wie Null komma nischt“, *Ostwind*, str. 2.

⁴³⁾ Scholtis, *Ostwind*, str. 113.

⁴⁴⁾ Tamże, str. 131.

⁴⁵⁾ Scholtis, *Baba und ihre Kinder*.

⁴⁶⁾ Kurpiun, *Das schwarze Weib* i *Der Mutter Blut*.

⁴⁷⁾ Scholtis, *Jas der Flieger*.

⁴⁸⁾ Molo, *Holunder in Polen*.

⁴⁹⁾ Richter, *Hochofen I*.

⁵⁰⁾ Heyduk, *Volk unterm Hammer*, str. 34 (druga i trzecia zwrotka).

⁵¹⁾ Molo, *Holunder in Polen*.

⁵²⁾ Bronnen, O. S.

⁵³⁾ Podobnie o kobietach polskich wyraża się Langer w widowisku pt. *Die Mädchen von Kosel*.

⁵⁴⁾ Scholtis, *Baba und ihre Kinder* (powieść „druga“ ze względu na czas jej powstania).

⁵⁵⁾ Scholtis, *Jas der Flieger*.

⁵⁶⁾ Kurpiun, *Das schwarze Weib*.

⁵⁷⁾ Dodatkowo wyraża się o Częstochowie poeta Heyduk. Niestety nie mam pod ręką zbioru jego poezji. — Wyjątkiem jest też powieść Langer z tytułowaną *Richter Wichura*. Nie wspomina on wprawdzie Częstochowy, ale zato duchowieństwo katolickie, którego przedstawicielem jest tutaj ksiądz Fanta Kazimierz. Trudno określić narodowość tego księdza, sądząc po nastawieniu Langer do Polaków, to będzie on jednak Niemcem.

⁵⁸⁾ Fischer.

⁵⁹⁾ T. zn. Molo i Kurpiun.

^{60/61)} Langer, *Richter Wichura*. — Zdaniem Langer mówi Ślązak w ten sposób: „Nu da werr ich ja lieberscht bleibn, wo ich bin, und da wird gutt ja sein. Der Prusski Król in Berlin is mächtig und wird schon helfen, wenn die Sündenmetze von die grossen Herrn wird voll sein, und da drieben bei die echte Poler is ja erscht recht nich gutt“. Str. 258 (*Richter Wichura*). — Gdy Ślązak mówi po polsku, t. zn. dialektem śląskim, to wyraża swoje myśli mniej więcej tak: „Sam mosch Platzek und halt die Fresse“. Scholtis, *Baba und ihre Kinder*.

⁶²⁾ Langer, *Richter Wichura*.

⁶³⁾ Określeń tych używają kolejno: Molo, Scholtis, Richter, Langer i Kurpiun.

⁶⁴⁾ Czy zdanie to należy przypisać Napoleonowi, jest bardzo wątpliwe. Pochodzi ono raczej od Woltera i brzmi trochę inaczej: „Grattez le Russe et vous trouverez le Tartare“.

Wilhelm Szewczyk

Paproć

Karolinka nie poszła, bo wybuchło powstanie.
W Gogolinie na niebie spotkały się dwa Piotry.
Więc Karliczek też został. Więc nie poszedł za nią,
bo na niebie się były wyświęcone dwa łotry.

Pod hałdami ją trzymał, pod hałdami ją gniótł.
A jam chodził i szukał dwumetrowej paproci.
Rosły takie na hałdach. Ale wiatr je dziś zmiotł.
A ja chciałem im podać paproć z mlekiem kokociem.

Confetti

W twe imieniny zagrają wszystkie miasteczne surmy,
policjant coś po niemiecku pod twoim oknem wybrzdąka.
Wiatr poobwija bzy świeże we wstęgi z bladej purpury
a potem się miasto pokłoni, miasto o nazwie Czerwionka.

W moim mieście kamiennym z dachów tyle gołębi,
tobie, tobie kochana, tobie strąca confetti.
Dziś maj trzeci, na drogach rozpryskuje się bęben,
bęben, bęben, Królowo! Śnie bladego poety...

Godzina

Ty nie płaczesz. Gdzieś w mieście. Ciebie oczy nie boją.
Baby, kozy przed burzą, uciekają od jagód;
wiatry gną się ku ziemi; „Pan Tadeusz” na stole
szumi, szumi — wieczorze, modrolistny maj magu.

Więc ci szkoda płakania. Ale tutaj inaczej.
Jakże ryczeć ze śmiechu, w brzożach kwilą jaskółki,
zaraz niebo się na nas zwali z hukiem i z płaczem...
I oklapną, zamokną twoje oczy, dwa fiołki.

Poradnik dla ludu górno-szląskiego

Karola Kosickiego w ocenie jego współczesnych

Wstępem poprzedził i przetłumaczył Jacek Koraszewski

Znakomitym szermierzem walki o język polski na Śląsku był w ubiegłym stuleciu Karol Kosicki, z pochodzenia — jak samo nazwisko świadczy — i z późniejszej działalności narodowej Polak, aczkolwiek potomek ziemczonęj, od dawna na Śląsku osiadłej rodziny. (Nazwisko jego spotykamy w kilku odmianach: Koschützky, Koschützi, Koszutski, Koszycki; przeważa jednak w polskich opracowaniach poprawna według nas forma: Kosicki.) Szczegóły bio- i bibliograficzne o tym ofiarnym obrońcy naszego ludu, składające się na wcale pełną, choć nie wyzbytą sprzeczności całość, znajdziemy u Orgelbranda¹⁾, Estreichera²⁾, w Wielkiej Encyklopedii Ilustrowanej³⁾, u Karwowskiego⁴⁾, Księdza (tj. ks. J. Kudery⁵⁾, Ludomira (tj. ks. E. Szramka⁶⁾) i innych.

¹⁾ Encyklopedia Powszechna (Orgelbranda), t. 15, 1864, str. 643—644.

²⁾ Estreicher, Bibliografia, t. 2, 1874, str. 449.

³⁾ Wielka Encyklopedia Powsz. Ilustr., t. 39, Warszawa 1905, str. 98.

⁴⁾ St. Karwowski: Polacy i język polski na Śląsku pod panowaniem pruskim. Poznań 1910.

⁵⁾ Książdz (tj. ks. J. Kudera): Dziennikarstwo polskie na Śląsku. Bytom 1912; oraz ks. J. Kudera: Obrazy Ślązaków wspomnienia godnych. Mikołów 1920.

⁶⁾ Ludomir (tj. ks. E. Szramek): W obronie polskości G. Śląska. Opole 1918.

Na tej podstawie dowiadujemy się, że się Karol Kosicki urodził w r. 1788 w Roszkowicach pod Byczyną. Młodość spędził pod Wrocławiem w ziemczonęj wsi Uraz (niem. Auras), nabytej przez jego ojca od ks. Henryka pruskiego. Języka polskiego nie znał wcale. Zapoznał się z nim dopiero — według cyt. Encyklopedii — w latach 1811—1818⁷⁾ podczas pobytu w Krakowie, gdzie się zatrzymał w sprawach rodzinnych. Według ks. Kudery (Obrazy...)⁸⁾ osiadł już w r. 1813 na G. Śląsku, odziedziczywszy wieś Wilkowice pod Tarn. Górąmi. Tu też w r. 1863 dokonał czynnego żywota jako 75-letni starzec.

Wszystkie wspomnienia przedstawiają go zgodnie jako człowieka prawego charakteru, ofiarnego, energicznego, odważnego i bardzo ruchliwego. Uczestniczył w pracach licznych organizacji⁸⁾. Wraz z Lompą i innymi założył „Towarzystwo pracujących dla oświaty ludu górnośląskiego”, którego Lompa był prezesem. Sam był przewodniczącym bratniej w dążeniach organizacji pod nazwą „Klub narodowy”, najdawniejszego stowa-

⁷⁾ Zapewne błąd drukarski. Miało być prawdopodobnie 1813.

⁸⁾ Był członkiem przeszło 20 towarzystw naukowych i rolniczych. (Orgelbrand.)

rzyszenia polskiego na G. Śląsku, co nieraz z dumą podnosił. Obok rozlicznych prac organizacyjnych rozwijał niemniej żywą działalność za pomocą słowa drukowanego. Z tej dziedziny notuje Estreicher²⁾ tylko dwie pozycje:

1. Verhandlungen und authentische Aktenstücke betreffend die Sprachfrage in Preussisch-Oberschlesien aus den Jahren 1839 inclusive 1859. Zum Druck befördert durch C. von Koschützky. Druck v. Reinmann, 1859, w 8-ce.

2. Poradnik dla ludu górno-szląskiego. (Pismo czasowe.) Bytom, lata 1850, 51, 52, 53. Wydawca Koszutski, deputowany na Sejm Berliński. (Wychodził dwa razy, później raz na miesiąc po 1 ark., w 3.000 egzempl. bezpłatnie; Koszutski piśmywał artykuły po niemiecku, a Smółka i Lompa tłumaczyli je na polskie⁹⁾).

Dorobek Kosickiego był jednak bogatszy¹⁰⁾, ale tutaj jest tylko druga z wymienionych pozycji, mianowicie „Poradnik”, przedmiotem naszego zainteresowania.

Wedle Estreichera wychodził on od roku 1850-53, czyli przez cztery lata; Encyklopedia i ks. Kudera podają, iż pismo to wychodziło przez trzy lata, od 1851-53. Wszystkie dotąd przez nas uwzględnione źródła są zgodne w tym, iż nakład „Poradnika” wynosił 3.000 egzemplarzy, przy czym jednak ks. Kudera wyraża się ostrożnie, że „Gazeta ta dochodziła do 3.000 egzemplarzy”¹¹⁾. Co do pierwszej wiadomości, to mylnie informuje nas Estreicher, ustaliliśmy bowiem na podstawie kilku zachowanych numerów „Porad-

nika” (komplet — według naszej wiedzy — niestety się nie zachował), iż zaczął on wychodzić dopiero w r. 1851; druga wiadomość wymieniająca wysokość nakładu jest zachwiana przez świadectwo współczesne „Poradnikowi”, któremu chcemy w dalszym ciągu wyłącznie poświęcić uwagę.

Leży mianowicie przed nami zeszyt 1. wydawnictwa „Jahrbücher für slavische Literatur, Kunst und Wissenschaft” za rok 1852, redagowanego i wydawanego przez J. E. Schmalera (Smolerja) w Budziszynie¹²⁾. Tam na str. 23-26 znajduje się ciekawy, miejscami niepozabawiony dowcipu artykuł poświęcony naszemu „Poradnikowi dla ludu Górno-Sląskiego”. Ciekawy jest ten artykuł z kilku względów. Informuje nas bowiem z jednej strony wyczerpująco o „Poradniku” i to w sposób odbiegający w niejednym od przyjętych mniemań (podaje m. i. cyfrę nakładu na 5.000 egz.), z drugiej zaś — wybiega treścią poza wąskie granice recenzji i daje zarazem, wprawdzie dość powierzchowny i zwężony, niemniej zajmujący i o dokumentarnej wartości wycinek ówczesnego życia na Śląsku. Stąd czerpiemy nowe świadectwo dla ustalenia zasięgu polskości na Śląsku, świadectwo tym cenniejsze, iż nie wystawiają go sobie sami Polacy, iż nie pochodzi — wbrew pozorom, jak się zaraz przekonamy — od pobratymców-Łużyczan (Smolef), ale ważne tym, że zostało nakreślone przez organ niemiecki!

Ustalić bowiem łatwo, że wspomniany artykuł został przez „Jahrbücher” wiernie przejęty z „Schlesische Zeitung”. Jest on sygnowany inicjałami Schl. Z., ale to niedostateczny dowód, nieodparcie natomiast świadczy o tym jego końcowa część, w której autor wraca do wcześniejszego omówienia katechizmu ks. Fiedlera (zamieszczone-

⁹⁾ Ścisły opis bibliograficzny 1. nru „Poradnika” jest następujący: Poradnik dla Ludu Górno-Szląskiego. Pismo dwumiesięczne. Redaktor i nakł.: (K[arol] v. Koschützky [Kosicki]). Bytom r. 1: 1851, nr 1: 31 stycznia. (Druk. Karola Kirscha w Bytomiu) 4^o (26½ × 20 cm) s. 16.

¹⁰⁾ W. Encykl. Powsz. Ilustr. wymienia jeszcze: Prestrogi względem kar za przestępstwa leśnicze. — Ueber unser Geld und Abgabewesen. (Opole 1825.) — Welches ist die beste Art der Rindviehfütterung. (Lipsk 1860.) Encykl. Orgelbranda prócz powyższych wymienia — „Was wir wünschen“ (1849). Ks. Kudera wspomina zaś w „Obrazach Ślązaków”, iż staraniem i nakładem Kosickiego ukazała się książka Lompy „Praktyczna nauka hodowania drzew owocowych”.

¹¹⁾ Ks. J. Kudera: Obrazy Ślązaków, str. 14.

¹²⁾ Jahrbücher f. slavische Literatur, Kunst und Wissenschaft. Verantwortl. Redacteur J. E. Schmal. 1. Heft 1852. Verl. v. J. E. Schmal. 8^o, s. 64 (mylnie wydr. 61) + 16 (Slawische Bibliographie).

gò w nr 120 Schlesische Zeitung), uzupełniając je nowymi uwagami. To uzupełnienie samo w sobie na łamach „Jahrbücher”, nie mających przecież do czego nawiązać, jest pozbawione wartości, dowodzi natomiast tego, że Smoleń przejął bez poprawek i skrótów zajmujące nas wywody z „Schlesische Zeitung”.

Obracamy się — pamiętamy o tym — co prawda w latach względnego liberalizmu (Fryderyk Wilhelm IV), niemniej sądzimy, że mamy przed sobą dowód wyjątkowego ustosunkowania się do sprawy polskiej, tym godniejszy przypomnienia, ponieważ należy do rzędu zapomnianych, prawie niedostępnych, drobnych wprawdzie, a jednak ważnych przyczynków historycznych do naszej przeszłości. Poniżej więc dajemy wierne tłumaczenie tego artykułu w całej jego rozciągłości.

PORADNIK DLA LUDU GÓRNO- SZŁĄZKIEGO

Rocznik I. 1851 itd. Bythom GS. u K. Kirscha.
(Cena 2 śr.)

Z pogranicza polskiego. Dzieje piśmiennictwa wszystkich czasów i narodów wykazują, że rynek księgarski istniał zawsze przede wszystkim dla inteligentów, uczonych etc. i że o pielegnowaniu oświaty i podniesieniu duchowym szerszych mas ludowych myśli się w regule na samym ostatku. Ażebym tę prawdę, będącą zresztą prostą odmianą wypowiedzi biblijnej: „Albowiem, kto ma, będzie mu dano, a kto nie ma, i to, co ma, odejmą od niego”, zastosować do polskiego rynku księgarskiego na Śląsku, wystarczy nadmienić, że bez trudu możemy osiągnąć dzieła klasyczne takiego Karpinskiego (4 t.), Kochanowskiego (2 t.), Krasickiego (10 t.), Naruszewicza, Orzechowskiego, Trembeckiego, kazania Kajetana Gawinskiego, Szaniawskiego, Fiedlera etc., tłumaczenia z Horacjusza, Wirgiliusza, Tibulla i mnóstwo innych pisanych dla wykształconego czytelnika polskich dzieł dzięki ich ukazaniu się w śląskich księgarniach (u W. G. Korna we Wrocławiu), gdy tymczasem dość długo musimy szukać, nim natrafimy na książkę przeznaczoną dla znajdujących się jeszcze na Śląsku w liczbie 7 do 800.000 osób polskiej ludności wiejskiej i ma'omieszkańskiej. Niemiec, właściciel dóbr rycerskich p. K. Koschützki na Wielkich Wilkowicach pod Tarnowskimi Górami, który poznał nędzę kulturalną (geistige Not) swoich sąsiadów z prawego brzegu

Odry począwszy od r. 1815*) z bezpośredniej obserwacji, który jest silnie przepojony wskazaniem: „Bądźcie wykonawcami słowa, nie zaś słuchaczami tylko”, utwierdzony w zasadzie, że grzeszy ten, co mogąc dobrodziejstwa świadczyć, tego nie czyni, ten to niemiecki, prawdziwie pruski patriota, nie marzący bynajmniej o wskrzeszeniu państwa polskiego, wskazuje nam jak należy postępować, jeśli chcemy Słowianom śląskim zapewnić należną im część kultury zachodniej. Począwszy od stycznia r. bież. wydaje on wymienione wyżej czasopismo polskie „Poradnik etc.”, t. zn. poradnik dla rolników (Ratgeber für den Landmann**) w odstępach dwumiesięcznych na 2 arkuszach i to w 5.000 egzemplarzy. Wysoki ten nakład po największej części rozdaje się bezpłatnie; ewentualni abonenci otrzymują cały rocznik po bezprzykładnie niskiej cenie 2 grs. przez każdą księgarnię jako też za łaskawym pośrednictwem królewskich urzędów starościńskich. Przedsięwzięcie to jest aż nadto humanitarne (menschfreundliches) i szlachetne, wskutek czego musimy zawezwać i zachęcić duchowieństwo wszystkich wyznań, nauczycieli, zarządy gmin, ziemian, urzędników do korzystania zeń w sposób jak najsumienniejszy i życzliwy. Oczywiście nie można tutaj dopuścić do głosu cynicznego indyferentyzmu, zasługującego na surowe potępienie jako sprzeniewierzenie się ideałom ludzkości, który niczym innym posługiwać się nie umie poza nędznym frazesem, że jest rzeczą całkiem obojętną, czy chłop czyta albo czy ma cokolwiek do czytania, gdyż wówczas wydawałaby się cena 2 grs. za 24 arku-

*) Czyżby to była ścisła data przybycia Kossickiego na G. Śląsk — wbrew poprzednim 1813 i 1818; p. wyżej! (Przyp. tłum.).

**) Taki tytuł nie powinien bynajmniej nasunąć mylnego mniemania, jako by w miastach nie było już Polaków. Szacujemy, iż jedna trzecia ludności polskiej na Śląsku przypada na miasta. Tutaj należy znów zauważyć, iż polscy mieszczaństwo bynajmniej nie należą do proletariatu, lecz że stanowią wcale często, szczególnie w okolicach katolickich, główny ośrodek mieszczaństwa (geradezu den Kern der Bürgerschaft). Pojmie to doskonale ten, co kiedykolwiek bliżej poznał Tarnowskie Góry, Rybnik, Pyskowiec, Wielkie Strzelce, Toszek, Pszczynę, Lubliniec, Gliwice, Opole, ale to nie tylko może przez pobieżną rozmowę ze znakomitościami miejscowymi, lecz z bliskiego obcowania z ludźmi wszelkiego pokroju, podobnie i to, że miasta takie jak Miasteczko, Woźniki, Mysłówice w porównaniu do mniejszych miast Królestwa Polskiego są również pod względem stosunków językowych tak do siebie podobne jak dwie krople wody (ein Ei dem anderen), przy czym tutaj reprezentują żywioł niemiecki w pierwszym rzędzie tylko żydzi rozumiejący po

szę druku^{***}) jeszcze zbyt wysoka. Szanowny wydawca wypełniał dotąd ściśle zapowiedzianą w pierwszym numerze ubiegłego rocznika dążność czasopisma do zaznajomienia rolnika ze wszystkim, cokolwiek by miało dla niego znaczenie, szczególnie więc „z postępami rzemiosła^{****}”, gospodarki domowej lub rolnej, z ustawami i rozporządzeniami władz, z jego prawami i obowiązkami obywatelskimi etc.

niemiecku w każdym nicomal zakątku Europy i, za pozwoleniem, posługujący się również żargonem niemiecko-polsko-żydowskim, lepiej oczywiście niż w Tarnowie, Lwowie, Krakowie, Żarkach, Kaliszu, Poznaniu etc. Pierwotne polskie nazwy miast na Śląsku utrzymują się z bardzo nielicznymi wyjątkami do dnia dzisiejszego w języku potocznym i literackim. Niemiec nie dowierający temu zechce, jeśli by chciał mieć o tym całkiem jasne wyobrażenie, wziąć do ręki mapkę tej prowincji dodaną do małej polskiej geografii Śląska J. Lompy (Lubliniec u Plessnera), skoro przeglądanie takich wydawnictw jak Knie's Verzeichniss sprawia mu zbyt wiele kłopotu.

^{***}) Oczywiście omyłka, suma arkuszy wynosiła bowiem za rok 12. (Przyp. tłum.)

^{****}) Cały ten rocznik jest świetną repliką na wykład pt. „Gegen die polnische Sprache in Schlesien“, przedstawiony 6 marca 1852 r. na posiedzeniu Związku Gospodarczego Rolniczo-Leśnego (in dem land- und forstwirtschaftlichen Verein) przez zarząd tegoż i wydrukowany na mocy uchwały związkowej. Sam ostatni jego odcinek XXXIII pt. „O drenażu“ wystarczy, żeby wspomniany wykład z gruntu obalić i w tych okolicznościach doprawdy nie zachodziła potrzeba ogłoszenia drukiem przez p. Koschützkiego jego głośnego niemieckiego listu p. d. Wilkowice, 2 kwietnia, zwróconego przeciwko owemu wykładowi. Szanowni członkowie wymienionego związku zechcą tylko zwrócić uwagę na poradnik, t. zn. przeczytać go sumiennie, a w braku umiejętności czytania po polsku kazać go przetłumaczyć i wówczas dojdą do przekonania o bezwzględnej niemożliwości realizacji tendencji omawianego wykładu. Wobec znanego reskryptu rządowego ni fallimur z d. 14 grudnia ub. r., nie należało w ogóle wymienionego wykładu drukować.

Omawiany rocznik stanowi już w swoim zakresie wcale pełny zbiór encyklopedyczny najważniejszych wiadomości, przy czym jest tak przystępną polszczyzną pisany, że się w nim wyzna i ulegnie jego kulturalnym wpływom nawet najbardziej zepsuty dialekt, jakim np. mówią w okolicach Brzegu. Cośmy niechętnie zauważyli, to brak szerszego rozważania tej sprawy, że wprawdzie pożyteczne i potrzebne jest paszenie koni, wołów, krów, świń, gęsi, zbieranie grzybów, jagód, podściółki, drzewa, niemniej jednak nie powinni wskutek tego rodzice zaniedbać regularnego wysyłania dzieci do szkoły. Niezawodnie jednak zostaną w przyszłości i podobne zagadnienia uwzględnione. Wśród anegdot o Fryderyku II podana jest i ta o rozmowie pewnej polskiej wieśniaczki z Lubiąża z wielkim królem podczas jego pobytu w Brzegu. Jak wiadomo, skierowała ona pod koniec rozmowy następujące słowa do króla: „Jeśli chcesz być naszym królem, musisz władać językiem polskim, żeby cię twoi poddani mogli zrozumieć“, na co król wybrnął z ambarasu przez taką odpowiedź: „Moja droga, kiedyś się uczył mówić, toście jeszcze nie byli moimi poddanymi, zostańcie z Bogiem“. Król zaciągnął następnie we Wrocławiu rady rektora Arletiusa w sprawie nauczania się polskiego. Arletius rzekł: „Przecież Brandenburczycy nawet niemieckiego nie mogą opanować“, na co otrzymał odpowiedź: „Jest z Niego wielki uczoney, ale niesłychany grubianin“. Podanie owej kobiety zostało jednak w całej rozciągłości uwzględnione, a królowi dostał się w podzięce wór grzybów. W końcu życzymy jeszcze wydawcy, by dzięki wydatnemu poparciu jego wydawnictwa mógł w jak najkrótszym czasie rozpowszechnić nie 5, lecz 50—60.000 egzemplarzy swego czasopisma. Przy okazji zaznaczymy jeszcze, żeśmy ostatnio przy omawianiu polskiego katechizmu ks. pastora Rob. Fiedlera z Międzyboru (nr 120 Schles. Ztg.) zapomnieli wśród jego pozostałych polskich dzieł wymienić kazanie, które się ukazało w 1829 pt. „Pierwsze kazanie“ etc. i że się ostatnio już w drugim poprawionym nakładzie ukazała książka „Medziborer ABC oder Anweisung zum polnisch-deutschen Lesen“ (Brzeg, druk. A. Klockau). Podobnie wypada nam uzupełnić, że ks. pastor Fiedler jest obecnie również współpracownikiem Szkoły polskiej.“

Jerzy Probosz

Wesele górali istebniańskich

Odsłona III. Wywodziny

(Izba uboższa jak poprzednio, Hanka siedzi na stolku, starościna przyprawia jej wieniec, obok stoi drużka, której druga kobieta układa fałdy kabotka. Starosta i Kubek za stołem, matka w kącie)

Starościna:

Tósz Haniczko usz by to było, nalie przechroźnie czy winieczek pasuje, alie nie płacz! nic sie nie starzej, porzykej se dobrze a uoddej wszecko na wólym Bożóm, dyć Pón Bók mo wyncel nisz rozdoł a jak sie go nie spuszcisz, to cie un tesz nieopuszczci.

Starosta:

Trzeba jyny dacz pozór, coby skiyl nie prziszli.

Kubek:

Ujcu! jo wóm powiyim, kiedy mocie zapiyracz.

Hanka:

Tómek opsyłka tesz miol przijszcz jak pojadóm...

Starościna:

Ha, tósz uni bedóm jisto z Kubkym w porze uod fojtowej stróny.

Matka:

Ja, ja, miły mocny Boże, ani siostry, ani szfagra na wiesielu nima (płacze).

Starosta:

Ap! babo nie płacz, dyby nie było zowiszczci, toby ani piekła bezmała nie było. Zusce widzisz sie zdało, że Janko po nióm prziszel i tósz niedarmo trucuje.

Drużka:

Zuska dyby tela nie gonila za chłopcziskami, toby sie ji pryndzy kieryszi dostol.

Kubek:

Borok pacholek by był, alie nie dziwota, bo padajóm, że kiery mo krynte włosy, to kajždy spórny, — wyndym na pole, jeszi co nie czucz.
(Wychodzi, słychać w dali muzykę)

Drużka:

Jidóm, jidóm, dyby usz tu byli.

Starosta:

Alie dycz przidóm, jyny dej pozór aż wiynsza nie zmylisz.

Hanka:

Pojmy, Jefka, do kumory.

Starościna:

Doczkej Hanka, poczuwej, jak przidóm przed szyń, to podziwej sze uoknym cobysz go pyrwej widziała, jako un тебе, to cie bedzie wdycki miol rod, a fkoszcele dej pozór, coby na twoje miyjsco nie klynknól, boby czy rozkazowól, a jak skoszczola wyńdziecze, to sze ty pyrwej ku niymu nie przigwarzuj, jyny jak bedziecze wlazowacz do koszczola, to go spytej jakigo grejcara na uofiarym, to bedzie wdycki na тебе pamiyntól spiniódzami.

Starosta:

Nie pleczżisz tesz staro powiarków.
(*Wpada Kubek zdyszany i Tomek*)

Tomek:

Aliech sie przekłósol na prosto przes polie, uni jadom cestóm. Nie byłbych powiedziol wycze; jak starosta robił kozani i Janko sie wybiyroł z domu, a dziynkowol uojóm za wychowani, tosz jyny był taki zwuk, tak wszecko plakało asz chruza.

Drużka:

A družba szumny je?

Tomek:

Możesz wiedzieć a spiywo chrożecznie.

Starościna:

No stary postof zisz sze, aby my tesz nie byli w gańbie.

Starosta:

Nie buj sie! Nimóm głowy jyny na paradym, alie ty tesz zaspivywej szikownie.
(*Za sceną śpiew*)

1. Wyleciol gawron przes dziedziński groń,
Siednól w ogródeczku przy pięknym kwioteczku
Obsadził sie sóm.
2. Wyleciała lastóweczka z Jankowego okiyneczka.
Leci, leci ponad góry do Hanczinej do kumory.
3. Jidymy, jidymy, chodnika nie wiymy,
Alie ludzie wiedzóm, to nóm tesz powiedzóm.
Uhuhu Uhuhu

Kubek:

Zapiyrejczje, bo usz tu sóm.

(*Starosta zapijera drzwi, kobiety wyglądają oknem, Hanka z družką wychodzą do komory, muzyka za drzwiami gra: Pochwalon bądź...*)

Za drzwiami śpiew:

Nacószcze tu zapiyrali,
Dyszczje sze nas pozdowali,

Zaprzyliszczje chrubym kołym,
zostónczje tu spanym Bogym.

Francek (*burzy*):

Parcie tu jeszcze spióm... (*burzy*) Hej! hej! ludkowie, na dy stowejcze, słońko usz wysoko.

Starosta:

A niechżisz tam bedzie, my urobióńi, tósz sze nóm chce spacz.

Francek:

Puszczcie nas tesz, spocznymy se kapkym u was na chwilym, bo idymy z daleka, my dobrzi ludzie.

Starosta:

Dobrzy ludzie cestóm chodzóm, a nie dróm sze tam kany spióm i nie robióm krawalu.

Francek:

Alie panie starosto, my mómy wyszwiadczyni z pieczyńczoń na przeukoz (*podaje przez szparę w drzwiach papier i flaszkę*). Tu jest przepustka, a tu pieczyńcz.

Starosta:

No nie jest to nejgorszi to wyszwiadczyni, tósz puszczymy aspón ze dwóch.
(*Otwiera drzwi, garną się wszyscy*)

No, no, nie wszecy naros, bo krawal wielki robicze i naszych ludzich możecze pobudzicz.

Francek:

Panie starosto, przeboczczie, a nie gniywejcze sze na nas, bo wycze, moji ludzie usz strasznie cestóm unawióńi, tósz jak wasze obejszczi uwidzieli, tak sze zradowali, co wszecy poczyni spiywacz, — mómy tesz wycze aji dwóch muzykantów, uoto tych... uni wycze grajóm jeszcze na tych kónsztownych isztrumyntach, co kiejszi pastyrze grali Jezuskowi w Betlymie. Jak wóm uni zagrajóm, to se zaros podskoczicze.
(*Gajdosze nastrajają i grają „Bartoszu, Bartoszu...”*)

Starosta:

Racy lebo nie grejcze a powiydzce cobyszczce tesz radzi?

Francek:

Mielimy szumnego ptoka co sze fszcekim podoból i ulieczoł nóm a bezmali tu kajszsi sze zastawił, tósz panie starosto pochladejcze nóm go tesz, my was poczynstujymy.

Starosta:

Pozdym, alie niewiym, czy co nóńdym.

(*Starosta wprowadza Piórko, muzyka gra: Pojadymy na łów...*)

Piórko:

Witóm was, panowie weselowi, pocózeszczcie przyjechali — pomnie, joch jest jeszcze malutko, nie umiym ani krowy dojcz ani gospodarzicz, alie jest tu tako młodo pani, co usz umiy gospodarzicz, alie ji nie dostaniecze, panie starosto, pokiyl nie położicze na talyr dukotów sto (*wszyscy Piórko chwałą*).

Francek:

Ja to przyjmujymy, jyny to przeca malutki, a nóm trzeba do pory, panie starosto, tymu tu uoto (*stawia družbę*) jaki je szumny, czyrwiony, młody, mocny, aji szwarny, a sóm borok, panie starosto, dycżżisz mu tesz przecym co pochladejcze.

Starosta:

Dejcie mi pokój stym chladanim, joch dziepyr wstoł, uoczi móm zaszkrzane, boch sze jeszcze ani nie umył, a was usz tu grzych prziniós a potym na ranoch tesz jeszcze nie rzykoł i mógło by sze mi źle darzicz, a ku tymu uobiecaliszczcie poczynsóm a nie dowocze nic i usz suchuczko w chyrtoniu.

Družba:

We wasze rynce, panie starosto (*daje mu flaszkę*).

Starosta:

Tósz ros jeszcze zóndym (*wychodzi*).
(*Muzyka gra: Pojadymy na łów... starosta przywodzi družkę*)

Družka:

Stej kumory wystympujym, witóm wszeckich i wiynszujym młodemu panowi szczyjszczio a družbowi wszwieczie wźynczio, boszcze wy nie przijechali, abyszczse przebiyrali, bo jak przebiyracz bedzieczse, to do szluby bez młodej pani pojadzieczse, bo una nie jest żodno pijoczka ani daryboczka, una nie utracziła sfojego wióneckzka. Po górach i lasach chodziła nim na tyn wióneckzek nazbiyrała. Bótki se zmazała, fortuszek stargała, trzi dni i trzi noce nie spała, sztyry szfiyce wypoliła, zajim wioneczek uwiła, a tej pióntej do połowy, nim go ukończyła. Wy panie starosto bywocie na postrzód wsi a fszeczy ludzie sóm na was źli, ale wy se stego nic nie róbcie, jyny mi szikownego družym namówczse, coby mi był towarzyszym dnia tego a po roku skóńczónym za pana młodego.

Francek:

Alie tesz to szumnie wiynszuje, to przijmujymy i tu uoto do pory dziwejcze sze jako im to pasuje, jako dyby wkupie uroszli, jyny tacy bliźniocy, alie tyn uoto borok siyrotka nie jyny jymu żol ale nóm go wszeckim żol, panie starosto, dyczżisz mu tesz tam co pochladejczse.

Starosta:

Nie bedym sie zdrogoł, dy chceczse prziniesym wóm coszi, ale was to beje kupa kosztowacz. (*Muzyka gra: Pojadymy na łów, przynosi gałązkę miotu.*) Jak Noe za dni sztyrycet wypuszczil gołymbicym z korabua una prziniysła galónskym oliwnóm, tedy fszeczy zgromadzóni sze radowali. Tak jo wóm tesz przinosisim galónskym miotu, to jest znak panieństwa uod naszij zocnej i poczcziwej dziyweczki, uona znak tyn uod swojigo dzieciństwa chowała i opatrowała, jak uoko w głowie, dowala naniego pozór jak na złoto. Totesz jak to chceczse kupicz muszicze mi złotym płaczicz a uoto nasze baby niech to uoszaczujóm.

Śpiew (duet):

Mężczyźni:

*Istebniajski dziyweczki
Kajż wy mocze wióneckzki?*

Kobiety:

*A momy je wkumorze
Powieszane na szniurze.*

Mężczyźni:

*Cószby jedyn kosztowol?
Jakby go gdo kupowol!*

Kobiety:

*Jak chudobny syneczek...
Trzi tyszonce wióneckzek.
Jak bogaty ros tela,
A to jeszcze nie wiela.*

Francek (*skrobie się po głowie*): Hm, kupa tego za takóm fabulkym, możebyszczé coszi spuszczeni aspón na chołdamasz.

Starosta:

Ani dwa grosze, bo momy tu doszcz takich, coby schyńczóm zapłacili dyby my to jyny przedali.

Starościna II:

Jyny zapłocce, zapłocce, dy nas majóm za co, to my se jich tesz szanujmy. Janko! nasyp złocioków do przigarszczo. (*Janko płaci brzęczącą monetą.*)

Francek:

Zostow zisz zedwa złote, bo pujdymy kole karczmy jeszcze.

Starosta:

Pónbók zapłac za pinióndze, tósz wyncel wóm usz nie trza.

Starościna I:

Alie stary, dycz stej wónióńczki nic nie bedzie miół (*przypina mu mirt do bruclika*).
Parcie, pasuje mu to, ale wóniączka i młoduca, to sie mu oboje patrzy.

Starosta:

Tósz dyby mie kiery poczynstowół.

Wszyscy:

Uodymnie panie starosto.

Starosta:

No wyzcze, kupa tego chładanio, nale dy usz tak pięknie pytocze, to jeszcze zóńdym pozdrzycz, a co nóńdym, to wóm przikludzim (*wychodzi, muzyka gra: Serdeczna matko, wprowadza płaczącą młoduchę*).

Francek:

Tosz toszcze nómieli nejpryndzy prziniyszcz, a nie zbiyracz tam jakichszu wykryn-tasów, a wywijasów, podziwejcze sze, jako nómi to pasuje.

Przemowa starosty:

Wieszeli, wieszeli radosno to chwila — mo sze dziszka złóńczicz spachólkym dziewu-cha, pujdóm do koszczoła kszónc jim zwióje ryncy i przez całe ziczi w radoszczi czy w mynce muszicze sze wspiyracz młodzi małżónkowie, do dziszka żesz miała wióńeczek na głowie, alie dziszka stracisz go wieczór Haniczko, ty Janku pamiyntej, jak ji zbladnie liczko, abysz jinszij nimioł nigda na pamiyńczy, wierni bycz muszicze jak chcecze miecz szczyjszczi, bo to tam w małżyństfie rozmajcze bywuje, dziszka sze uožynisz a jutro banujesz. Kiedy Jezus Krystus swoje ziczi kóńcił, to małżónkóm swój krziż na wieki poryńcił, to choczasz jest barzo czyjszki kamiyń młyński, to nieros ciyjżyjszi jezde stan małżyński. Alie jak sze wdycy miłowacz bedziecze, to se ziczi swoje wszczyjszczu przeżijecze, bo miłoszcz a wiernoszcz to sóm podwaliny stanu małżyńskiego, to tesz niech gdo inny miyndzy was sze nigda przez ziczi nie wkryńczy, bo pozbycz tam lachko jest swojym czistotym, alie potym stracisz do ziczio uochotym.

Mamulko Hanczino, chcym czy podżynkowacz, nimioł czy gdo pómcó szyroty wychowacz, niech czy to mamulko Pómbóczek nagrodzi, wy tesz uo ni nigda nie zabyszczé młodzi, za swe wychowani uojcom zapłaciczcie jak nigda nic złego w zicziu nie zrobicze. Na staroszcz tesz byjcze dło uojców pómcoci — jakby nie robili, jak bedóm nimocni to jich uopatrzcze, Pon Jezus zapłatym dło was nagotuje wswych

dobrach zaszwiatym. I wóm tesz dzynkujym szostriczki, bratowie, Hanka was uopuszczo z wióneckym na głowie, tak wy se tesz wożcze swoji niewinnoszczi, chociaż byszcze prziszli z drugiymi do złoszczi, bo czistota to skarb nejwiynczi za młodzi, jak go ros utraczisz, tosz sóm siebie złodziyj.

Teras dzieczi złote nim styl uodyńdżecze, to jeszcze swej matce dó nóg upadniecze, a mamulka mile wóm poblógosławi byszcze wszczyjszczu przeszli přes tyn padol łzawy, byszcze zwyczyjżili fszecki pokuszynia, byszcze nie skalili swojigo sumiynio.

(Młodzi klękają.) (Śpiew w s z y s c y):

Tatulku z grobu stowejczel!
Pożegnani mi dowejczel,

Boszcze mi go nie dowali,
Kiedyszczel wy umiyrali.

(Matka kładzie ręce na głowach młodych i kropi święconą wodą, mówiąc):

Niech was błogosławi Bóg Uojciec, kiery was stworził, niech was błogosławi Bóg Syn, kiery was swojóm krwióm nejdrogšzóm wykupił, niech was błogosławi Bóg Duch szwiynty, kiery was poszwiyńcił, Amin!

(Ojciec pana młodego jak wyżej, matka młodej pani żegna i mówi):

Schojnoszczi niebieskiej i z obfitoszczi rosy ziemskij niech wóm błogosławi Bóg Uojciec, Bóg Syn i Bóg Duch szwiynty, a jo wóm błogosławim jako uojciec swojim dzieciom. Wejmienio Boga Uojca i Syna i Ducha szwiyntego Amin.

(Matka pana młodego, jak wyżej):

Niech wóm Bóg łaskawy błogosławi na potomstwie, na majontku, na dobrej sławie, abyszczel mógli dłogo szczyjszliwie žicz a po szmierczi w niebie sze czeszicz aż na wieki wieków Amin.

Muzyka gra i śpiewają wszyscy:

Królu wieczny, błogosław
Dziedzictwu Twójemu,
A bądź každemu łaskaw
Cię wzywającemu.

Racžel też w nas zapalić
Ogień Twel miłości,
A potem uszczęśliwić
W niebieskiej radości.

Franczek:

Tósz Bóg zapłać! Wóm uojcowie i matki za wychowani, wóm dzieczi mile za posłóchani, wóm panie starosto za piekne i uobzdelne kozani, wóm muzykańczi za szumne grani, a wóm wieszelnicy za fszecko spiywani, a teras usz tesz ludkowiel pojmy do koszczola, coby my nieskoro nie prziszli, z Bogym! dómie drogi, dómie rodzinny, dómie uojcowski, dómie złoty z Bogym!

Śpiew 1:

1. Zostónczel tu z Bogym
Wy ojcowskie progi,
Bo usz tu nie bedóm
Chodzicz moje nogi.

2. Ani nogi chodzicz,
Ani ryncel robicz,
Choczby sze tu miało
Złoto strzybło rodzicz.

Śpiew 2:

1. Dy czi sze macziczko ruža rozwijała,
To zesz se ty na nióm zokna spozierala.
2. Usz czi sze macziczko ruža nie czerwiyni,
Bo czi jóm usz teras cudzi ludziel wżyni.

Starosta:

No, pojmy ludkowie, stowejmy do glidu (*ustawia pary, wychodzą na przedzie starosta I, dalej družba z młoduchą, pan młody z družką, starosta II i inni*).

Jurek (*śpiew*):

*Jak ku ślubu pojedymy,
Jakosz se tesz gracz kożymy;*

*Czi na chószlach, czi na basie,
Usz żesz dzywczyn nie jest nasze.*

Śpiew wszyscy:

*W Istebniajskim koszczeliczku szfiyce usz zapalujóm,
(:A Janek z Haniczóm:) wiecznóm miłoszcz szlubujóm.*

(*Wychodzą parami i śpiew*):

*Kto się w opiekę odda Panu swemu,
A całym sercem szczerze ufa jemu,
Śmieie rzec może, mam obrońcę Boga,
Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga.*

Kurtyna spada. Koniec III odsłony

Óndra Lysoborsky

Hrušowske rybniky

*Usmjéw čistoty w krabach wěčnej špiny,
horěčnateho čela chladny dech.*

*W zřodlo wěčnošći nořo še hodžiny,
w zřydlo čichošći šrómy dalnych ech.*

*Džiwoko huš wělnawo přeoruje
wodu jak we snu pastelowy čič.*

*W kónturach opatérnych břéh wibruje,
střybérnym tóném hřeje modry klin.*

*Nad škarpu zdřaje pělly dech maliny,
kaj woda curči mdlo z plesniwych ryn.*

Šidelko zašuščelo sném šašiny

Wčil spi a wšecko sni swój sěn.

Z książki „Skřydlami přes mreže”

Materiały

„O zwycięstwie nad zarazą gorzalczną w górnym Szląsku”

Zdecydowaną walkę z alkoholizmem rozpoczęto na Śląsku w r. 1844. „Ówczesny ruch trzeźwościowy — jak pisze Jan Wantuła¹⁾ — przejawiał się jakąś niesamowitą żywiołowością. Była to reakcja ciężko chorego i rozpitego społeczeństwa, a zmierzająca do uwalniania ludu od straszego nąłogu”. Ówczesny ruch trzeźwościowy, który wziął swój początek w Ameryce i w Anglii, objął Rzeszę Niemiecką, a wkrótce ogarnął także ziemie polskie, jak Górny Śląsk i Śląsk Cieszyński. Książka obu wyznań gorliwie popierała akcję antyalkoholową, która wkrótce mogła się poszczycić wspaniałym sukcesem. Już w r. 1845 ukazała się w Opolu ciekawa broszura tajnego radcy medycynalnego dr C. I. Lorinsera pt. „Der Sieg über die Branntweinpest in Oberschlesien” (Opole, F. Weilshäuser, cena 12½ sgr), która głosiła zwycięstwo odniesione nad tym strasznym wrogiem ludzkości, jakim jest alkoholizm. Książkę Lorinsera przetłumaczono na język polski i opublikowano w „Zwiastunie Wstrzemięźliwości w W. Xięstwie Poznańskim”²⁾ w nr 2—9

¹⁾ cfr. Jan Wantuła: „Śląsk ewangelicki w walce z alkoholizmem”. Cieszyn 1937, „Głosy Kościelne”.

z 1845 r. pod tytułem: „O zwycięstwie nad zarazą gorzalczną w górnym Szląsku, przez tajnego Radcę medycynalnego dra C. I. Lorinsera w Opolu”.

Autor cytowanego dzieła omawia wyniki walki z alkoholizmem skutecznie przeprowadzonej na G. Śląsku w owym czasie i „aby wystawić obraz wielkiego odniesionego zwycięstwa — pisze — trzeba nam nasamprzód wspomnieć o straszliwej potędze nieprzyjaciela, która ledwo w jakim europejskim państwie (wyjąwszy Irlandyę może) takby okropnie, jak w Szląsku górowała”.

Porównując Małopolskę z G. Śląskiem pod względem trzeźwości Lorinser pisze: „Objechałem już Galicję, osławioną z opilstwa od jednej granicy do drugiej, a nie spotkałem na dalekiej drodze, od Krakowa aż do granic Mołdawii tylu pijanych, jakem ich widział jednej Niedzieli na drodze przez 3 mile pomiędzy Beuthen a Mysłowicami, taczających i leżących”.

W dalszym ciągu swego ciekawego opisu autor wywodzi, że pijaństwo kwitło zwłaszcza na jarmarkach, gdzie za pomocą wódki pozabawiano się „władz umysłowych i rozu-

²⁾ „Zwiastun wstrzemięźliwości w W. X. Poznańskim” wychodził także w języku niemieckim pt. „Der Mässigkeit-Herald”. Redakcja piśmie znajdowała się w Bninie. Redaktorem był La Roche. Druk czcionkami M. Busse.

mu", na weselach i chrzcinach, gdzie „wyuzdane opilstwo doszło do tego stopnia, iż częstokroć państwo młode ze wszystkimi gośćmi od ołtarza oddalone bywało, a ślub na inny dzień odłożony być musiał, na chrzcinach częstokroć chrześniatko wystawione było na niebezpieczeństwo życia w rękę pijaniców”.

Jak dalece wódka opanowała wszystkich, wynika z następujących słów autora: „Każdego czasu i na każdym miejscu, we dnie i w nocy, przy robocie i odpoczynku pijano gorzałkę i tylko na Wielki Tydzień, pierwszego dnia Wielkanocy i Bożego Narodzenia, również w Boże Ciało zdawało się, jakoby opilstwo jakowąś przerwę miało. Mężczyźni i niewiasty, nie tylko dorośli, ale nawet i dzieci ulegały wyuzdanemu opilstwu. Pomiędzy klasą najuboższą nawet, która rzadko używała chleba, nigdy nie znalazła mięsiwa, mając za zwyczajny posiłek perki i kapustę, niekiedy tylko siadłe mleko, wódka była codziennym niezbędnym napojem. Ci zaś, którzy tylko tyle pijali, że zostawali przy zmysłach i mogli włączyć członkami, ledwie za pijaków uważani byli. Wszędzie pomiędzy ludem wkorzenił się taki obłąd i fałszywe przekonanie, iż wódka konieczną jest potrzebą na wzmocnienie sił i utrzymanie życia, bez której człowiek ostać się nie może, nic nie znieśie i nic dokończyć nie zdoła”.

Rozwodząc się nad ilością wódki corocznie skonsumowanej i nad ilością szynków istniejących w Prusiech i na G. Śląsku w I połowie XIX wieku, autor m. i. pisze: „W okolicach, gdzie jest górnictwo, trudnią się szynkarze nie tylko wyszynkiem wódek, ale też dostarczają jeszcze i to na kredyt żywności, i tym to sposobem szczególnie powstał rodzaj przywiązania ludu do szynkarzy, którzy całkiem ogłachnęli nieszczęśliwych. Dzień wypłaty robotników był zarazem dniem wypłacania długu szynkarzom, a każdy tydzień i miesiąc rozpoczynał się robieniem długów nowych. Gatunek sprzedawanych wódek w ogólności był jak najgor-

szy, ponieważ gorzelani dla formy opłaty cła jak najczęściej starali się wyprodukować spirytusu, choćby najgorszego, przez co tak spieszna destylacja przyjmowała tak wielkie mnóstwo części odurzających (fuzlowych), a trunki takowe częstokroć zaostżane przez szynkarzy witryolejem, hiszpańskim pieprzem i wielu innymi składnikami ów paskud tem bardziej psuła”.

Zastanawiając się nad skutkiem pijaństwa i nad nieszczęściami, które spowodowała „szatańska szklanica piekielną ręką podawana”, autor podkreśla, że „rozprężenie szczęścia i swobody rodzinnej”, spodenie obyczajów, występki i zbrodnie, wszelka nędza ludzka — biorą swój początek w nieszczęsnym nałogu pijaństwa.

„Nie podpada wątpliwości — pisze dalej autor — iż w Szląsku górnym niepospolita część terażniejszej generacji w stanie pijanym spłodzona, już w żywocie macierzyńskim gorzałką zatrutą została... Ledwo że matka na świat dziecię wydała, aliści już sówicie przyjmuje do ciała swego gorzałczaną truciznę, która cudownym jakimś sposobem bez wyraźnych złych skutków strawiona u jednych, u drugich zaś śmiertelne gangreny albo samą śmierć za sobą pociągała. ...Jest rzeczą niezawodną, iż nawet najmniejsze dzieci przy piersiach, oprócz spirytusowego mleka macierzyńskiego, niekiedy wódką napawane bywają”.

Wódkę uważano za uniwersalne lekarstwo na wszelkie choroby, cierpienia i dolegliwości, nie wiedząc o tym, że niejedna choroba, łatwa do uleczenia, zamieniała się u nałogowych pijaków w nieuleczalną lub chroniczną, że pijaństwo było powodem zbyt wielkiej śmiertelności niemowląt i matek oraz okazałej ilości porodów dzieci niezżywych, jako też zatrucia organizmu u dorosłych.

„Kto jeszcze w początku roku 1844 zwracał uwagę — pisze autor dalej — na klasę ubóstwa ludu górnego Szląska i obliczył wielkość nieszczęścia z używania go-

rzalki powstałego, kto z jednej strony rozpoznał słabość i niedołężność natury ludzkiej, przytępienie i ułomność, jako z drugiej strony niepokonaną moc nałogu i namiętności i nieprzeliczone przypadki sposobności i ułudzenia w zaspokojeniu żądz, ten oczywiście uważać musiał za rzecz niepodobną chęć zmiany tak oplakanego stanu i wykonanie."

A jednak — jak wywodzi dalej autor — stał się cud, gdyż nałóg pijaństwa został zwalczony i pokonany. Tak jak wszelkie dotychczasowe starania o unicestwienie „zarazy” alkoholowej okazały się jakoś bezskuteczne, tak „bądź zapał czy fanatyzm wzbudził nad wszelkie spodziewanie i nadał popęd duchowi bez nadzwyczajnego wysilenia taki, iż wroga powszechnego powalono”.

Jak się to wszystko stało, wywodzi dalej autor, jakimże nadzwyczajnym sposobem osiągnięto tak zbawienny skutek, trudno pojąć i jeszcze trudniej wytłumaczyć, dość, że „w sześć miesięcy prawie przewyżczył się sam lud polski górnego Szląska, przy czym wrócił się na drogę moralności, a kościół odniósł tak rzadki i świetny tryumf.”

Tadeusz Pietrykowski.

Jan Bochenek, artysta-malarz górnoszląski¹⁾

Wybitną jednostką, złączoną pokrewieństwem z biskupem chełmińskim Anstazym Sedlgiem, urodzonym w Dzieńmierowie pod Głubczycami na Górnym Szląsku, jest artysta-malarz Jan Bochenek. Podajemy kilka danych z jego życia ze względu na to, że, lubo zniemczony, jak jego wuj, biskup, miał sympatyczną styczność z artystą-dyletantem Malińskim w Rzymie.

Jan Bochenek, rodem z Hulczyna (* 2 V 1831), pochodząc z ubogiej rodziny stolarskiej, zdradzał nadzwyczajne zdolności malarskie już na ławie szkoły ludowej oj-

¹⁾ Por.: Ernest Jureczka, Johannes Bochenek, ein schlesischer Maler. Oberschlesische Heimat, t. 7: 1911, str. 68—80, 97—108, z autoportretem i 8 reprodukcjami.

czystego miasteczka tak, iż miejscowy dziekan jako inspektor szkolny obiecał postarać się dla niego o zapomogę naukową u biskupa Sedlaga, kuzyna jego matki. Czy wsparcie otrzymał, nie wiadomo. Przypuszczać atoli należy, że biskup prośby nie uwzględnił, albowiem szafował hojną ręką tylko na rzecz ubogich adeptów teologicznych i, jak z zapisków testamentowych wynika, pamiętał tylko o swej najbliższej rodzinie i dzieciach swej siostry. Tak młody Jan skazany był sam na siebie. Pracując w warsztacie swego ojca, zarabiał udatnym portretowaniem wybitnych osobistości z okolicy na zebranie funduszu, który by mu umożliwił poznanie tajemnicy sztuki w Akademii berlińskiej.

Jako 18-letni młodzieniec dotarł do Berlina. Praca na utrzymanie zabierała mu wiele czasu, ale został przyjęty jako elew do Akademii i robił ogromne postępy. Obok tego pracował niezmordowanie nad swoim ogólnym wykształceniem. Tu powstały między innymi trzy jego religijne obrazy dla parafialnego kościoła tarnogórskiego: św. Barbara, Pan Jezus w studni Jakubowej, Syn marnotrawny. Zdobył także kilka pierwszych nagród akademickich, a w konkursowej pracy państwowej z dziedziny malarstwa historycznego na temat „Tęsknota za rajem”, stał się zwycięzcą nagrody państwowej w wysokości 1.500 tal., przeznaczonej jako zapomoga na trzyletnią podróż naukową do Włoch²⁾. Szczyt jego marzeń stał się rzeczywistością.

²⁾ Gwiazdka Cieszyńska (1859, str. 370) o głośnym tym zdarzeniu pisała następująco: „Szląski artysta malarz Jan Bochenek zasłynął teraz w Europie, i Prusy wielkie w nim pokładają nadzieje. Jest on rodem z Hulczyna na pruskim Szląsku. W przeszłorocznym konkursie akademii sztuk pięknych odniósł zwycięstwo, w skutku którego otrzymał stypendium 1.500 tal. na trzy lata, celem kształcenia się we Włoszech. Przedmiotem obrazu konkursowego była „Pierwsza rodzina”, przedstawiająca Adama i Ewę z dwoma chłopczykami Ablem i Kainem. W tym roku wykonał na frontowej ścianie starego muzeum obraz al fresco, przedstawiający złożenie

Jako laureat i stypendysta wybrał się do Włoch przez Wiedeń (1858), spędził tam zimę na studiach muzealnych i wykonał Assuntę (Wniebowzięcie Matki Boskiej), zamówioną dla Tarnowskich Gór. W drodze do Rzymu wstąpił do Werony, Mantui, Wenecji i Florencji, wszędzie zatrzymując się i robiąc szkice. Do Wiecznego Miasta przybył w połowie czerwca 1859 r. Wywarło ono na Bochenku odurzające, przemożne wrażenie. Rzym i przepiękne otoczenie Kampanii o melancholicznym wdzięku dostarczały nastrojów i najidealniejszych warunków pracy: materiały, modele, pracownice i wybitni artyści. To też z całego świata byli tu wybrani adepci sztuki. Pokrewne dążenia złączyły Bochenka z artystyczną kolonią niemiecką, której cały zastęp tu przebywał, czy to na studiach, czy też na stałe, jak jej patriarcha Piotr Cornelius, Fryderyk Overbeck i Anselm Feuerbach. Tu spotkał też swych ziomków górnośląskich, rzeźbiarza Jandę i o. rezurekcyjnistę Březkę, z którym robił wspólne wycieczki w góry sabińskie i albańskie. W wysoce kulturalnym środowisku rzymskim wzbogacał swą wiedzę, pogłębiał uczucie; a talent rozwijał się i krzepł. Latem zamieszkiwał w Zagarolo, miasteczku pomiędzy górami albańskimi i sabińskimi. Tu namalował dla tamtejszego kościoła wielki obraz: św. Wawrzyńca przed śmiercią męczeńską w otoczeniu 16 figur naturalnej wielkości. Poświęcenia obrazu dokonał kardynał Amati Palestrina. Całe miasto było obecne przy tej uroczystości, także patron kościoła, książę Rospigliosi. Maestro Giovanni stał się przedmiotem owacyjnego hołdu.

Miejscem zbornym różnoplemiennej gromady artystycznej w Rzymie była wówczas

zw'ok Tezeusza w świątyni ateńskiej. Wymalował także do Maryjebadu obraz ołtarzowy. — Jest to jeszcze bardzo młody człowiek, pełen talentów, muzykalny, z dziejami sztuki gruntownie obeznany, a co go szczególnie zaleca, jest do podziwiania skromny; tylko zdrowie jego jest zbyt delikatnie.“

traktoria na piazza Barberini, narożnik via Tritone. Było tam kilka stołów. Jeden niewielki nawiedzał od wielu lat stały gość w podeszłym wieku, emigrant polski z Opátówka koło Kalisza, Józef Maliński, który portretowaniem i sprzedażą fotografii własnej kompozycji zdobywał środki do życia. Przy tym stole zajął miejsce pewnego razu także Bochenek i zawarł z Polakiem znajomość. Rozwinęła się wnet koleżeńskość i sympatia. Dyskutowano o nowszych kierunkach w sztuce a starzec zaprosił znajomego do swego skromnego mieszkania. Uderzyły Bochenka dwie oryginalne, o większych rozmiarach kompozycje: Polonia pokutująca i zmartwychwstała, z których przebijał tak cudowny urok serdeczności i głębi uczucia, jaki cechuje najlepsze utwory i sztukę Fra Angelica da Fiesole. Przedłożył też kilka własnych rozpraw o sztuce. Bochenek był nimi zachwycony i nie omieszkał zrobić sobie z nich wyciągi. Przedłożył je Piotrowi Corneliusowi. Wywarły one tak wielkie wrażenie, iż Cornelius artystę Polaka odwiedził, a na widok obrazu z uwielbienia i podziwienia rzucił się w jego objęcia, składając hołd jego talentowi i dziełom. Przed Bochenkiem Cornelius wyraził zdziwienie, że tak zdolny artysta żyje w Rzymie w ukryciu. Później sześćdziesięcioletniemu starcowi wyrobił wsparcie u księżnej Wittgenstein.

Pewnego poranka Bochenek zastał Malińskiego, złożonego ciężką niemocą neuralgiczną, a na dobitkę mającego naglącą pracę do wykończenia, kopię Madonny, zamówionej przez Amerykanina, który musiał wracać koniecznie do kraju. W tak pilnej potrzebie, grożącej Polakowi utratą zarobku 40 skudów w razie niedotrzymania słowa, Bochenek, uważając siebie za zaszczyt, podjął się wykonania rozpoczętego dzieła. Malował zapamiętane, by termin nie ubiegł. Gdy wieczór się zbliżał, Madonna ukończona czarowała świętym blaskiem, a Maliński dostał swe pieniądze.

Po powrocie do kraju Bochenek osiadł na stałe w Berlinie. Ale Rzym przypadł mu do gustu, czuł się swojsko w tej międzynarodowej społeczności artystycznej i wracał tam kilkakrotnie na dłuższy pobyt. Zachował też gorące przywiązanie do swej śląskiej ojczyzny. Odwiedzał ją bardzo często i tu, a zwłaszcza na Górnym Śląsku, miał najwięcej zamówień i nabywców. Większych rozmiarów płótno malował do kościoła w Bąkowicach. Obraz ten przedstawia Wszystkich Świętych, a wypukła najwyraźniej grupę świętych, cieszących się szczególną czcią na Śląsku: św. Barbarę, Agnieszkę, Ursulę, Jadwigę, Katarzynę, św. Jacka, Kazimierza, Franciszka z Asyżu, Jana Nepomucena, Wojciecha i Floriana, patrona Polski. Prace jego spotykamy w Raciborzu, Baworowie, Hulczynie, Rybniku, Mikołowie, Orzeszu, Chwałowicach i Zanditz (po stronie czeskiej). Także z innych stron Śląska sypały mu się zamówienia. Niektóre powtarzał po kilka razy.

Bochenek był zdolnym rysownikiem i malarzem obrazów o treści wybitnie religijnej. Specjalnością jego były prócz tego tego portrety. Należał on podobnie jak jego mistrzowie z Rzymu, Cornelius i Overbeck, do szkoły nazareńczyków, biorących motywy z Pisma św. i religii, a naśladowających włoskie quattro cento. Umarł w Berlinie w 1909 roku³⁾.

Dr Antoni S n o w a c k i.

O pierwszych „harcerczach” cieszyńskich

Patrząc na dzisiejszy rozrośnięty ruch harcerski mimowoli staje pytanie, czy nasza ziemia cieszyńska brała dawniej udział w tym ruchu, w jego początkach. Przypadkowo wpadł mi do ręki urywek „Kroniki Cieszyna” Kaufmanna od r. 1767 do 1822, gdzie mowa o konwikcie cieszyńskim. Kierownikiem konwiktu był ks. Leopold Szersznik, on sam ułożył porządek prac

³⁾ W stulecie urodzin przypomniał Bochenka dr Karel Cernohorský, Hlučínský malíř Jan Bochenek, Věstník Matice Opavské, r. 36: 1931, str. 45—47, z autoportretem (1902).

i wywczałów dla swych wychowanków: wstawano w lecie o godz. 5., a zimą o 6, sypialni w ogóle nie opalano, więc wychowankowie nie marudzili z wstawaniem i ubieraniem i zaraz pospieszali do domowej kaplicy, na krótki pacierz, by zagrzeć się w porze zimowej śniadaniem, wieczorem po wspólnej modlitwie o godz. 9 musieli wszyscy być w łózkach. „W dniach wolnych od nauki — tak Kaufmann opisuje swe przeżycia w konwikcie — prowadził nas, wówczas jeszcze w sile wieku, nasz kierownik na przechadzki: czy deszcz, czy śnieżyca, czy ciepło, czy zimno; największe zasy śnieżne pokonywaliśmy w lekkim ubraniu, zwinnie przesadzaliśmy rowy głębokie i wspinaliśmy się na szczyty gór. W lecie rozbijał w ogrodzie trzy namioty, ozdobione chorągiewkami, które zajmowaliśmy co środę wieczorem, wystawialiśmy strażę nocne, zmiana co pół godziny, a rano jak najwcześniej po pieśni porannej wyruszaliśmy w drogę, w najbliższą okolicę, a czasem aż na Czantorię, gdzie było śniadanie, a jeżeli w pobliżu była rzeka lub potok, następowała kąpiel, po czym powrót do Cieszyna... Każdy dobry uczynek, wysiłek, sprawność, była nagradzana kuponami, za które można było wygrać książkę, laskę wycieczkową, mapy, przyrządy rysownicze i miernicze itp. Taka zachęta działała podniecająco na młode umysły...” Nie zapomniano i o improwizowanych przedstawieniach, które do konwiktu ściągaly, jak wspomina Kaufmann, śmietanę towarzystwa cieszyńskiego. To wszystko działo się w Cieszynie przed 150 laty. Czyż to nie zarysy dzisiejszego harcerstwa?

W polskim gimnazjum w Cieszynie, koło 40 lat temu, uczył młody profesor Tadeusz Pelczarski niższe klasy, gromadząc w wolnych chwilach sprytniejszych i nazywając ich szumnie „instruktorami”. Żywo staje mi przed oczyma pierwsze zebranie instruktorów z r. 1897. Nasz profesor chwilę badał zebranych, jego oczy zdały się wnikać w każdego z nas, po czym tak

mniej więcej przemówił: Ze nie będziesz miał jeden i drugi celująco z łaciny, czy innego przedmiotu, to jeszcze nie grzech. Ale grzechem byłoby, gdybyś się zaniedbał w języku polskim i naszej historii, bo od tego jesteście w polskim gimnazjum, gdzie wszyscy na was patrzą, — jedni z radością, jako na przyszłych pracowników, — inni z nienawiścią, jako na odradzanie się narodowe ziemi śląskiej, — grzechem byłoby, gdybyście wyrosli na ludzi nieuczciwych lub na ciamajdów. Musicie być uczciwymi, zaradczymi i dobrymi ludźmi, a przede wszystkim dobrymi Polakami, bo tego od was wyczekują rodzice, tego od was żąda społeczeństwo polskie. A tego będzie was uczyło nasze gimnazjum polskie i praca pozagimnazjalna, wspólnie odbywana. Was wybrałem na „instruktorów”, byście innych do tego zachęcali, a nawet moralnie zmuszali. Na razie ograniczać się będziemy do części zabawowej: do pochodów za miasto, by tam uczyć się musztry i „sztuki wojennej”, która może się przydać! — Wy będziecie dowódcami hufców, będziecie ode mnie brali instrukcje, wskazówki, dlatego będziecie się nazywali „instruktorami”. Na początek daję wam następujące wytyczne: patrz każdemu śmiało w oczy, bo to jest oznaką otwartości i szczerości życiowej. — Mów zawsze prawdę, czy ona jest przyjemna dla otoczenia czy nie, bo to jest oznaką stanowczego charakteru. — Każdy dzień spełnij, poza modlitwą, jakiś dobry uczynek, byś nie musiał powiedzieć za szlachetnym Aureliuszem: diem perdidit. — Miej oczy otwarte na wszystko, co się wokoło ciebie dzieje, by i najmniejsza rzecz nie uszła niespostrzeżeniu twej uwagi. — Wpadnie ci co w oko, pytaj: dlaczego tak jest i jak się to stało... — i podeptana trawka i gałązka złamana czy nadłamana dużo ci może powiedzieć, tylko musisz patrzeć uważnie, musisz „penetrować”! To ostatnie słowo utkwilo nam w pamięci, bo było i obce i wszystko można było pod jego znaczenie podciągnąć.

Zaczęła się musztra, pochody, walki oddziałowe, zachodzenie i podchodzenie, co na zewnątrz wydawało się zwykłą zabawą studencką, zwykłą sobie rozrywką młodzieży, ale na dnie dusz naszych żywo się odbijały i przejawiały instrukcje „tajne” naszego komendanta prof. Pelczarskiego. Może w latach walk o wolność niejeden z jego instruktorów wspominał te chwile i dziękował gorącym sercem za ten czar, który kryły dawne instrukcje, przeistoczone w szczęśliwą rzeczywistość.

Dziś z pierwszych instruktorów prof. Pelczarskiego tylko trzech nas jeszcze żyje. Wskazówki dawane w ciągu lata, a przede wszystkim na pierwszym instruktorskim zebraniu, które każdy z nas skrzętnie zapamiętał i zanotował, dzięki czemu można je prawie dosłownie podać, stały się przewodnimi zasadami w naszym życiu. Prof. Pelczarski nie zawiódł się na swoich „instruktorach”.

Na koniec zabawna anegdota. Wybraliśmy się na Girową, wyższe klasy ruszyły z Girowej do Jaworzynki i Istebnej, a niższe wracały z Girowej przez Mosty do Jabłonkowa. Była to pierwsza większa wycieczka. Gdy stanęliśmy u stóp góry, wezwał nas czterech instruktorów nasz komendant i wydał rozkaz: Instruktorzy „spenetrować” górę! Ruszyliśmy by te charty, gdyż zanim reszta nadeszła, musieliśmy wszystko zbadać i zdać sprawę. Wkrótce byliśmy na szczycie, wpadliśmy do koliby, gdzie bacza robił porządek. W rogu stała kadź z żentycą, czarną z wierzchu od potopionych much, które bacza na nasz widok zgarniał rękami i rzucał w drugi kąt koliby, skąd niektóre zrywały się i brzęcząc leniwie odlatywały, a reszta została w pyłe. Po „spenetrowaniu” koliby obejrzelśmy cały szczyt, by nadchodzącemu profesorowi powiedzieć, że wszystko w porządku. Cała wycieczka rzuciła się na żentycę, której nie skąpił bacza, przy czym się szelmowsko uśmiechał. Nasz gospodarz klasy a równocześnie komendant nie mógł się nachwalić „boskiej”

żentycy. Skutki „boskiej żentycy” nie dały długo na siebie czekać; pomiędzy innymi i nasz gospodarz klasy oddalił się na „bardzo” długo, a my jako instruktorzy, według często dawanych wskazówek, mieliśmy obowiązek „spenetrować” przyczynę tak długiej nieobecności; zaraz jednak zaprzestaliśmy penetrować i wycofaliśmy się dyskretnie, a po powrocie naszego gospodarza zaczęliśmy się niby to żalić, że nie dba o nas, podczas gdy inne klasy bawią się ze swymi gospodarzami, to my opuszczeni by te sieroty. A wtedy usłyszeliśmy słowa następujące: „Podziwiałem cudną naturę śląską”. Wtajemniczeni uśmiechnęliśmy się i odtąd słowa „podziwiać naturę śląską” miały swe znamienne znaczenie.

Oto garstka wspomnień prawie sprzed pół wieku, która nam każe i w tych przejawach szukać początków harcerstwa; czasy to były bez troskie, pełne werwy i siły życiowej.

„Instruktor”.

Czy pastor Paulini był Słowakiem?

W swej rozprawce o polsko-słowackiej współpracy na terenie Cieszyńskiego¹⁾, wspominał już dr W. Olszewicz o osobie A. Pauliniego, pastora w Bystrzycy, wyrażając przypuszczenie, że aczkolwiek zaliczany do „Węgrów” był niechybnie Słowakiem, na co wskazuje tak fakt, że miewał on kazania po słowacku, jak i częste spotykanie nazwiska Pauliny wśród Słowaków.

Żeby stwierdzić już bez wątpliwości pochodzenie pastora Pauliniego należy jeszcze sięgnąć do źródeł słowackich, co tylko upewni nas w wysuniętym przez dra Olszewicza przypuszczeniu. Cenna bibliografia słowacka L. Riznera²⁾ w tomie IV na str. 36 ma pozycję: „Paulliny Andrzej, pierw rektor szkoły w Hornej Slanej, potem pro-

boszcz ewangelicki w Bystrzycy na Śląsku. Napisał „Upřimné plesání a winssowánj” w wierszach, ogłoszone w przedmowie do dzieła Laučeka „Slovárně aneb Konkordancý Biblická” (1791)”. Tak więc pastor Paulini („Paulliny” według Riznera) był nie tylko kierownikiem szkoły w czysto słowackiej wsi Horna Slana (w powiecie rożnawskim w ziemi gemerskiej), ale ponadto pisał wiersze słowackie, niektóre nawet drukowane.

Jeszcze jeden szczegół do życiorysu Pauliniego dorzuca szkic J. Maliaka poświęcony osobie gemerskiego poety, pastora Michała Steigla z przełomu XVIII i XIX w.³⁾ Otóż okazuje się, że pierwszym nauczycielem Steigla, który pochodził z Hornej Slanej, był właśnie Andrzej Pauliny, który go zachęcił do pisania. Pastor Paulini ma więc swoją kartę w dziejach kultury słowackiej.

Ostatnio nieco danych biograficznych do osoby Pauliniego dorzucił w swej książce „Śląsk za Olzą”⁴⁾ P. Hulka-Laskowski. Andrzej Paulini był więc proboszczem w Bystrzycy od r. 1792 aż do śmierci w r. 1805 i był ojcem tego Pauliniego, też Andrzeja, który po nim objął probostwo bystrzyckie (do r. 1829) i był autorem polskiej „Nauki Ewangelii Chrystusowej”, wydanej w Brnie w r. 1818. Obok tych dwóch Paulinich Laskowski wymienia jeszcze trzeciego, nieznanego Olszewiczowi, Józefa Pauliniego, proboszcza w Nawsiu od r. 1792 aż do śmierci w r. 1804. Po nim nastąpił na probostwie w Nawsiu również Słowak, Karol Józef Nikolaides, zmarły w r. 1820.

Wnioski dra W. Olszewicza o słowackiej narodowości pastorów śląskich pochodzących „z Węgier” potwierdzają się, a stale przybywające nowe przyczynki coraz lepiej nam wykazują dawne związki ziemi cieszyńskiej ze Słowacją.

J. R.

¹⁾ W. Olszewicz, O polsko-słowackiej współpracy na terenie Śląska Cieszyńskiego, wyd. II, Warszawa 1938, str. 14.

²⁾ L. Rizner, Bibliografia piśmownictwa słowackiego, 7 t. Turcz. Św. Marcin 1929—1934.

³⁾ J. Maliak, Michal Steigel, Slovenské Pohľady, 1924, nr 2.

⁴⁾ P. Hulka-Laskowski, Śląsk za Olzą, Katowice 1938, str. 212—213.

Wykaz czasopism śląskich w Bibliotece Uniwersyteckiej w Wrocławiu

T y t u ł itp.	Ks.(Kudera): Dziennikar- stwo pol.str.	W bibliotece znajdują się	
		L a t a	S y g n a t u r a
Bogurodzica, dodatek do Katolika		1887—1888	Th. prop. Qu 417d.
Dziennik Robotniczy, d. c. Gazety Rob.		od 1913	P. Gazeta Robotnicza
Dziennik Urzędowy rej. opolskiej	8—9	1816—41, 1857—59	Hist. Germ. IV Schlesien Q 466
Dziennik Śląski, wyd. Napieralskiego	52—53	1900—1922	Zeitungs-Abt. Beuthen
Dzwon, Katowice		1919—1921	Misc. Slav. Oct. 253
Dzwonek dla dzieci, dodat. do Katol.	8	1894—95 1906—11	Enc. gen. VII Oct. 600.
Gazeta wiejska dla Górnego Śląska	17	1849 nrów 50	Hist. Germ. IV Schlesien Q 455
Gazeta Katolicka	47—50	1906—1910	Zeitungs-Abt. 683.
Gazeta Ludowa		1911—1921	Zeitungs-Abt., Kattowitz
Gazeta Opolska	51—52	1906—1923	Hist. Germ. V. fol. 610 c.
Gazeta Robotnicza	54	1905—1922	Hist. rec. I fol. 128 f.
Gazeta urzędowa Śląska (Journal offic.)		1920—1922	Hist. rec. Qu 1539
Głos Franciszka św.	57	1926—1935	Misc. Slav. IV oct. 364.
Głos Górnos Śląski, wyd. Urbanek		1924	Zeitungs-Abt. Gleiwitz
Głos Poranny, Królewska Huta		1922 nrów 58	Zeitungsabt. Königshütte
Głos Śląski, codzienna gazeta polska	54—55	1903—1921	H. rec I fol. 141 r. i Zeitungs- Abt. Gleiwitz
Górnos Ślązak	53—54	1902—1921	H. rec. I fol. 142.
Gwiazdka na Rok P. 1847 w Gliwicach i Bytomiu		1847	Slav. oct. 2252
Katolik	24—28	1880—1931	Theol. prop. fol. 174
Katolik Codzienny		1923—1931	Zeitungsabt. Beuthen
Katolik, kalendarz dla wszystkich, Bytom		1910—1930	Hist. Un. III Qu 156 tf.
Katolik, kalendarz górnos Śląski, Cieszyn		1882	Hist. Un. III Oct. 136
Rosenberger Kreisblatt, część po polsku		1850	Zeitungsabt. Rosenberg
Kuryer Śląski	60	1908—1922	Zeitungsabt. Kattowitz
Nowiny Codzienne		1930—1935	Zeitungsabt. Oppeln
Nowiny Raciborskie	50—51	1905—1921	Hist. rec. I fol. 128d.
Nowiny Szląskie	38	1885—1888	Enc. VII Oct. 408
Pismo miesięczne Śl. Związku Włosc.	38	1891—1904 1909—1910	Hist. Germ. IV Schles. Oct. 187 ka.
Polak, Katowice	59—60	1906—1920	Zeitungsabt. 43.
Polnischer Mercurius	3	1697	Hist. Pol. I Qu in 128
Pomoc wzajemna p. Wzajemna Pomoc			

T y t u ł itp.	Ks.(Kudera): Dziennikar- stwo pol.str.	W bibliotece znajdują się	
		Lata	Sygnatura
Poradnik dla ludu górnośląskiego	21	1851—1853	Hist. Germ. IV Schles. Q 352
Posłaniec Niedzielny	43—44	1906—1935	Theol. prop. Qu 417 ga
Praca, wyd. Katolika	29	1890—4, 1906—10	Cam. I QU 13m.
Prawda		1912—1913	Zeitungsabt. Beuthen 806
Przyjaciół, dodatek do Katolika		1906	Theol. prop. fol. 174a.
Przyjaciół Trzeźwości, wyd. Katolika	59	1907—1913	Cam. I Oct 438 d.
Rodzina, dodatek do Katolika i samodz.	29, 58	1888—95 1906—11	Enc. gen. VII Qu 410
Rolnik, dodatek do Katolika	29	1906—14	p. Katolik
Telegraf Górnośląski	16	1848 nr 1—9	Enc. gen. VII Qu 406
Tygodnik Katolicki, Król. Huta		1912—1914	Theol. prop. Qu 417 o.
Tygodnik Katolicki, dodatek Kreuzb. Zeitung		1920	Hist. Germ. V fol. 432 (Beilage)
Tygodnik Polski poświęcony włośc.	10	1845—1846	Enc. gen. VII Qu 402
Tygodnik Polski, wyd. Koraszewski		1912	Zeitungsabt. Oppeln I 849
Schlesische Volkszeitung f. Nutzen u. Vergn.		1789—1806	Enc. gen. VII Oct. 239m
Wiadomości Misyjne	41—42	1904—1924	Hist. eccl. III Q 242
Wierny Górnoślązak, kalendarz		1921	Misc. Slav. V Qu 67
Wzajemna Pomoc	57—58	1910—1922	Zeitungsabt. Königshütte
Zwiastun Katowski, po polsku i niem.			Cam. III Oct. in 84
Związkowiec Wolny, Katowice	58	1912—1921	Cam. III Fol. 10 h.

Zestawił *Wincenty Ogrodziński*

Recenzje i sprawozdania

Józef Feldman, *Bismarck a Polska*, Katowice 1938, Instytut Śląski (Drukarnia „Dziedzictwa” w Cieszynie), 8^o, str. 451, 5 nlb. — Pamiętnik Instytutu Śląskiego, IV.

Książka ta, o charakterze wybitnie naukowym, poświęcona jest stosunkowi Bismarcka do Polski. Rozdział wstępny pt. „Tradycje i poprzednicy” wprowadza nas w odwieczny antagonizm polsko-pruski na przestrzeni wieków, w antagonizm, który z czasem wyrósł na siłę decydującą, powodującą wreszcie walkę na życie i śmierć między tymi dwoma narodami. Do wzrostu antagonizmu przyczyniły się inne jeszcze czynniki, a więc np. kontrasty ustrojowe i psychiczne, wyznania religijne, sprzeczności interesów itp. Wszystko to doprowadziło w końcu do tego, że osłabiona Polska musiała ulec silnym wówczas Prusom. Chodziło teraz tylko o to, aby zdobyte, osiągnięte w trzech rozbiorach, utrzymać. Nieprzychylny Polsce los przeznaczył do tego Otona Bismarcka, właściwego zwycięzcę z lat 1864, 1866, 1870-71, twórcę nowożytnego cesarstwa niemieckiego, kontynuatora myśli politycznych Fryderyka II. Można by powiedzieć, że gdyby Prusy nie posiadały Bismarcka, kto wie, czy Polska nie byłaby wcześniej wyrwała się z szponów trzech czarnych orłów. Celem Bismarcka było walczyć z Polską i Polakami; wszyscy jego poprzednicy — z wyjątkiem chyba wielkiego elektora i Fryderyka II — i następcy nie mieli takiego znaczenia odnośnie do spraw polskich, co on sam.

Walkę tę przedstawił nam Feldman gruntownie w rozdziałach następujących.

Wiosna narodów, początek kariery politycznej Bismarcka, miała Polsce przynieść wolność i zjednoczenie, gdyż całe prawie Niemcy żywiły wówczas przyjaźń względem Polski. Ale dobre chęci zdołał szybko unicestwić młody Bismarck, dobrze znający Polskę i Polaków, i wyrabiający sobie już wówczas pogląd, że wolna i niepodległa Polska będzie stałym niebezpieczeństwem dla jego państwa i monarchii. Jednym więc z zadań jego miało być przez całe życie: nie dopuścić do zmartwychwstania Polski, a w szczególności nie dopuścić do rozgłosu drażliwej dla wielu kwestii polskiej. Polityka Bismarcka trzymała się kurczowo zasad Św. Przymierza, a szczególnie tradycyjnej przyjaźni prusko-rosyjskiej (drut Berlin-Petersburg), albowiem dostojni sygnatariusze Św. Przymierza byli na równi zainteresowani w kwestii polskiej, która według nich, nigdy nie powinna była zaistnieć. Niestety kwestia polska była ciągle żywotna, ważna i spędzała sen z oczu trzech zaborców. Jakby na przekór, kwestia polska nieustannie występowała na widownię w związku z innymi zawikłaniami politycznymi.

Niedługo po „wiośnie narodów”, podczas wojny krymskiej, stała się kwestia polska ważnym zagadnieniem politycznym, a Prusy nieomal że miały przystąpić do koalicji antyrosyjskiej państw zachodnio-europejskich. Właśnie jednak ze względu na

Polskę zachował Bismarck przychylną neutralnością względem caratu. Wojna krymska dokonała licznych zmian w Europie, przede wszystkim zachwiało się Św. Przymierze. Car Mikołaj I zmarł, a wkrótce za nim główni przywódcy popowstaniowej polityki względem Polaków. Zmniejszył się ucisk moskiewski na ziemiach polskich, a nawet rychło potem nowy rząd carski wszedł na drogę daleko idących względem Polski ustępstw. Rosja faworyzowała Polaków, posłała im do Królestwa namiestnika Wielopolskiego, celem urzędzenia w Warszawie rządu autonomicznego. Co więcej, polityka Górczakowa dążyła do zupełnego zerwania ze Św. Przymierzem i łączenia się z Francją. Wszystko to godziło w najżywotniejsze interesy obu mocarstw niemieckich, zwłaszcza Prus. Dlatego też Bismarck, wówczas ambasador pruski w Petersburgu, zwalczał podobne objawy polityki rosyjskiej, a w pierwszym rzędzie zaczął otwartą walkę z Wielopolskim. Wiedział dobrze, że autonomia w Królestwie pociągnie za sobą daleko idące konsekwencje, nieprzyjemne dla Prus, że panowanie Polaków w Warszawie spowoduje w konsekwencji dla Prus utratę Pomorza i Wielkopolski. Dlatego też wołał: „Bijcie w Polaków, by ich ochota od życia odeszła; osobiście współczuję ich położeniu, ale pragnąc istnieć, nie pozostaje nam nic innego, jak ich wytepić. Wilk też nie odpowiada za to, że Bóg go stworzył takim, jakim jest; dlatego też zabija się go, gdy się tylko może”. Jeżeli jemu nie udało się Polaków i Wielopolskiego zgnębić od razu, to okazja do tego nadarzyła się w czasie powstania styczniowego, kiedy już był premierem rządu pruskiego i ministrem spraw zagranicznych. Z Rosją zdołał zawrzeć konwencję wojskową (konwencja Alvenslebena z 8 II 1863), narzucił się jej z pomocą wojskową w stłumieniu powstania, sprytnie potrafił unicestwić akcję interwencyjną (częściowo nawet pomyślaną jako zbrojną pomoc państw europejskich w obronie gnębionych przez Moskali Polaków) a w końcu zdołał nawet odbudować solidarność trzech zabor-

ców wobec sprawy polskiej. Polityką swoją dokonał tego, że groźba odnowienia państwa polskiego została na razie dla Prus odsunięta. Powstanie styczniowe w efekcie przyniosło korzyści Prusom. Za współudział w akcji interwencyjnej na korzyść Polski zapłaciła Austria Sadową i pokojem praskim, a w cztery lata później Francja Sedanem i Wersalem; Rosja miała za swoje zwycięstwo nad powstańcami później zapłacić. A jeżeli w chwilach zjednoczenia Niemiec pod egidą Hohenzollernów kwestia polska odżyła, nawet spowodowana przez Bismarcka, to tylko jako straszak lub narzędzie wobec pozostałych partnerów rozlatującego się już Św. Przymierza, a szczególnie wobec Rosji, której chciał przeciwstawić państwo buforowe, powstałe z Królestwa i ziem zabranych. Ale i takie zło konieczne zdołał żelazny kanclerz szybko odsunąć, gdyż zdawał sobie sprawę z tego, że nawet takie państwo buforowe jak mała Polska mogłoby się z czasem rozwinąć i śmiało sięgnąć po swoje ziemie, znajdujące się pod panowaniem pruskim.

Bismarck z żelazną logiką udaremnił wszelkie zamiary odnowy państwa polskiego i z żelazną konsekwencją przystąpił do Kulturkampfu i bezwzględnej walki z Polakami w Niemczech. Zdołał jeszcze raz doprowadzić do związku trzech cesarzy w r. 1872, a to wszystko li tylko dla jego idee fixe — dla strachu przed Polakami. Ale teraz zaczęła polityka jego wydawać wyniki negatywne. Z pozostałymi zaborcami, zwłaszcza z Rosją, było coraz więcej sprzecznych interesów. Walka z Polakami i walka kulturalna skończyły się dla Bismarcka klęską. Bismarck walczył ze szlachtą i klerem, lekceważąc zupełnie stan mieszczański i włościański. Tymczasem jednak stało się odwrotnie: kler skrzepł i stawał się coraz silniejszy, wytworzyło się silne, narodo-wo uświadomione mieszczaństwo polskie, a uosobieniem polskiego chłopca stał się nie Bartek-Zwycięzca, lecz Drzymała. Nie pomogły milionowe fundusze i polityka wschodnia, chronione ustawami wyjątkowy-

mi, na nic się zdało wysiedlenie 30.000 Polaków z granic państwa, chybiła skrajna walka eksterminacyjna. Lud polski złączył się, spotężniał, wytrwał i zwyciężył. Sprawy polskiej nie udało się wykreślić i usunąć! Sztucznie podtrzymywane przymierze trzech cesarzy nie trwało również długo, bo nazajutrz po ustąpieniu Bismarcka z kanclerstwa (1890) rozpadło się ono na zawsze. Wytworzyły się dwa obozy, przygotowujące się do przyszłej walki i o dziwo, zaborcy byli rozłączeni. Nadszedł czas „zbrojnego pokoju”, nadeszła chwila, że poszczególne państwa zaczęły się licytować w kwestii polskiej i wygrywać ją dla siebie. Nawet Niemcy, które na każdym kroku powoływały się na testament Bismarcka, musiały uznać sprawę polską za jedną z najważniejszych w Europie, stając się w konsekwencji burzycielami spadku po żelaznym kanclerzu. A reszty dokonała wojna światowa i jej niespodziewany dla wszystkich wynik. Polityka Bismarcka nie trwała dłużej niż 20 lat od śmierci jej twórcy, a na jej gruzach powstała wolna, zjednoczona, niepodległa Polska, która objęła w swe posiadanie prawne również i Pomorze, Wielkopolskę oraz Śląsk. Konieczność dziejowa zwyciężyła nad chimerycznym strachem przed Polską i egoistyczną polityką Bismarcka.

Szkoda, że Bismarck nie mógł oglądać klęski dziejowej na tym polu swojej pracy, które uważał za najważniejsze dla utrzymania potęgi i rozwoju Prus.

Franciszek S z y m i c z e k.

Ludwik M u s i o ł, *Pszczyzna*, Monografia historyczna, Opracował na podstawie materiałów źródłowych ..., Katowice 1936, Nakładem Magistratu m. Pszczyzny (Druk K. Miarki, Mikołów) 8^o, s. 596, plan miasta. — Monografie Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku.

„Niniejsza praca ma być popularną, historyczną monografią miasta Pszczyzny”. Tak zaczyna znany szperacz archiwalny i ceniony historyk śląski, a autor tej po-

ważnej pracy historycznej swoje grube, źródłowe dzieło o prastarej Pszczyźnie. Niewiele miast w Polsce może się poszczycić podobną monografią i przedstawieniem swoich dziejów i swego rozwoju, jak mała Pszczyzna. Znalazła ona na szczęście swego historyka nie tylko znającego jej dzieje, ale również szczerze rozmiłowanego w jej przeszłości, którą z powodzeniem bada i opisuje w szeregu wartościowych przyczynków, publikowanych w czasopismach naukowych.

Ale znać dzieje miasta, pokochać je i pisać nawet o nich czasem, to jeszcze nie wszystko. Trzeba umieć tak pisać, by rzecz była chętnie czytana. Nad dziełem obszernym zawisło bowiem czasem fatum jego rozmiarów, odstraszaających zazwyczaj przeciętnego czytelnika. Już uczeni aleksandryjscy mówili: „Wielka księga, wielkie zło” — mając na myśli ogólnie znany fakt, że wielkie rozmiarami dzieła rzadko bywają czytane od deski do deski, a czasem stanowią tylko ozdobę biblioteki.

Autor monografii o Pszczyźnie, zdaje się, nie musi się obawiać tej przestrogi aleksandryjskich uczonych, aczkolwiek jego praca liczy aż 596 stron. — Dzieło jego przeczyta zapewne bardzo wielu historyków w całości, a wszyscy obywatele Pszczyzny pewnie w wielkiej części. Również wszyscy inni, którzy interesują się przeszłością Śląska, chętnie przysiedą łańdów, by poznać pracę Musioła dokładniej. Autor pisze nie tylko źródłowo i naukowo, pisze też pięknie i zajmująco. Przede wszystkim już we wstępie potrafi zaciekawić czytelnika, przedstawiając układ swej pracy. A układ ten uważam i za oryginalny i bardzo szczęśliwy.

Wyjaśniwszy krótko cel swej pracy, zabiegi miasta o spisanie jego dziejów i omówiwszy źródła do tychże, przechodzi autor kolejno dzieje ziemi pszczyńskiej, nazwę miasta, krajobraz, wreszcie dzieje miasta. Przedstawia pokrótce dzieje starej Pszczyzny, następnie historię nowego miasta.

W dalszych rozdziałach omawia zajmująco i źródłowo samorząd miasta, sądownic-

two, życie gospodarcze, komunikację, obywateli i ich dzieje, stosunki kościelne, szkolnictwo, urzędy, urzędnicy, urzędy. Wywody historyczne popiera zrzeczeniami źródłami.

Załatwiwszy się z historią ruchu narodowego i pędem do wolności mieszkańców ziemi pszczyńskiej, omawia następnie towarzysztwa i zrzeczenia miejskie, dolę i niedolę miasta, a wreszcie kończy opis miasta piękną wędrówkę po Pszczynie i jej zabytkach.

Nie chcąc być gołosłownym, podaje na końcu pracowicie zebraną i trafnie dobraną antologię źródeł i dokumentów, bądź to w oryginalnym brzmieniu, bądź też w gładkim przekładzie polskim, o ile idzie o źródła łacińskie, czeskie, niemieckie. Jest to pewnego rodzaju nowość w publikacji tego rodzaju. Nowość bardzo udatna.

Tylko znający trud pracy źródłowej może ocenić, ile pracy musiał włożyć autor choćby w ten ostatni niepozorny dział swej pracy. Charakterystyczną cechą pracy Musioła jest ciągłe dążenie do utrzymania równowagi między popularnym jej charakterem a ścisłością naukową i historyczną.

Autor „zawziął się”, żeby zmusić czytelnika do przeczytania czy to całego dzieła, czy też interesujących danego czytelnika działów swej historii. „Zawziął się” z dobrym skutkiem. Mówiąc więc np. choćby o tak pozornie nieinteresującej rzeczy, jak młyny, potrafi oprócz topograficznego i historycznego ustalenia tychże na terenie miasta podać tyle interesujących każdego szczegółów, że przeczytamy nawet ten rozdział ze zainteresowaniem. Podobnie i w innych działach.

Niektóre rozdziały tej książki, np. historia i rozwój towarzystw i zrzeczeń w mieście, są wzorem dobrego i interesującego przedstawienia rzeczy. Autor traktuje je genetycznie i przedstawia ich rozwój. W dziale znnowu starej historii Pszczyny autor, jak na dobrego pedagoga przystało, nie nudzi, lecz podaje rzecz interesująco, zwięźle i z pewnością nawet beletrystyki, co czyni lekturę

tej pracy historycznej nie piłą, lecz wypoczynkiem umysłowym.

Dla obywateli miasta Pszczyny lektura pracy Musioła będzie zawsze interesującą, a dla danych grup społecznych, czy też stowarzyszeń i instytucyj będzie to „liber aureus”, źródło, z którego czerpać będą rzeczowe wiadomości o swoich początkach i dziejach.

Słowem, autor trzyma się tego, co zapowiedział we wstępie, że chce uprzystępnić ciekawym „sięgnięcie do początków danego przejawu czy urzędnictwa i do jego przyczyn”.

Nie będąc historykiem z zawodu, nie śmiałybym wchodzić w zagadnienia przerastające moje wiadomości fachowe. Sam jednak pisząc ongiś tylko jeden mały fragment z dziejów Pszczyny, tj. historię tamtejszego gimnazjum, widziałem, jak trudno pisać o mieście, o którym brak uczciwych polskich opracowań drukowanych.

Autor pokonał te trudności tylko dzięki iście benedyktyńskiej cierpliwości i długim poszukiwaniom własnym po archiwach i bibliotekach. Dwa skromne przyczynki polskie (względnie nawet jeden, o gimnazjum) do historii Pszczyny, wymienione w źródłach drukowanych, to była kropla w morzu.

Opracowania zaś niemieckie musiał autor dodatkowo dobrze skontrolować i podać krytyce jako często tendencyjne, a całość pracy oprzeć dosłownie na dokumentach przez siebie odkrytych, lub też częściowo opracowanych poprzednio.

Niemcy nie zdobyli się na dokładną historię miasta. Podnoszę to, by wykazać ogrom pracy, jaką musiał włożyć autor w swoją monografię Pszczyny. Dlatego też uwagi autora ujęć mogły niektóre drobne przyczynki do jej historii, które zresztą niewiele by mu pomogły. Mam tu na myśli niektóre starsze itineraria niemieckie, mówiące o Pszczynie, np. dosyć interesujący

przyczynek niemiecki pt.: E. Hammar: Reise durch Oberschlesien zur russisch-kaiserlichen Armee nach der Ukraine. Gotha 1787.

Pierwszych 47 stron tej pracy pruskiego inżyniera i oficera mówi o Górnym Śląsku, a specjalnie o Pszczynie za książąt Anhalt-Köthen. Są tam wzmianki o szkolnictwie itd., a specjalnie ważną jest wzmianka o polskich mieszkańcach ziemi pszczyńskiej, wzmianka o powstaniu polskim w roku 1781 w Pszczynie itd. Autor skarży się na „polski upór” mieszkańców Pszczyny, którzy nie chcą przyjąć niemieckiej kultury i mowy niemieckiej. Mówi dosłownie: „Selbst dann, wenn die Regierung alles gethan, was sie in diesem Falle bey einem so versäumten Volke durch Erziehungsanstalten thun könnte, thun sollte; werden noch ein oder mehrere Menschenalter vorübergehen, eh' der Erfolg im Ganzen entsprechen, und der Staat verädelt Menschen (sic!) zählen wird” (str. 5).

Tamże mowa, że księża polscy z Krakowa buntowali ludność nawet przy spowiedzi (sic!), za co ich paru nawet kazał król pruski rozstrzelać. A całą ludność księstwa pszczyńskiego uważa autor za czysto polską, bo mówi w przedmowie dosłownie, że G. Śląsk, a specjalnie ziemia pszczyńska w porównaniu z Polską to: „Einerley Volk, Sprache, Religion und Verhältniß des Unterthans gegen seinen Herrn, zwar gemildert und durch den mächtigen Betrieb (germanizacja!) der Regierung von Jahr zu Jahr seinem Nachbar unähnlicher; aber doch noch immer eines Vergleichs fähig” itd.

Słowem autor Prusak sam daje najlepsze świadectwo polskości tej ziemi, oburzając się na niewdzięcznych Polaków. Takimi zostali też mieszkańcy tej ziemi do końca i pierwsi rzucili się w powstaniach śląskich na swoich ciemiężycieli.

Szkoda, że przy opracowaniu uszedł ten przyczynek pruskiego inżyniera uwagi zasłużonego autora historii Pszczyny.

Ale autor zresztą bez tego sam pięknie przeprowadza na podstawie dokumentów polski charakter ziemi pszczyńskiej i jej mieszkańców, których tyłowiekowe oderwanie od Macierzy nie mogło zgłębić i zgermanizować.

Ten dział dowodowy w pracy Musioła wynika ze źródeł, jakie cytuje i z opracowania. Wynika jasno i ewidentnie i to jest też jej wielką zaletą.

Całość pracy zaleca się wzorową stroną typograficzną i ilustracyjną. Dodanie źródeł w oryginałach na końcu pracy jest pożądaną nowością, autor nie nuży czytelnika notami i notkami pod tekstem, ale zmusza do ich przeczytania przy końcu, bo są interesujące. Kolorowy plan miasta na końcu dzieła odznacza się dobrym wykonaniem.

Dzieło ma jeden brak, wynikły widocznie z pośpiechu (autor musiał, zdaje się, dotrzymać terminu pracy), tj. brak skrówidza imion i rzeczy dla orientacji czytelnika w razie potrzeby.

Miasto Pszczyna może być dumne, że posiada tak piękne dzieło monograficzne o swoich dziejach, a zacy autor przez swoją pracę zasłużył się rzetelnie dla poznania historii Śląska w ogóle, a ziemi pszczyńskiej w szczególności.

Aczkolwiek bowiem sam autor mówi skromnie, że uważa swoje dzieło za monografię popularną, myślę jednak, że jako oparta i ugruntowana w całości na źródłach i dokumentach, zasługuje ona w pełni na miano bardzo poważnej pracy naukowej, do której zresztą niewiele dałoby się dodać z punktu widzenia naukowego.

Praca Ludwika Musioła pt. Pszczyna, może być wzorem pięknej monografii miasta, o ile idzie o jej wartość, a wydanie jej kosztem miasta przykładem wielkiej troskliwości jego obecnych, polskich gospodarzy o miasto i jego kulturę w przeciwieństwie do Niemców, którzy mimo zasobów finansowych na dzieło takie nigdy się zdobyć nie potrafili. Życzyć by sobie tylko wypadało, by również inne miasta na

Śląsku doczekały się tak poważnej monografii, jak Pszczyna.

Franciszek Kulisiewicz.

Tranovského Sborník, Sostavil Dr. Samuel Št. Osuský, biskup, Nákladem Vydavateľského a Knihkupeckého Účast. Spolku Tranoscus v Liptovskom Sv. Mikuláši, 1936 (Tlačil Knihotlačiarsky Úč. Spol. v Turčianskom Sv. Martine). [Podielová kniha Hurbanovej Evanj. Spoločnosti Literárnej číslo 40 z roku 1936] 8^o, s. 370, 6 nlb., 10 tablic.

W dniach 26—29 września 1936 roku odbyły się w Liptowskim Św. Mikołuszu uroczystości jubileuszowe, związane z 300-leciem kancjonału Jerzego Trzanowskiego „Cithara Sanctorum”. Kancjonał ten, używany wśród Słowaków do dziś, używany był również przez ewangelików na Śląsku Cieszyńskim przed wprowadzeniem polskiego kancjonału Jerzego Heczki (1865). Kim był Jerzy Trzanowski, przypominać na tym miejscu nie trzeba¹). Urodzony w Cieszynie w r. 1592²), był kaznodzieją i pisarzem, znanym w Słowiańszczyźnie całej. Słusznie też nazwano go „słowiańskim Lutrem”... Ostatnie swe lata spędził Trzanowski wśród Słowaków i tam też, w Liptowskim Św. Mikołuszu w r. 1637 zmarł, a postać jego stała się łącznikiem między ewangelikami z tej i tamtej strony Karpat.

¹) Na łamach „Zarania” już także o Trzanowskim pisano. Zob.: Wiktor Karger, Nieznany portret Jerzego Trzanowskiego <Tranoscusa>, zwanego „słowiańskim” Lutrem, Przyczynek do śląskiej ikonografii, Z. Ś. 1931, 156—160 z 2 ilustr., oraz Ludwik Brożek w recenzji o pracy K. L. Konińskiego „Robotnik bibliofil”, Z. Ś. 1931, 207—209.

²) Wszyscy piszący o Trzanowskim podawali do niedawna (nie wyłączając „Tranovského Sborníka”) jako datę jego urodzin rok 1591. Ostatnio datę tę poddał w wątpliwość Ján Čaplovič, publikując materiały Stirps Tranosciana (K životopisu J. Tránovského, Sborník k. 300. výročí kancionalu Cithara Sanctorum, Bratislava 1936, str. 141 i nast.), z których wynika, iż Trzanowski urodził się 27 III 1592.

Uroczystości w Św. Mikołuszu w r. 1936 zgromadziły przedstawicieli kościołów ewangelicznych z całego świata. Nie zabrakło też przedstawicieli z Polski: przybyli m. i. ks. prof. Jan Szeruda z Warszawy oraz senior ks. Kulisz z Cieszyna. Ks. Szeruda wygłosił przemówienie, w którym przedstawił znaczenie Trzanowskiego dla zbliżenia słowacko-polskiego. Udział i przemówienia Polaków wywołały wśród Słowaków miły oddźwięk.

Nie po raz pierwszy postać Trzanowskiego zgromadziła obok siebie Polaków i Słowaków. W r. 1891, z okazji 300-lecia urodzin Trzanowskiego, w obchodzie urządzonego wówczas też w Liptowskim Św. Mikołuszu, brali udział i przedstawiciele ewangelików polskich z Cieszyńskiego. Serdecznym echem odbiło się wówczas przede wszystkim głośne przemówienie ks. Franciszka Michejdy, pastora nawiejskiego, ogłoszone drukiem w jego „Przyjacielu Ludu” (r. 7: 1891, str. 131—135) oraz w przekładzie słowackim w pamiętniku „Tristoročna pamiatka narodenia Jura Tranovského” (Jasenowa 1891, str. 30—32).

W związku z uroczystościami w r. 1936 wydano w Św. Mikołuszu zbiorową księgę pamiątkową pt. „Tranovského Sborník”, zawierającą cały szereg rozpraw różnych, m. i. i polską rozprawkę ks. dra Andrzeja Wantuły, pastora wiślańskiego, o Trzanowskim w piśmiennictwie polskim na Śląsku Cieszyńskim („Ks. Jerzy Trzanowski wśród Polaków”, str. 300—308, oraz „odtlačok”). W ciekawej swej i pięknie napisanej pracy zebrał ks. Wantuła cały szereg dokumentów, świadczących o tym, że postać Trzanowskiego — jakkolwiek długo wśród „swoich” prawie że nieznaną — doczekała się z czasem i po stronie polskiej szeregu opracowań popularnych i takich, które wniosły parę nowych szczegółów do skąpych na ogół wiadomości o sławnym w Słowiańszczyźnie ziomku cieszyńskim.

Pierwszą w języku polskim wzmiankę o Trzanowskim podał — według A. Wantu-

ły — Jan Mutman w swej książce „Wierność Bogu y cesarzowi...” (Brzeg 1716), która uchodzi za pierwszą polską książkę cieszyńską³). Na obszerniejszą rozprawkę o Trzanowskim trzeba było czekać dość długo, napisał ją bowiem, dopiero w r. 1877, ks. dr Leopold Otto z Warszawy (Zwiastun Ewangeliczny, 1877, nr 9, str. 196-202), opierając się na Biermannie (Geschichte der evang. Kirche Oesterr.-Schlesiens... Cieszyn 1859) i na artykule „Cirkevnych Listów” z r. 1872. Następnym, najobszerniejszym do tej pory życiorysem polskim Trzanowskiego była seria artykułów ks. Franciszka Michejdy, napisanych na podstawie książki o Trzanowskim pióra Jana Mocki (Život Jura Tranovského vehlasného cirkevneho pevca slovenskeho..., V Senici 1891). Artykuły te, omawiające kolejno młodość Trzanowskiego, pobyt jego w Pradze i Holeszowie, w Wałaskim Międzyrzeczu, na Śląsku (1625—1627) i w Słowacji, ukazały się najpierw w „Przyjacielu Ludu” (r. 7: 1891, str. 139—141, 163—165, 171—173, 179—180, 187—190), zaś w parę lat później dopiero zamieścił je autor na czele „Czaszy pełnej wonności” Trzanowskiego, którą z polecenia T-wa Ewangelickiego Oświaty Ludowej w Cieszynie przełożył na język polski i ogłosił drukiem (Phiála odoramentorum, Modlitwy chrześcijańskie... Spisał i wydał ks. Jerzy Trzanowski, sługa Chrystusowy przy kościele w św. Mikołaju na Liptowie. Nowe polskie wydanie, Cieszyn 1898, Druk A. Barona, 8^o, str. LXXII, 282). Na uwagę zasługiwałaby tu także recenzja o „Czaszy”, którą dla „Przyjaciela Ludu” (1898, str. 78—80) napisał albo ks. J[erzy] B[adura], albo ks. J[erzy] B[oruta] ze Starych Hamrów (obydwaj bowiem mogli uży-

³ Następną wzmianką o Trzanowskim, nie wymienioną przez autora, jest artykułik jakiegoś J. L. pod tyt.: Wspominki śląskie [Adam Władysław Władysław — Jerzy Trzanowski — Feliks Prudło], Gwiazdka Ciesz., 1855, str. 365—366. W tym samym roczniku „Gwiazdki Ciesz.” (1855, str. 417—418) znajdujemy artykułik o wnuku Jerzego Trzanowskiego, Janie, katoliku.

wać tych inicjałów). Przy sposobności przypomnieć też tu warto odezwę ks. Mocki z Czaczowa „w sprawie dzieł Jerzego Trzanowskiego”, którą ze słowackiej zapewne prasy przedrukował w polskiej szacie ks. F. Michejda w swym „Przyjacielu Ludu” (1890, str. 185), oraz obszernie sprawozdanie z uroczystości w Liptowskim Św. Mikołaju w r. 1891, przytaczając m. i. w całości przemówienie ks. F. Michejdy wygłoszone tamże (Przyjaciel Ludu, 1891, str. 131—135).

Tuż po wojnie, w przewrotowych sporach czesko-polskich nazwisko Trzanowskiego dość często pojawiało się na łamach prasy, z tych jednak czasów na uwagę zasługuje jedynie obszerniejszy artykuł ks. Franciszka Buchwałdka pt. Znaczenie Trzanowskiego dla słowiańskich kościołów <czeskiego i słowackiego> a dla polskiego kościoła ewangelickiego na Śląsku w szczególności⁴). Większego rozgłosu i znaczenia nabrały dopiero odkrycia Jana Wantuły i Jana Olszara.

Jan Wantuła odkrył w r. 1925 w jednej z chat na Śląsku Cieszyńskim stary, okazały rękopis (formatu 30 × 18), zawierający 79 kazań na tekst pierwszych 18 rozdziałów Apokalipsy. Tom ten zawierał na końcu następującą uwagę: „Jest rzeczą pożałowania godną, że ta książka Objawienia św. Jana nie została od tego tak poważanego a podwójnej czci i szacunku godnego męża ukończona, bo wielkie tajemnice w sobie zawiera”. W tytule zaś podano, że autorem jest Jerzy Trzanowski, który kazania te miał napisać w pierwszym roku po objęciu urzędu kaznodziejskiego. Wiadomość o odkryciu swym wydrukował Jan Wantuła w „Pośle Ewangelickim” (1925, 45), skąd relację tę przedrukowały „Cirkevne Listy” (1926, str. 71—73). Odkrywcą doszedł zdaje się

⁴ Posel Ewangelicki, 1921, 45—48; 1922, 1, 6—8. Artykuł ten ukazał się również w osobnej odbitce pt. Jerzy Trzanowski, jego znaczenie dla słowiańskich kościołów... etc., Cieszyn 1922, Nakł. Tow. Ewang. (Druk P. Mitregi) 8^o, str. 22, 2 nlb.

później do przekonania, że odkryte przez niego dzieło nie jest jednak pracą Trzanowskiego⁵⁾.

Odkryciem Jana Olszara nie potrzebujemy się tu bliżej zajmować, bo opisał je Wiktor Karger⁶⁾, a praca jego na ten temat znalazła się również w przekładzie w „Zaraniu Śląskim” (zob. przyp. 1). Teoria Karger'a o exlibrisowym portrecie Trzanowskiego przyjęła się ogólnie⁷⁾. Na podstawie tego exlibrisu i występującego w nim portretu sporządził fotograf T. Kubisz z Cieszyna portret Trzanowskiego, wydany przez Zakłady Dobroczynne „Ebenezer” w Dzięgielowie. Portret ten rozszedł się w wielkiej ilości po Śląsku Cieszyńskim, a zawędrował także do Słowacji. To, o czym nie marzył nawet biograf Trzanowskiego, ks. Mocko, gdy pisał, że wątpi aby kiedy wielbiciele Trzanowskiego mogli oglądać jego prawdziwy portret, stało się rzeczywistością w Cieszynie.

Z innych prac o Trzanowskim w języku polskim wymienia jeszcze ks. Wantuła testament Jadwigi Trzanowskiej, matki pieśniarza, odnaleziony w archiwum miasta Cieszyna przez W. Karger'a, a przełożony i ogłoszony drukiem w dwóch śląskich kalendarzach ewangelickich na rok 1933 przez J. Wantułę, przekład autobiografii Trzanowskiego, zawartej w utworze „Coronis ad posteritatem”, swój artykuł o Trzanowskim i i. Z śląskich prac niemieckich o Trzanowskim

⁵⁾ Rękopis ten(?) znajduje się od r. 1930 z daru J. Wantuły w bibliotece Teol. wysokiej szkoły ev. a. v. cirkvi na Slovensku v Bratislave, pod nrem 2124. Treść rękopisu podał dr Sam. Št. Osuský, *Tranovského výklad Zjavenia Jánovho, Tranovského Sborník*, 101—114.

⁶⁾ Ein unbekanntes Bildnis des Georg Tranoscius <Trzanowski>, des „slawischen Luther“, Ein Beitrag zur schlesischen Ikonographie, Anzeiger des Landesmuseums in Troppau, II Band, 1930 <Festschrift f. E. W. Braun>, s. 147—150 i tablica z 2 ilustr.

⁷⁾ Obraz Trzanowskiego, *Posel Ewang.*, 1931, 36. — Wizerunek Jerzego Trzanowskiego, *Kalendarz Ewang. na rok 1931*, s. 122—125 z ilustr.

wymienia rozprawę J. Fischera (Ueber Sammlungen von böhmischen geistlichen Liedern in Herzogthume Teschen, Programm des k. k. katholischen Gymnasiums in Teschen für das Schuljahr 1865), oraz publikację „Festschrift — Zum Gedenken an den 100. Geburtstag von Sup. D. Dr. Th. Karl Haase” (Bielsko 1934), w której dr R. E. Wagner z Bielska zamieścił pracę „Heimische Dichter, Bielitzer Poeten”.

Wśród trzydziestu blisko utworów, artykułów i prac, jakie wypełniają „Tranovského Sborník”, zestawienie tranoscianów w polskich przez ks. Wantułę wyróżnia się bardzo korzystnie. Drugą polską pracą w tej księdze jest artykuł dra Władysława Bobka, napisany wprawdzie po słowacku (Tristoročná „Cithara sanctorum”, str. 217—220), wyraźnie jednak podkreślający polskie pochodzenie Trzanowskiego. Nie trzeba oczywiście dodawać, iż artykuł Bobka był solą w oku czeskim...

Różnorodnych artykułów innych nie wymieniamy na tym miejscu, bo zaprowadziłoby nas to zbyt daleko. Nadmienić natomiast warto, iż omówieniem zarówno tej księgi, jakoteż innych tranoscianów w słowackich⁸⁾, czeskich⁹⁾ i niemieckich¹⁰⁾, które ukazały się w związku z 300-leciem „Cithary” i 300-leciem zgonu jej autora, zajął się ks. A. Wantuła. Zbiorowa recenzja jego, zestawiająca naukowe wyniki tych i innych prac, ukaże się w najbliższym roczniku „Reformacji w Polsce”. Prócz tego ks. Wantuła napisał pierwszą obszerniejszą monografię polską o Trzanowskim, której druk (nakładem „wskrzesezonego” Towarzystwa

⁸⁾ Np.: Gusto Plavec, *Tristoročný Tranoscius 1636—1936*, Lipt. Sv. Mikuláš 1936, s. 80.

⁹⁾ Np.: Jiří Tranovský, *Sborník k 300. Výročí kancionálu Cithara Sanctorum*, Vydala Učená Společnost Šafaříkova v Bratislavě, Bratislava 1936, 8^o, s. IV, 172, 4 nlb., tabl. 4.

¹⁰⁾ Walter Stöckl, *Tranoscius, Kyrios*, Jg. 2: 1937, H. 3, s. 188—224; R. E. Wagner, *Georgius Tranoscius, Zum 300. Jahrestag seines Todes: 29. Mai 1637*, *Schlesische Zeitung*, Jg. 15: 1937, Nr 138, 145.

Ewangelickiego w Cieszynie) znajduje się już na ukończeniu.

Z początkiem roku bieżącego ukazał się nakładem T-wa Wydawniczego „Tranoscius” w Lipt. Św. Mikołaszu pamiętnik uroczystości ku czci Trzanowskiego we wrześniu 1936 (Tranovského jubilejné slávnosti, Sostavil L. Šenšel, str. 324, tablic 11). Pamiętnik ten, będący zamknięciem uroczystości jubileuszowych i ich dorobku wydawniczego, zawiera także m. i. kazanie ks. Jana Szerudy i przemówienie ks. Kulicza na zjeździe, oraz przedruk artykułów sprawozdawczych o uroczystościach z prasy polsko-ewangelickiej (Głos Ewangelicki, Posel Ewangelicki, Ewangelik).

Ludwik Brożek.

Walerian Sobkowiak, Józef Chociszewski <1837—1914> Gniezno 1937 (Drukarnia „Lech”) 8°, s. 161, 1 nlb., 2 portrety. — Życiorysy zasłużonych Polaków XVIII i XIX wieku [tom 28].

W wychodzących w ostatnich latach w Gnieźnie Życiorysach zasłużonych Polaków XVIII i XIX w., tom 28 poświęcony jest Józefowi Chociszewskiemu. Autor przestudiował skrzętnie cały ogromny materiał nagromadzony z biegiem lat w Archiwum Państwowym w Poznaniu przez wrogie władze pruskie przeciw temu niezrównanemu i niezmordowanemu działaczowi na niwie oświaty ludowej, jak również całą obfitą korespondencję Chociszewskiego z współczesnymi wybitnymi mężami, znajdującą się bądź w bibliotekach w Krakowie i Lwowie, bądź w rękach prywatnych. Dość obszerna już dziś literatura przedmiotu także została uwzględniona i należyście wyzyskana. Stąd powstała monografia, która w jasnym świetle i wszechstronnie przedstawia czytelnikowi postać tego wybitnego działacza; miejscami może zbyt jest szczegółowa. Tekst urozmaicają obszerne urywki korespondencji Chociszewskiego z J. I. Krauszewskim, A. Małeckim, artystą Walerym Eliaszem Radzikowskim i innymi wybitnymi

mężami. Podziwiać musi każdy niezłomny charakter i niespożytą siłę woli tego opatrnościowego męża, którego ani goszcząca zbyt często u niego bieda i niedostatek, ani prześladowania władz pruskich w postaci kar pieniężnych i więzienia nie zdołały złamać i odepchnąć od wytkniętego celu.

W dziejach odrodzenia naszej ściślejszej ojczyzny, naszego Śląska, wziął Chociszewski również chlubny udział, chociaż osobiście przebywał tu tylko w latach 1861-62 jako młody jeszcze człowiek, by P. Stalmachowi pomagać w wydawnictwie „Gwiazdki Cieszyńskiej”. Jako niestrudzony działacz już ten krótki czas wyzyskał, by w ówczesnym niemieckim gimnazjum katolickim założyć „Towarzystwo Narodowe”, które przez 10 lat (1861—1871) miało uświadamiać młodzież śląską pod względem narodowym. Później dochodziły do nas z Poznańskiego wszystkie jego książki. Kto nie znał obok wielu innych jego „Dziejów Narodu Polskiego”, „Malowniczego opisu Polski”, „Piśmiennictwa polskiego”, „Skarbczyka poezji polskiej”? Wszak to były pierwsze podręczniki, z których nasza młodzież uczyła się historii i literatury polskiej.

Przy sposobności kilka usterek należy sprostować. Pierwszym stowarzyszeniem polskim w Cieszynie nie było założone w r. 1847 wśród ew. młodzieży gimnazjalnej „Towarzystwo uczących się języka polskiego” Andrzeja Cinciały, lecz założone przez P. Stalmacha w r. 1842 „Złączenie polskie”, które upadło w r. 1843 po jego wyjeździe z Cieszyna na dalsze studia. Towarzystwo założone przez Cinciałę upadło także już w następnym roku 1848, po czym zbierane przez niego i Stalmacha w r. 1847 książki odstąpił Cinciała w r. 1850 „Bibliotece Polskiej dla Ludu Kraju Cieszyńskiego”. Co do Stalmacha, to autor przyłączył się do pokutującego jeszcze ciągle w prasie polskiej określenia, że był on pastorem (str. 39). Otóż nic podobnego. Stalmach wprawdzie z wykształcenia był ukończonym teologiem protestanckim, ale nigdy nie był pa-

storem. Owszem marzeniem jego było zostać profesorem w ewang. gimnazjum, ale efor tego, pastor Zlik (gimnazjum wówczas było jeszcze prywatne) odmówił z powodu udziału Stalmacha w kongresie słowiańskim w Pradze. Po upaństwowieniu tegoż w roku 1850 Stalmach przygotowywał się na gwałt do rządowego egzaminu nauczycielskiego, ale tym razem nadzieje jego przekreślił inspektor krajowy A. Wilhelm ze względów politycznych. Odtąd Stalmach stale już pracował tylko w Gwiazdce, którą od samego początku redagował w duchu katolickim. (Por. broszurę moją „Z minionych lat”, Cieszyn 1937). Tyle w kwestii sprostowania.

Autor w monografii swojej objął całość kształtu pracy tego prawdziwego „apostoła oświaty ludowej”, jakim był Chociszewski, starając się dać obraz wierny aż do najdrobniejszych szczegółów, dlatego też uwzględnił i słabe strony jego poczynań i przedsięwzięć, jak łatwowierność i brak zmysłu kupieckiego, nieodownego w księgarstwie, przyprawiający go nieraz zupełnie niepotrzebnie o ciężkie straty. Książkę cechuje żywe przedstawienie rzeczy, styl jasny i potoczny. Uważam ją za bardzo pożyteczną i zasługującą ze wszech miar na to, by szersze warstwy naszego społeczeństwa z nią się zapoznały tym bardziej, że chodzi tu o postać, którą dla jej niespożytych zasług cała potomność powinna otaczać czcią i uwielbieniem.

Jan Galicz.

Marian Sobański, *Teatr Polski na Śląsku, 1922—1937*, Katowice 1937. Nakładem Tow. Przyjaciół Teatru Polskiego w Katowicach (Drukarnia Śląska), 8^o, s. 200.

Książka M. Sobańskiego o teatrze polskim w Katowicach nie jest tylko historią piętnastolecia teatru katowickiego. Stanowi ona ważny przyczynek do dziejów kultury polskiej na Śląsku za czasów polskich. Teatr Polski w Katowicach bowiem nie jest tylko jedną z licznych w Polsce placówek teatralnych. Spełnia on nadto na Śląsku pierwszorzędną rolę kulturalną, a w dziedzi-

nie budzenia i rozwoju życia narodowego na Śląsku po tej i po tamtej stronie granicy posiada wybitne zasługi.

Autor w pracy swej daje historyczny przegląd działalności Teatru Polskiego na Śląsku, poprzedzając ten przegląd krótkim zarysem dziejów teatru polskiego w okresie plebiscytowym. Dzieje Teatru Polskiego w Katowicach — to w pierwszym rzędzie dzieje działalności samego dyrektora tego teatru, gdyż na piętnaście lat istnienia teatru, dziesięć przypada na jego dyrekturę. Należy jednak zaznaczyć, że autor umie utrzymać trudny w takich wypadkach umiar w przedstawianiu dziejów własnej dyrekturki, rozmieszczając umiejętnie światła i cienie na cały okres piętnastolecia.

Nie ogranicza się autor do suchego przedstawienia faktów, lecz szeroko podkreśla rolę i znaczenie tego teatru na tle środowiska śląskiego. Wiadomo, że praca teatru katowickiego nie jest łatwa. Charakter teatru kresowego, którego zadaniem jest też szerzenie kultury polskiej poza granicami państwa, nakłada nań i na wszystkie związane z nim osoby specjalne zadania. Przytoczone cyfry i fakty wykazują zasięg działalności teatru daleko poza Katowice i poza granice państwowe. Oczywiście, przykrą koniecznością było zlikwidowanie działu operowego, tak poważnie postawionego w okresie przedkryzysowym. Mimo tej likwidacji teatr katowicki okazuje coraz większy rozmach, mogąc się poszczycić pozyskaniem nie tylko sfery inteligenckiej, ale szerokich warstw robotniczych a nawet bezrobotnych. Niewątpliwa to zasługa jedynej bodaj w Polsce organizacji pracy, umożliwiającej szerokim warstwom społecznym korzystanie z teatru.

Praca M. Sobańskiego odznacza się również poważnymi walorami naukowymi. Autor umiał w sposób metodyczny i poważny wyzyskać cały dostępny materiał źródłowy. Wskutek tego praca ta stanowi również poważną naukową pozycję, nader rzadką w naszej literaturze teatroligicznej.

Piękna szata zewnętrzna podnosi wartość tej ciekawej i cennej publikacji. R. L.

Dr Włodzimierz Dąbrowski, Sprawozdanie generalne o budżecie województwa śląskiego na rok 1938-39 obrazujące wartość śląskiej pozycji gospodarczej i politycznej w strukturze państwa, Katowice 1938, Tłoczono z polecenia Marszałka Sejmu Śląskiego w Drukarni „Narodowej” Chorzów, 8°, s. IV, 115.

Omówienie powyższej publikacji wymagałoby ze względu na jej bogatą treść dłuższego i czysto fachowego artykułu. Publikacja ta odbiega znacznie od suchych zestawień statystycznych, a miejscami jest bardzo cennym przyczynkiem, nie tylko do gospodarki Województwa, ale również do jego historii i kultury. Obejmuje ona trzy części zasadnicze i wstęp.

Wstęp omawia treść sprawozdań generalnych, zawiera fragment przemówienia budżetowego wojewody śląskiego dra Michała Grażyńskiego, omawia prace komisji budżetowo-skarbowej i kończy się wnioskiem ogólnym.

Część pierwsza publikacji pt. Wartość śląskiej pozycji gospodarczej i politycznej w strukturze państwa, rozpada się na siedem działów, obejmujących kolejno następujące zagadnienia: a) Położenie centralne województwa śląskiego, b) Śląsk w czasie niewoli a obecnie, c) Cyfry ekonomisty, d) Potrzeby gospodarcze ludności i konieczność ich zaspokajania. Inwestycje na Śląsku, e) Kilka uwag z zakresu życia umysłowego i kulturalnego Śląska, f) Dalsze ogólne zadanie ciążyące na śląskim regionie, g) Uwagi dotyczące szaty administracyjno-prawnej regionu.

Część druga to dział informacyjny o poszczególnych częściach budżetu i wreszcie część trzecia, materiał statystyczny. Nowością bardzo wartościową i bardzo pięknie opracowaną w tej publikacji jest jej część pierwsza. O niej słów parę.

Odbiegając od suchego szablonu takich opracowań, część ta stanowić może i dla

laika lekturę zajmującą, a co najważniejsze, bardzo pouczającą dla obywateli interesujących się sprawami swego kraju. Można bez przesady powiedzieć, że część ta daje krótki, ale rzeczowy i piękny obraz dorobku Śląska, a jego znaczenie dla państwa maluje w zwięzłych, ale pełnych treści skrótach. Poszczególne rozdziały pisane barwnie i żywo, urozmaicają dobrane cytaty poetyckie lub dzieł pięknych o Śląsku. Autor zestawia np. poszczególne działy dorobku kulturalnego Śląska tak, że stanowią one niejako materiał historyczny pod względem ich znaczenia i rozwoju. Omawia muzea, teatry, wydawnictwa itd.

Nie brak też zamierzeń na przyszłość. O dokładności pracy świadczy np. choćby wzmianka o współpracy polsko-słowackiej na terenie Śląska, co też podniósł z uznaniem komunikat Towarzystwa Przyjaciół Słowaków w Polsce, rozesłany zresztą poszczególnym sekcjom i prasie. Podobnie porusza też praca Łużyczan i prace o nich na Śląsku. Są też i inne interesujące rozdziały. Publikacja przechodzi np. miejscami w takie ciekawe zagadnienia, jak omówienie pojęcia i znaczenia regionalizmu, piękne i jasne, a poparte cytatami źródłowymi i przeprowadzone bardzo trafnie.

Słowem część pierwsza publikacji ma charakter cennej rozprawki naukowej, a dla zajmujących się kulturą Śląska przedstawia bardzo wartościowy i interesująco napisany materiał informacyjny. Autor zadał sobie więcej trudu, niż nakładał nań urzędowy obowiązek generalnego sprawozdawcy Komisji budżetowo-gospodarczej, gdyż dając w tym dziale wiadomości istotne, opracował je pięknie i interesująco.

Jego referat pod tym względem jest też wartościową ilustracją słów wojewody śląskiego, wypowiedzianych w exposé o budżecie na rok 1938-39. „Doceniając wagę naszego położenia granicznego oraz wartość śląskiej pozycji gospodarczej i politycznej w strukturze Państwa, dołożymy wszelkich starań, by Śląsk w dziele konsolidacji

i budownictwa narodowego maszerował na froncie wszystkich polskich prowincyj."

Myślę, że już samo zestawienie referenta generalnego jest pod tym względem dużym postępem. Przełamano w nim przecież urzędowy szablon takich sprawozdań.

Działy drugi i trzeci jako ściśle fachowe i poparte cyframi mniej nadają się do omówienia na tym miejscu, aczkolwiek i one zawierają we wstępach wiadomości ujęte nieraz w piękną formę, zwłaszcza w punktach dotyczących wydatków na kulturę śląską.

Całość publikacji stanowi nieprzeciętną pozycję informacyjno-kulturalną i chlubnie świadczy o pracowitości, jako też umiejętności autora zainteresowania czytelników i posłów sejmowych sprawami na pozór tak suchymi, jak preliminarz budżetowy.

Praca dra Dąbrowskiego powinna się też znaleźć jako wartościowa i pożyteczna pozycja w szkołach średnich na Śląsku, chociażby ze względu na pięknie ujęty dział pierwszy o kulturze na Śląsku, bardzo pomocny przy nauce o państwie. Jest ona dowodem, że nawet rzecz pozornie nudną i suchą można przy dobrej woli, a dużej wiedzy i prawdziwym zamiłowaniu do przedmiotu, przedstawić pięknie i interesująco, a co za tym idzie, zachęcić nawet przeciętnego obywatela do jej przeczytania i to z dużą korzyścią.

Słowem również pod względem pięknego ujęcia swoich zadań i zamierzeń gospodarczych, Śląsk przoduje innym ziemiom polskim.

I wreszcie na zakończenie pragnę dodać, że praca dra Włodzimierza Dąbrowskiego ze względu na swe walory propagandowe powinna być bardziej uprzyjętnioną i spopularyzowaną wśród szerszych warstw czytelników na Śląsku. Niestety tak nie jest. Trudno ją nawet zdobyć. A szkoda!

Franciszek Kulisiwicz.

XXV-lecie Zbiorów Ludoznawczych im. Heleny i Wiesławy Cichowicz w Poznaniu, 28 XII 1911 — 28 XII 1936, Poznań 1937

(Drukarnia S. A. „Ostoja” Poznań), 4^o, s. VIII, 105, 3 nlb., tabl. 2.

Każdy prawie zakątek ziemi polskiej miał lub ma ludzi opatrnościowych, zamiłowanych bezinteresownie w swojej kulturze ludowej. Z miłości tej i przywiązania, oraz z obawy, by ginący świat dawniejszy nie zanikł zupełnie, z chęci, by uratować go w miniaturze chociażby dla przyszłych pokoleń, rodziły się zbiory i muzea regionalne. Przykładów nie trzeba nam szukać daleko. Weźmy chociażby dwa z brzegu: śp. ks. Józef Londzin, twórca zbiorów Towarzystwa Ludoznawczego w Cieszynie, lub zmarły niedawno śp. Seweryn Udziela (* 28 IX 1937), twórca Muzeum Etnograficznego w Krakowie — to nazwiska, mówiące same za siebie. Podobną zasługę, jeśli idzie o Wielkopolskę, zyskały sobie Helena Cichowiczowa wraz z córką swą Wiesławą, jako twórczynie Zbiorów Ludoznawczych w Muzeum Wielkopolskim w Poznaniu. Księga wymieniona powyżej, to pamiętnik i dzieje tych zbiorów, przypomniane w związku z 25-leciem ich istnienia.

Zbiory wspomniane zawdzięczają swoje powstanie i piękny rozwój śp. Helenie z Robińskich Cichowiczowej (* 1860 w Krotoszynie, † 1929 w Belgii), żonie adwokata i notariusza Ludwika Cichowicza. Pierwotnie umieszczone były w muzeum im. Mielżyńskich, gdzie otwarto je, jako dział ludoznawczy, w r. 1911. W r. 1921 przeniesiono je z muzeum Mielżyńskich do Muzeum Wielkopolskiego, gdzie — stale wzrastając — tworzą dziś bogaty dział ludoznawczy. O utrzymanie i rozszerzenie zbiorów troszczyły się nadal założycielka i jej córka Wiesława, która od samych początków dzielnie swej Matce pomagała¹⁾, a po jej zgonie piękne dzieło sama otoczyła troskliwą opieką. Wydanie książki pamiątkowej jej właściwie jest dziełem, poświęconym pamię-

¹⁾ Zob.: Cichowicz Wiesława, Przewodnik ilustrowany po dziale ludoznawczym im. H. i W. Cichowicz w Muzeum Wielkopolskim w Poznaniu, Poznań 1929, s. 26, 8 tabl.

ci „Heleny Cichowiczowej, twórczyni Zbiorów Ludoznawczych im. H. i W. Cichowicz, wielkiej miłośniczce ludu naszego...”

Księga pamiątkowa, wydana ku uczczeniu ćwierćwiecza istnienia Zbiorów, przedstawia się niezwykle okazale. Bogato ilustrowany tom ten mieści w sobie szereg cennych prac m. i. dra A. Wojtkowskiego (Helena Cichowiczowa i Zbiory Ludoznawcze), W. Cichowicz (Strój Bamberki), J. Pietraszyńskiej (Opis dudów wielkopolskich), J. Bzdęgi (Stroje i zwyczaje weselne na Biskupiźnie), T. Kurpińskiego (Sztuka ludowa Wielkopolski), Ivy (Hafty wielkopolskie), F. Nowowiejskiego (Pieśń ludowa kaszubska), G. Morcinka (Śląsk w Poznaniu) i in. Artykuł Morcinka zainteresuje czytelnika śląskiego oczywiście najwięcej. Treścią jego jest opisanie i wyliczenie okazów śląskich w zbiorach im. H. i W. Cichowicz, oraz kłopotów, jakie towarzyszyły zdobyciu niektórych rzeczy ze Śląska...

Na szczególniejszą uwagę zasługuje wewnętrzny wygląd „XXV-lecia”. Piękna okładka i inicjały Stan. Zgaińskiego, oryginalna fotografia założycielki, barwna tablica W. Boratyńskiego (Wnętrze chaty krotoszyńskiej), ilustracje T. Kołomłockiego, T. Kurpińskiego i St. Zgaińskiego, cały szereg starannie odbitych fotografii, wreszcie druk i duże marginesy — oto dowody, iż mamy do czynienia z książką piękną i miłą.

Ludwik Brożek.

Pamiętniki śp. Jana Łyska, Poseł Ewangelicki, 1937, 43—48.

Przez długie lata nie wiedzieliśmy wcale, że Łysek pisał Pamiętnik, i że dochował się on do dnia dzisiejszego. Dopiero skrzętne poszukiwania wszelakich pamiątek po poecie i dowódcy kompanii śląskiej w Legionach, czynione przez radcę J. Nikodema z Poznania, uwieńczone zostały pięknym odnalezieniem rękopisu Pamiętnika, który redakcja „Pocła Ewangelickiego” zaczęła publi-

kować, ale po kilku numerach przestała. Może nawet słusznie.

Publikowanie czyichś pamiętników jest rzeczą częstokroć ryzykowną, zwłaszcza jeśli żyją jeszcze osoby, z którymi autor stykał się bezpośrednio, znał ich nachylenia i odchylenia polityczne i które ujmował subiektywnie, całkiem bezpośrednio i szczerze ze swego stanowiska patriotycznego. Ujmował nie tylko osoby, ale i środowisko, w którym pracował jako nauczyciel, tj. Jaworze Średnie. Niestety prawda wtedy zanotowana, pokutuje jeszcze dziś z małymi przesunięciami w terenie. Ludzie pozostali ludźmi, chociaż ubiór ich dekorują państwowe odznaczenia. Tamte Johanki czują trochę słusznego żalu do wydawcy, że wymieniono ich nazwiska, a można było tego uniknąć najzupełniej, wstawiając inicjał albo je opuścić, bo proszę pomyśleć: kobiety dziś zamężne...

Treść Pamiętnika odśtania nam Łyska na bardzo krótkiej przestrzeni czasu (luty 1914) jako człowieka pracy. Choć skarży się Autor na początku na szarżyznę w swej duszy i duchowe próżniactwo, to dalsze kartki świadczą o bezustannej pracy: przerabia, poprawia i uzupełnia „Śpiących rycerzy”, i oddaje do druku w Cieszynie. Równocześnie studiuje historię i pedagogikę, przygotowując się do egzaminu wydziałowego. Pawłowi Bobkowi pisze obrazki historyczne do projektowanego podręcznika historii („Krak” i „Wanda” w „Elementarnej nauce historii”), w Jasienicy prowadzi ćwiczenia „Sokoła”, zabiegając przy tym u posła ks. Londzina o pomoc przy wyborze Polaka na wójta, zwołuje do Skoczowa komitet dla zwalczania renegatczyzny. To wyimek „próżniactwa” jednego miesiąca zimowego, kiedy do dyspozycji tylko krótkie popołudnie, a do Cieszyna, Skoczowa czy Bielska kawałek drogi.

Nauki szkolnej nie zaniedbuje nigdy. „Mogę o sobie śmiało powiedzieć — pisze — iż w tym kwartale obowiązki wychowawcy i nauczyciela spełniałem sumiennie.”

Jeszcze jedna cecha odzwierciedla się w Pamiętniku: szczerść w ujmowaniu siebie. Rozkoszuje się przyrodą. Do Boga odnosi się z wiarą i pokorą. Miłość przeżywa w sposób niemal sielankowy.

Przeczuwa już nadchodzące chmury. „Myśl moją zajmują teraz wypadki polityczne, możliwość i prawdopodobieństwo wojny”.

Nie da się z tych kilku kartek ująć należycie sylwetki Łyska. Może by redakcja „Pośła Ew.” w dalszym ciągu Pamiętnik ten wydrukowała z pominięciem nazwisk osób żyjących czy w ujemnym świetle (w dzisiejszym mniemaniu) przedstawionych. Pamiętniki te bowiem są kopalnią szczegółów, odnoszących się do twórczości literackiej Łyska w najbujniejszym jej rozkwicie.

Jan Broda.

M. Książkiewicz, *Utwory czwartorzędowe Pogórza Cieszyńskiego*. Kraków 1935, Nakł. Polskiej Akademii Umiejętności (Druk. Uniw. Jagiell.) 4^o, s. 2, 14, 2, mapa. — Wydawnictwa Śląskie, Prace Geologiczne, nr 2.

Skąpa stosunkowo literatura geologiczna o Śląsku Cieszyńskim wzbogaciła się o nową pracę. Oto krótkie jej streszczenie: Osady czwartorzędu na Pogórzu Cieszyńskim po wschodniej stronie rzeki Olzy, nie znalazły dotychczas badaczy o głębszym zainteresowaniu, którzy by przeprowadzili dokładne badania tych utworów. Poważniejsze wyniki badań Götzingera ograniczają się prawie jedynie do Kotliny Cieszyńskiej. W występującym tutaj czwartorzędzie odnalazł on morenę i żwiry mieszane koło Cieszyna, zaś koło Krasnej przeprowadził badanie piasku i żwirów lodowcowych, o których przedtem wspominał Uhlig i Hanslik.

Utwory czwartorzędowe Pogórza Cieszyńskiego przedstawiają wygląd bogaty w różnorodność. Możemy tu odróżnić: I. Osady z transgresji i maksymalnej fazy zlodowacenia, jako najstarsze, do których

zaliczyć możemy: 1. Morenę piaszczystą koło Cieszyna. 2. Żwiry karpackie stożka wiślańskiego w okolicy Ustronia. 3. Piaski i żwiry glacialne pomiędzy Olzą a Wisłą. — II. Osady z recesji lodowca, do których należą: 1. Żwiry mieszane. 2. Żwiry karpackie wysokie. — III. Osady młodsze od recesji lądolodu: 1. Żwiry i gliny karpackie niższe. 2. Lessy. 3. Akumulacja najniższa.

Morena piaszczysta, występująca koło Cieszyna razem z napotykanymi głazami narzutowymi, świadczy o tym, że epoka lodowcowa pozostawiła na Śląsku wybitne piętno. Lodowiec wtargnął głęboko w obszar beskidzki, sięgał bowiem po Cieszyn i Ustroń. Dowodem tego występująca w Bobrku morena piaszczysta o strukturze wybitnie glacialnej i wcale częste granitowe erratyki.

Żwiry stożka ustroniańskiego powstały w czasie transgresji lodowcowej jako osady Wisły i licznych jej dopływów z pasma Czantorii i Równicy. Stożek owych ustroniańskich żwirów rozciąga się od Hermanic do Goleiszowa, a górna granica jego utworów występuje na wysokości około 390 m na południu i 320 m na północy.

Występowanie piasków i żwirów stwierdzono koło Cieszyna, Krasnej, Ogrodzonej i Łączki. Spotykamy je w morfologicznej kotlinie — pomiędzy wapiennymi wzgórzami Zamarsk, Ogrodzonej i wzgórz na północo-zachód od Skoczowa, od północy z wzgórzami Chełmu i pagórkami między Goleiszowem a Cieszynem od południa. Miąższość ich miejscami przekracza 5 m. Uwarstwowanie, często diagonalne, jest niejednolite. Często spotykamy w nich soczewki otoczków kwarcowych i ślady moren lodowcowych, zawierające czerwony granit, porfiry i kwarcyty.

Żwiry mieszane, określone pierwotnie na Frysztackim Przedmieściu Cieszyna i koło Krasnej, posiadają zasięg większy: rozciągają się one od Cieszyna i jego przedmieścia Bobrek na zachodzie — przez Krasną, Gumna i Ogrodzoną do Międzywiesia,

Skoczowa i Pogorza. Występowanie żwirów nie jest ciągłe, ale częste. Ich skład petrograficzny stanowią żółtawe piaski kwarcowe, okruchy i otoczaki z kwarcu, lidyty, czerwonego granitu i porfiru, gnejsu, rogowca i dalakwarcytu, piaskowce karpackie a w szczególności piaskowiec godulski i ligocki. Żwiry te, jak wskazuje na to ich skład i wygląd, powstawały w pobliżu końca lodowcowego jako osady rzek beskidzkich. Ponad mieszanymi żwirami zalegają piaski glacialne a na północ od nich utwory neokomu. Genetycznie można żwiry mieszane uważać jako prawdziwe osady regresji lodowcowej, powstałe po cofnięciu się lodowca z dolin rzecznych — w czasie, gdy czoło lodowca stało w północnej części Pogorza Cieszyńskiego. Żwiry mieszane można określić jako osady wód pochodzących z topnienia lodowców i płynących wzdłuż czoła lodowców, jako też osady rzek beskidzkich. Wysokość położenia warstw żwirowych waha się od 280 do 350 m n. p. m.

Żwiry mieszane spotykamy również niżej na Podbeskidziu, gdzie występują na długiej powierzchni, ciągnącej się od Markłowic i Hażłacha na północ w stronę Końcyc. Poza tymi miejscowościami zbadano je na tym obszarze w Brzezówce i Parchowym Lesie. Genetycznie stanowią one dalszy ciąg regresji lodowca a petrograficznie posiadają mniej materiału w rodzaju piaskowca godulskiego względnie ligockiego. Wysokość ich średnio można ująć w granicach 270—290 m n. p. m.

Ponad tymi żwirami oraz ponad utworami neokomu zalegają w okolicach Cieszyna gliny wspólnie z otoczkami typu fliszowego. Wysokość ich zalegania przypada średnio na 320 m n. p. m. Na północ od Cieszyna (Pastwiska, Kalembice, Markłowice) spotykamy te same utwory fliszowe częściowo na utworach neokomu, częściowo na mieszanym żwirach. Na przedgórzu odpowiadają im, wszędzie zalegające na żwirach mieszanym i przykryte czystymi glinami typu lessowego, gliny zmieszane z otoczkami

fliszu (Parchowy Las, Brzezówka, Hażlach). Ku północy możemy ustalić pewne pomieszczenie tych warstw z warstwami dawniejszymi. Götzinger twierdzi, że lodowiec w czasie cofania się ku północy zatrzymał się na linii Darków-Lutynia-Raj i w tym czasie w pobliżu krawędzi lodowcowej osadzały się żwiry mieszane, zaś na południe od nich powstawały na starszych osadach żwirów mieszanych osady nagromadzonych wód beskidzkich, które występują miejscami bardzo wyraźnie (Bobrek, Krasna), jako uwarstwione, białego prawie koloru iły.

Młodsze żwiry karpackie stanowią materiał składowy charakterystycznych osadów zaolzańskich, tworzących t. zw. główną terasę żwirową Olzy. Występują one w okolicy Cieszyna około 40—50 m niżej od spągu wysokich żwirów karpackich. Można to tłumaczyć jedynie w ten sposób, że po osadzeniu się żwirów wysokich, poziom rzeki obniżył się na skutek denudacji na przeszło 50 m. Nastąpić to musiało w okresie międzylodowcowym. Osady młodsze zatem trzeba odnieść do późniejszego, — drugiego zlodowacenia.

Następna faza obejmuje tworzenie się lessów, którymi przykryte są młodsze żwiry. Możliwe, że czas powstawania lessów tutaj częściowo jest identyczny z czasem tworzenia się lessów na Przedgórzu, jednakże jest bardzo prawdopodobne, że przynajmniej częściowo, czas tworzenia się lessów głównej terasy jest wcześniejszy. Charakterystycznym i ciekawym dla czytelnika faktem będzie stwierdzenie występowania w utworach lessowych szczątków zwierząt przedhistorycznych takich jak słoń *Elephas primigenius* (Bobrek, Boguszowice, Zamariski) lub koń *Equus caballus foss* (koło Cieszyna).

Inż. Emanuel Sukiennik.

Kohutek Ludwik, Sprawa drobnych dzierzawców rolnych na Śląsku, Katowice 1938, Nakład własny (Drukarnia A. Gorzelińska i J. Wąsika, Katowice) 8^o, str. 24.

Uwłaszczenie chłopów na terenie wsi górnośląskiej nastąpiło dopiero w roku 1852 i było dla nich ogromnie krzywdzące na korzyść wielkich właścicieli ziemskich, którzy prawie że w zupełności byli narodowości niemieckiej. Dlatego też od samego początku uwłaszczenia na Górnym Śląsku wystąpiło zjawisko masowej dzierżawy od niemieckich właścicieli ziemskich, przez ludność wiejską, małorolną i bezrolną. Powyższe stosunki utrzymały się na Górnym Śląsku do dnia dzisiejszego, gdyż żyje tu jeszcze obecnie około 400.000 osób spośród ludności wiejskiej, jako drobnodzierżawcy rolni, którzy są zależni gospodarczo w znacznej mierze i politycznie od właścicieli niemieckich.

Do wygaśnięcia konwencji genewskiej na Górnym Śląsku, a więc do dnia 15 lipca 1937 r. obowiązywały niemieckie ustawy, normujące sprawy rolne. Z tego też względu trudno było poprawić dolę biednych dzierżawców rolnych. Obecnie, po wygaśnięciu konwencji genewskiej na Górnym Śląsku, ma być wykonana reforma rolna na podstawie ustawy polskiej. Zamierzona reforma rolna ma uzdrowić zawiśnięte i zagmatwane stosunki społeczno-gospodarcze wsi górnośląskiej, oraz usunąć wady dotychczasowego ustroju rolnego. Wstępem do wykonania reformy rolnej powinno być uwłaszczenie drobnych dzierżawców rolnych na Śląsku, i to na podstawie specjalnie w tym celu opracowanej ustawy. W jakim kierunku ma pójść powyższa ustawa, w jaki sposób ma ona sprawiedliwie i słusznie rozwiązać to trudne zagadnienie uwłaszczenia drobnych dzierżawców rolnych, — na to pytanie daje nam odpowiedź „Sprawa drobnych dzierżawców rolnych na Śląsku” dra Ludwika Kothka.

Autor omawia w niej w sposób jasny i wyczerpujący całe powyższe zagadnienie, ze specjalnym podkreśleniem dotychczasowej niedoli drobnych dzierżawców rolnych i zwróceniem uwagi na niesumienne postępowanie wielkich właścicieli ziemskich,

którzy chcąc swoje grunta dworskie chronić przed parcelacją, w różny podstępny sposób odbierają je dotychczasowym drobnym dzierżawcom i starają się je zamienić na użytki leśne i stawy, które nie podpadają pod parcelację.

Głos Młodych, Pismo młodzieży szkół średnich, r. 3: 1938, nr 2 [str. 16 z 19 ilustr.].

Powyższy numer pisma młodzieży szkół średnich pragnę omówić ze względu na jego specjalny charakter.

Numer ten poświęcono mianowicie w całości profesorowi Zygmuntowi Lubertowiczowi, nauczycielowi państwowego gimnazjum w Bielsku z okazji trzydziestolecia jego pracy wychowawczej i literackiej. W dzisiejszych czasach dużego zmaterializowania społeczeństwa starszego, a jak niektórzy sądzą, i młodzieży, taki objaw uczczenia swojego nauczyciela przez młodzież i kolegów stanowi rzadki i chlubny wyjątek.

Na treść tego numeru składają się artykuły G. Morcinka pt. „Pierwsze spotkanie”, Alfreda Jesionowskiego: „Twórczość literacka Zygmunta Lubertowicza”, Dra Stanisława Kipy: „Jeden niełatwy żywot”, Aleksandra Kisielewskiego: „Z. Lubertowicz, szczerzy miłośnik i popularyzator polskich gór”, nadto dwóch uczniów jubilatów: Tadeusza Szpunara: „Z. Lubertowicz jako wychowawca” i Jana Janiurka: „Prof. Z. Lubertowicz jako nauczyciel”. Pomiędzy poszczególnymi artykułami wstawiono pięknie dobrane fragmenty twórczości poetyckiej jubilatów pt. „Orla perć”, „Burza w Tatrach”, „Ostatni uśmiech”, „Dom”, „Modlitwa wieczorna”.

Nadto numer zdobi 19 pięknie wykonanych i odpowiednio dobranych ilustracji, przedstawiających fragmenty Tatr, budownictwa góralskiego, miejscowości rodzinnej jubilatów Nowego Targu, Pienin, Gorców i gimnazjum bielskiego. Na wstępie zamieszczono portret jubilatów.

Całość pod względem typograficznym bez zarzutu, wydana na dobrym papierze i pięknie. Impresja literacka G. Morcinka

omawia postać jubilata jako pracownika społecznego. Jest utrzymana w tonie serdecznego wspomnienia.

A. Jesionowski omawia działalność literacką Lubertowicza, kładąc główny nacisk na różnorodną jej formę i treść. Pracę miał trudną. Zebrać musiał utwory rozsiane po różnych czasopismach w kraju i zagranicą, w których autor zamieszczał swe utwory. Dopiero w zestawieniu krytyka widać duży dorobek literacki autora Sonetów Tatrzańskich. Przy czytaniu artykułu p. Jesionowskiego nasuwa się mimowoli refleksja, ile to nieraz cennych prac nauczyciela rozsypuje się, jak liście wiatrem jesiennym porwane, po świecie, nikt o nie nie dba, nikt ich nie zna, nikt nie ceni. Tylko dobra wola i serce życzliwe czasem, gdzieś, kiedyś je zbierze, wspomni i omówi serdecznie, jak w tym wypadku uczynił to serdeczny druh-kolega. Ten trud życia jubilata uzupełnia dr Kipta krótkim życiorysem Lubertowicza, a jego wychowankowie pp. Szpunar i Janiurek wspomnieniami i charakterystyką jego działalności nauczycielskiej jako polonisty i wychowawcy. Wreszcie p. Kisielewski omawia postać jubilata jako taternika i popularyzatora gór polskich. Całość uzupełnia i wyjaśnia niejako krótka antologia utworów poetyckich jubilata.

Wszystkie są piękne, wszystkie wartościowe — a utwór pt. „Dom”, będący alegorią budowy własnego państwa, jest jakby wyznaniem patriotycznej duszy autora.

Dzięki szczęśliwemu uniknięciu niepotrzebnych hymnów pochwalnych i przeładowania treści, numer zawiera to, co zawierać powinien, obraz życia i trudu nauczyciela jako wychowawcy, pracownika społecznego i poety nieprzeciętnej wartości. Gimnazjum bielskie dobrze uczciło pracę swego nauczyciela, niestety czasem tak niedoceniając i nie dostrzegając, o ile idzie o ludzi skromnych i nie mogących się poszczycić wielkimi tożami, na które trzeba mieć czas i być wolnym od ciężkiej troski życiowej.

A od tych nie są wolni dzisiaj niestety nauczyciele. Dlatego numer ten pisma młodzieży zasługuje na poznanie i jako wyraz pewnej reakcji młodzieży na zapominanie o pracy nauczycieli i jako przyczynek literacki, gdyż jubilat żyje i pisze na Śląsku, a często i o Śląsku.

Napisał on przecież piękny „Przewodnik po Beskidzie Śląskim i Małym” — uznany przez turystów za bardzo wartościowy.

Pisywał też lub pisuje w dziennikach śląskich, jak Zwanie, Dziennik Cieszyński, Zjednoczenie Bielskie, Echo Beskidzkie, Polska Zachodnia itd. Jest też czynnym pracownikiem Macierzy Szkolnej Ziemi Cieszyńskiej.

Dlatego cieszyć się wypada, że właśnie młodzież śląska pracę jego uznała i utrwaliła skromnie, ale pięknie w specjalnym numerze swego pisma.

Warto ten numer kupić i przeczytać.

Franciszek Kulisiewicz.

Na wodnym szlaku, Katowice 1938, Klub Kajakowy Wspólnoty Interesów, 8^o, str. 68, 8 nlb.

Jednodniówka niniejsza wydana została przez Klub Kajakowy Oddziału Ligi Morskiej i Kolonialnej przy Zarządzie Centralnym Wspólnoty Interesów Górniczo-Hutniczych w Katowicach pod redakcją Edwarda Beckera w nakładzie 2000 egzemplarzy na papierze ilustracyjnym, [prócz tego] 100 egzemplarzy numerowanych 1—100 na papierze kredowym kremowym matowym. W tekście oryginalne drzeworyty Jana Pelara. Linoryt na okładce wykonał i układ graficzny projektował Karol Franek. Tłoczono w drukarni Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra pod kierownictwem Franciszka Hessa.

Młody, bo od roku zaledwie czynny Klub Kajakowy przy Wspólnocie Interesów, dał się poznać szerszej publiczności sympatycznym wydawnictwem, zwołującym chętnych „na wodny szlak”. Entuzjazm, cechujący wydawców i autorów tej ciekawej z wielu względów publikacji, opiera się o piękne wezwanie Żeromskiego, wypowiedziane w „Międzymorzu”: „...Wzniesmy się z naszych podziemnych nor, z kanałów, jam, piwnic, z zatęchłych domów i stańmy się uwielbie-

niem wolności i piękności istnienia do wolnych i pięknych ptaków podobni!... Uwielbiamy pochody słońca nad łądami, które są, i nad rzekami, których już nie ma — wschody i zachody, wznioślejsze w swym czardziejstwie ponad śpiew ptasi i ponad słowo człowieka, nawroty wieczne, a nigdy nie ulegające odmianie... Wzniesmy się w radości naszej ponad utwierdzenie, w przestwór elementów i nad niezmierzone bezgranicza morza."

Apel to, skierowany głównie do gnących mieszkańców miast. Wywieść ich poza miasto, na łono przyrody, na rzekę, jezioro, morze, n a w o d n y s z ł a k — oto ambicje „wodniaków”. Artykuły, tworzące tę jednodniówkę, w większości swej opisują ów urok niezrównany obcowania z wodą. A więc najpierw kajaki: Karol Franek opisuje swój „Pierwszy flirt z najadami” na Białej Przemszy, Maria Podhorska-Okóło w w felietonie „Mała rzeczka” przypomina najbardziej urocze wędrówki swoje po „małych rzeczках” (Skrwa, Wel, Długa, Rawka), Adam KostECKI zaś opisuje 20-dniową wyprawę ze Śląska na Polesie „szla-

kiem wodnym”, długim 880 km („Tramp” płynie na Polesie). Wyprawy morskie jachtom opisują Ludwik Sz y k o w s k i (Pod żaglem do Danii) i inż. Ludwik M a y r e (Rejs starszych panów). Prócz tych artykułów o charakterze wspomnieniowo-opisowym znajdujemy artykuły programowo-organizacyjne inż. Bronisława K o w a l s k i e g o (Na wodny szlak), Bolesława Z a w a d z k i e g o (Gospodarka wodna a turystyka zbiorowa), Edwarda B e c k e r a (Przez kajak do jachtu) i inż. Bolesława G a j e w s k i e g o (O rozwój jachtingu). Całości dopełniają dwa utwory literackie: Juliana P r z y b o s i a „Rzeki” (drukowane także w odmiennej nieco redakcji w „Zaraniu Śląskim”, 1934, str. 188) i specjalnie do tego wydawnictwa napisana humoreska Gustawa M o r c i n k a pt. Szczęście na wodzie.

Jednodniówkę bardzo zgrabnie ujęto w piękną formę graficzną, w której to i owo może szwankuje, niemniej w sumie daje rzadkie na Śląsku zjawisko wydawnictwa, o które z powodzeniem starano się, by wyszło pięknie.

L. B.

Kronika

Hołd zastudze

W poniedziałek dnia 13 czerwca br. o godz. 18 odbyło się w sali rady miejskiej w Cieszynie uroczyste posiedzenie Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku, zwołane przez Zarząd dla uczczenia 70-lecia Urodzin i 35-lecia pracy naukowej DYREKTORA FRANCISZKA POPIOŁKA, oraz celem wręczenia Mu dyplomu Pierwszego Członka Honorowego T-wa Przyjaciół Nauk na Śląsku.

Podniosła tę uroczystość, na którą zjawili się mnóstwo osobistości z całego Śląska, zagaśli prezes T-wa Przyjaciół na Śląsku ks. dr Emil Szramek, kreśląc w pięknych słowach sylwetkę Jubilata jako uczonego, pracowity trud jego żywota oraz zasługi w służbie nauce. W uznaniu tych właśnie zasług zamianowało T-wo Przyjaciół Nauk na Śląsku Jubilata swym Pierwszym Członkiem Honorowym. Przemówienie swe zakończył mówca odczytaniem dyplomu i wręceniem go Jubilatowi, oraz serdecznymi życzeniami jak najdłuższego zdrowia na pożytek i dobro nauki śląskiej. — Imieniem Instytutu Śląskiego złożył następnie Jubilatowi życzenia dyrektor dr R. Lutman.

W odpowiedzi na piękne i podniosłe przemówienie ks. Szramka zabrał głos głęboko wzruszony Jubilat, opowiadając m. i. o początkach swej pracy naukowej, która wypłynęła głównie z potrzeb polskiej szkoły śląskiej. Kardynalnym postulatem nauki o kraju ojczystym, o Polsce, jest wyjście od środowiska najbliższego, środowisko zaś cieszyńskie nie posiadało wówczas, to znaczy przed blisko 40 laty, polskiej literatury historycznej, która by tę naukę umożliwiała i ułatwiała. Była literatura niemiecka i czeska, obydwie wrogo nastawione wobec Polski i Polaków, literaturę zaś polską trzeba było dopiero stwarzać, i to od podstaw, od przetrząśnięcia archiwów miejscowych i pozamiejscowych. A praca to była niełatwa, bo

w takim np. archiwum wiedeńskim pracowało się zimą, w nieopalonym lokalu, przy rozbitym w dodatku oknie. Pracę w archiwum Komory Cieszyńskiej umożliwił swymi staraniami dr Jan Michejda, naówczas poseł do Rady Państwa i Sejmu Śląskiego w Opawie. I tę pracę krępowano, żądając zobowiązań, iż materiałów z tego archiwum nie zużytkuje się przeciw Komorze. Ciekawymi były również opowiedziane szczegóły o pracach kartograficznych. Pierwszą polską mapę Księstwa Cieszyńskiego wyrysował pod kierunkiem Jubilata Jan Handzel z Kończyc Wielkich, obecnie wiceprokurator apelacji katowickiej. Druga, spolszczona przez Jubilata mapa Śląska Rudolfa Kobera miała się w ogóle nie ukazać, dopiero wstawiennictwo i obrona mapy ze strony prof. Eugeniusza Romera umożliwiły jej wydanie. Następna mapa, kongresowa, z komentarzem angielskim i francuskim, obejmująca południowo-zachodnie kresy łącznie ze Spiszem, Orawą i Czadeciem, powstała w Krakowie, w najcięższych i najprzykrzejszych warunkach. Były to czasy zbrojnej inwazji czeskiej, czasy, o których najwymowniej mówią fotografie pomordowanych w Stonawie i Olbrachcicach żołnierzy i milicjantów... Cel, jaki przyświecał autorom (F. Popiołkowi i T. Golachowskiemu) tej ostatniej mapy, nie został osiągnięty. W Paryżu potoczyły się wypadki po myśli czeskiej... Swoje wspomnienia-uwagi zakończył Jubilat wezwaniem do młodych, by podjęli pracę naukową, wszczętą przez pokolenia starsze, wycofujące się powoli z życia publicznego. Warunki tej pracy są dziś o wiele korzystniejsze, nie ma bowiem tych trudności, z jakimi trzeba było walczyć dawniej, łatwiej też dziś zdobyć wydawcę w osobie czy to T-wa Przyjaciół Nauk na Śląsku, czy też Instytutu Śląskiego...

Po tych serdecznych wspomnieniach przemawiało jeszcze kilku mówców, snując

nutę wspomnień i życząc Jubilatowi zdrowia i pomysłowości w długie lata. Imieniem ziemi cieszyńskiej składał życzenia starosta cieszyński Jan Plackowski, imieniem miasta burmistrz Rudolf Halfar, imieniem władz szkolnych dyr. Karol Grycz, za Macierz Szkolną Ziemi Cieszyńskiej i nauczycielstwo, zrzeszone w dawnym T-wie Pedagogicznym na Śląsku dyr. Jan Zebrook, za Macierz Szkolną w Czechosłowacji i całe Zaolzie przemówił na koniec dyr. Piotr Feliks, nawiązując jako uczeń Jubilata w gimnazjum jasielskim nić wspomnień serdecznych ze schyłku wieku zeszłego. Odczytaniem telegramów, jakie nadeszły z życzeniami pod adresem Jubilata, zakończyła się uroczysta część jubileuszowa.

Z kolei docent Uniw. Jagiell. dr Tadeusz Dobrowolski, konserwator śląski i dyrektor Muzeum Śląskiego w Katowicach wygłosił prelekcję o życiu artystycznym ziemi cieszyńskiej w przeszłości. Głębokie i trafne uwagi jego na ten temat, przedstawione na doskonale podmalowanym tle dziejów sztuki i dziejów ziemi cieszyńskiej, były pierwszym bodajże głębszym i wyczerpującym ujęciem tego tematu. Życzyćby sobie należało, by prelekcję tę, zilustrowaną zabytkami, o których była mowa, wydano drukiem osobno jako trwałą pamiątkę tej podniosłej uroczystości cieszyńskiej.

Po zebraniu w ratuszu grono gości i przyjaciół spędziło jeszcze parę niezapomnianych chwil w mieszkaniu Państwa Dyrektorów Popiołków. Toasty, wzniesione na zdrowie Czigodnego Jubilata, Jego Dostojnej Małżonki i Księdza Prezesa, oraz pogodne przemówienia nacechowane serdecznością i humorem (Olszewicz, Kowalczyk, Przybyła, Plackowski, Halfar, Glensk, Morcinek i i.) zakończyły tę rzadką uroczystość, która pozostawiła w pamięci wszystkich niezatarte wspomnienie.

L. B.

Śląski ruch bibliofilski

Przy założonym w dniu 17 marca 1937 roku Kole Śląskim Związku Bibliotekarzy Polskich w Katowicach¹⁾ powstała w dniu 9 czerwca 1937 r. Sekcja Bibliofilska, skupiająca kilkunastu bibliofilów śląskich. Sekcja ta powstała głównie dzięki zabiegom Tadeusza Pietrykowskiego, znanego bibliofila toruńskiego²⁾, obecnie wiceprezesa Sądu Okręgowego w Katowicach, który też stanął na jej czele. Sekretarzem sekcji wybrano Ludwika Brożka. Zebrania sekcji, odbywające się prawie co miesiąc w bibliotekach prywatnych członków (u Stan. Szenica, dra Leona Falla, inż. Leona Harasiewicza, Tad. Pietrykowskiego, znów u dra Falla, u dra Olszewicza i u wiz. Pawła Pszczółki), umożliwiły wzajemne poznanie zbiorów i zainteresowań bibliofilskich (książki, grafika, exlibrisy, oprawy).

Po rocznym mniej więcej istnieniu przekształciła się sekcja w samodzielne Śląskie Towarzystwo Miłośników Książki i Grafiki. Ostatnie zebranie u wiz. Pszczółki 26 IV 1938, było równocześnie zebraniem konstytucyjnym nowego Towarzystwa. W skład zarządu wszedł Tad. Pietrykowski jako prezes, inż. L. Harasiewicz jako jego zastępca, Piotr Stasiak jako sekretarz i mgr Karol Franek jako skarbnik. Nowozałożone towarzystwo bibliofilskie jest stowarzyszeniem zamkniętym. Liczba jego członków — według statutu, który niebawem ukaże się w druku jako pierwszy tomik wydawnictw Towarzystwa — nie może przekroczyć liczby 21, a nadmienić na tym miejscu wypada, że wszystkie miejsca są już zajęte. W tej

¹⁾ Zob.: Przegląd Biblioteczny, r. 11: 1937, zes. 1, str. 65.

²⁾ Ciekawych odsyłamy do monografii Zygmunta Mocarskiego, Biblioteka Tadeusza Pietrykowskiego, na pamiątkę osiągnięcia 5000 dzieła, Toruń 1928, Nakładem Biblioteki T. Pietrykowskiego (Drukarnia Rolnicza w Poznaniu pod kier. J. Kuglina), 4^o, s. 16.

ograniczonej liczbie członków poważne miejsce zajęli współpracownicy „Zarania”... Obok wymienionych już (T. Pietrykowskiego, L. Brożka, W. Olszewicza, P. Stasiaka i K. Franka) w poczet członków wchodzi m. i. Gustaw Morcinek, Jan Kuglin, Paweł Steller i Alfred Jesionowski.

Działalność nowej placówki kulturalnej na Śląsku nie będzie się ograniczała — jak dawniej — do sympatycznych zebrań bibliofilskich: T-wo zamierza urządzać w miarę możliwości i środków wystawy (piękne książki, grafika, piękne oprawy i exlibrisy ze zbiorów prywatnych), oraz — w skromnym oczywiście zakresie, lecz gustownie — wydawać pewne publikacje o charakterze bibliofilskim. Jednym z zamierzonych wydawnictw T-wa będzie tomik pt. „Prywatne zbiory książek i grafiki na Śląsku”. Wydawnictwo to, uwzględniające, jak mówi tytuł, jedynie zbiory prywatne, powinno być ciekawym i pożytecznym dopełnieniem publikacji o zbiorach publicznych na Śląsku, zapowiedzianej w swoim czasie przez dyrekcję Instytutu Śląskiego w Katowicach.

W związku z pracami około tego wydawnictwa, poświęconego zbiorom prywatnym, uprasza się wszystkich zbieraczy i posiadaczy większych księgozbiorów i zbiorów grafiki na Śląsku o nadesłanie danych o swoich księgozbiorach, lub też o podanie swych adresów celem przesłania im do wypełnienia szczegółowych kwestionariuszów w tej sprawie. Redakcję zamierzonego wydawnictwa prowadzi L. Brożek, sekretarz redakcji „Zarania Śląskiego”.

Skoro o bibliofilstwie mowa, to niesposób nie wspomnieć tu o pewnym pięknym druku bibliofilskim, tym bardziej, że łączy się on do pewnego stopnia z „Zaraniem Śląskim”. Czytelnicy „Zarania” przypominają sobie zapewne elegijny wiersz Jadwigi Miśnickowskiej pt. „Jednej z najlepszych matek” (Z. Ś. 1938, zes. 1, str. 18), wiersz, poświęcony „Matce pisarza”. Nie trudno było domyśleć się, że chodziło tu o Matkę pisarza Gustawa Morcinka, śp.

Marię ze Smuzów Morcinkową, zmarłą 25 XI 1937 w 84 roku życia. Serdeczny przyjaciel Morcinka i bibliofil wielki, Jan z Bogumina Kuglin, typograf poznański, przedrukował ów wiersz w osobnej arcywytwornej książce, którą — jak sam pisze — „składał, tłoczył i wydał jako skromny, wyraz swego hołdu, czci i przywiązania do Zmarłej...” Pięknej tej książki wytłoczono 25 egzemplarzy do prywatnego użytku Teresy i Gustawa Morcinków. L. B.

T-wo Przyjaciół Słowaków im. L. Sztura

1. W czerwcu 1936 r. grono osób od dłuższego już czasu pracujących na niwie polsko-słowackiego zbliżenia kulturalnego, zebrało się w Warszawie, aby dotychczasowe wysiłki pogłębić przez znalezienie wspólnych form organizacyjnych. Tak powstało T-wo Przyjaciół Słowaków im. L. Sztura, które biorąc sobie za patrona wielkiego słowackiego męża, przystąpiło do pracy.

Biorąc za zadanie z jednej strony popularyzowanie kultury słowackiej w Polsce, z drugiej zaś doprowadzenie do ściślejszych niż dotychczas stosunków polskiej nauki, literatury i prasy ze Słowacją, T-wo prowadziło ożywioną działalność prasową i publicystyczną, starając się zaznajamiać polską publiczność ze wszystkimi dziedzinami życia kulturalnego Słowacji. Dzięki staraniom T-wa zwiększyła się ilość przekładów z poezji słowackiej; szereg tych przekładów drukowano m. in. na łamach „Ziemi Podhalańskiej” i „Przemian”. Dokonano też kilku przekładów nowel słowackich, m. i. Jesenskiego, Jegego i i. W grudniu 1937 r. urządziło T-wo Akademię Słowacką z bogatym programem artystycznym, m. in. pieśniami ludowymi słowackimi i recytacjami przekładów poezji słowackiej przez Jaracza.

Dla spopularyzowania spraw słowackich w Polsce podjęło T-wo zbiorowe wydawnictwo o Słowacji, którego tom pierwszy, pod redakcją prof. W. Semkowicza, obejmujący prace dra W. Olszewicza „Sło-

wacja w piśmiennictwie polskim", dra M. Gotkiewicza „Od Dunaju po Tatry” i dra W. Bobka „Lud słowacki”, ukazał się z końcem ubiegłego roku¹⁾. O dwóch pierwszych pracach tego tomu pisał na łamach „Zarania” F. Kulisiewicz (1938, zesz. 1, str. 56—58). W roku bieżącym wydało T-wo dwie rozprawki, wskazujące na możliwości współpracy kulturalnej polsko-słowackiej na Śląsku Cieszyńskim²⁾ i na Podhalu³⁾.

Towarzystwo utrzymuje żywy kontakt z szeregiem słowackich instytucji kulturalnych, wymienia i pośredniczy przy wymianie czasopism naukowych i literackich itd. Poza tym współdziałało przy witaniu gości słowackich w Polsce, jak ks. A. Hlinki z towarzyszami latem 1937 r., Słowaków z Ameryki itd. T-wo posiada swe delegatury miejscowe w Krakowie, Katowicach, Poznaniu, Częstochowie, Cieszynie i Zakopanem. Zarząd T-wa, wybrany w grudniu 1937 r., stanowią: sen. Feliks Gwiżdż jako prezes, prof. Wład. Semkowicz i dr Waclaw Olszewicz jako wiceprezesi, oraz prof. Walery Goetel, prof. J. Gołabek, ks. Leopold Biłko i Jan Reychman jako członkowie zarządu.

2. Delegaturę cieszyńską T-wa Przyjaciół Słowaków im. L. Sztura założono na zebraniu w Cieszynie dnia 2 kwietnia br. W zebraniu tym wzięli udział: burmistrz m. Cieszyna R. Halfar, sen. F. Gwiżdż,

ks. Emanuel Grim, Jan Wantuła, ks. Andrzej Wantuła, dyr. Fr. Popiołek, dr W. Olszewicz, prof. F. Kulisiewicz, Gustaw Morcinek, delegat T-wa im. L. Sztura w Katowicach dr St. Kipta i sekretarz T-wa J. Reychman z Warszawy.

Zebraniu przewodniczył R. Halfar, a zagał go F. Gwiżdż, wyjaśniając cele i zadania T-wa im. L. Sztura, po czym dr Olszewicz wygłosił krótki referat, wskazujący na tradycje i perspektywy polsko-słowackiej współpracy na terenie cieszyńskim. Po referacie rozwinęła się dyskusja, w której wzięli udział wszyscy obecni. Dyskusja ta wykazała zupełną jednomyślność, jeśli idzie o założenie w Cieszynie delegatury T-wa Przyjaciół Słowaków im. L. Sztura. Do zadań tej delegatury należeć ma m. i. podtrzymywanie dalszych stosunków kulturalnych ze Słowakami, organizowanie wycieczek na Słowację, zainteresowanie sprawami słowackimi czasopism, głównie cieszyńskich, sprowadzanie książek i czasopism słowackich do Muzeum Cieszyńskiego, przyjmowanie wycieczek słowackich itd.

Do zarządu delegatury wybrano dyr. Fr. Popiołka jako przewodniczącego, G. Morcinka jako sekretarza, ks. E. Grima i ks. A. Wantułę.

Wystawy na Śląsku

Nawiązując do zestawienia, obejmującego wystawy na Śląsku w latach 1932—1937, ogłoszonego w wydany niedawno tomie szóstym „Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku” (str. 493—506), pragniemy co pewien czas zestawiać owe wystawy „na bieżąco” niejako, by tym samym ułatwić pracę przyszłemu kronikarzowi ruchu wystawowego na Śląsku. W notatce niniejszej rejestrujemy wystawy z pierwszej połowy roku 1938. I tak:

Po pięknej wystawie Czesława Kuryatto w salach Domu Oświatowego (Katowice, Francuska 12) w dniach 14 XII 1937 — 10 I 1938 i wystawach Adama Bunsch a w Białej (grudzień 1937) i w War-

¹⁾ Słowacja i Słowacy, Praca zbiorowa pod redakcją Władysława Semkowicza, Tom I, Kraj i lud, Kraków 1937 (Nakładem Sekcji Słowackiej Towarzystwa Słowiańskiego w Krakowie, Drukarnia Krakowskich Zakładów Graf. i Wyd.), 8^o, s. 268, 4 nlb.

²⁾ Waclaw Olszewicz, O polsko-słowackiej współpracy na terenie Śląska Cieszyńskiego, Warszawa 1938, Nakładem Tow. Przyjaciół Słowaków im. Ludewita Sztura (Drukarnia „Dziedzictwa” w Cieszynie), s. 29. — Praca ta ukazała się pierwotnie jako odbitka z „Zarania Śląskiego” (1934, s. 1—10), obecne więc wydanie jest drugim, przerobionym i uzupełnionym.

³⁾ Jan Reychman, O polsko-słowackiej współpracy na Podhalu, Warszawa 1938, Nakładem Tow. Przyjaciół Słowaków im. Ludewita Sztura („Drukarnia Lekarska”, Warszawa), s. 19. — Odbitka z „Ziemi Podhalańskiej”, 1938, nr 1.

szawie (styczeń 1938), notujemy trzy wystawy w Domu Sztuki w Katowicach (ul. Piłsudskiego 6). Wystawiał tam swe prace w lutym Radziejewski, uczeń Matejki, zaś w dniach 12—31 III Ignacy Hirszfang. Ostatnio odbywa się tam wystawa obrazów Vlastimila Hofmana.

W dniach 13 II — 6 III odbywała się w salach recepcyjnych Urzędu Wojewódzkiego i Sejmu Śląskiego wystawa obrazów i drzeworytów barwnych prof. Aleksandra Laszenki, znanego orientalisty polskiego. Wystawa ta, będąca wystawą jubileuszową artysty, obejmowała 68 obrazów olejnych z ostatniego okresu twórczości, obrazów, będących owocem podróży Laszenki na Wschód, do Hedżasu, Transjordanii, Syrii, Palestyny i Egiptu. Osobną salę zajęły drzeworyty barwne (m. i. także 4 słabsze drzeworyty Ludmiły Laszenko).

W kwietniu urządził w Klubie Towarzystw wystawę swych prac Józef Chlebus, w salach zaś recepcyjnych Urzędu Wojewódzkiego z okazji Tygodnia Ligi Morskiej i Kolonialnej odbyła się wystawa kolonialna, w ramach której wystawił cały szereg swych kapitalnych rzeczy marynistycznych Marian Mokwa¹⁾. W tym samym czasie w holu gmachu Urzędu Wojewódzkiego odbywała się wystawa (zwana „kiermaszem”) młodych malarzy warszawskich.

W ciągu maja sale recepcyjne Urzędu Wojewódzkiego gościły wystawę Józefa Kidonia, obejmującą — według drukowanego katalogu — prac 80. W rzeczywistości prac tych było tam mniej i całego szeregu portretów, wymienionych w spisie, wcale oglądać nie było można. Wystawa ta, obejmująca głównie prace portretowe z dość długiej przestrzeni lat, spotkała się z entuzjastyczną oceną. Niektóre oceny cechował niestety entuzjazm fałszywy...

¹⁾ Krótką monografię Mokwy ogłosił Antoni Chocieszyński, *Malarz morza*, Gryf, r. 8: 1934, nr 4, str. 13—15 i tabl.

X Targi Katowickie (w czasie od 22 V do 6 VI 1938) nie zorganizowały tym razem działu sztuki, — a szkoda, bo obrazy byłyby, jak poprzednio, atrakcją tych Targów i urozmaicałyby monotonię automobilowo-monopolową...

Prócz wystaw wymienionych powyżej, odbyła się w pierwszej połowie bieżącego roku wystawa zbiorowa artystów niemieckich, o której jest mowa poniżej.

Wystawa artystów niemieckich w Katowicach

Od 24 IV do 3 V br. odbywała się wzorem lat ubiegłych w ognisku niemieckim wystawa prac artystów niemieckich pt. „Deutsche Kunst in Polen”. Zaproszeni zostali do wzięcia w niej udziału artyści narodowości niemieckiej z całej Polski, ale przeważała liczba artystów zamieszkałych w województwie śląskim. Na 19 przedstawicieli, którzy wystawili swe prace, zaledwie trzy nazwiska są związane z innymi środowiskami (dwa z Łodzią, jedno z Poznaniem).

O poziomie większości i to grubej większości wystawionych prac powiedzieć trzeba, że nie tylko nie był rewelacyjny, ale nawet dość niski — amatorski, szkolny. W dziedzinie malarstwa najliczniej obelanej można wymienić zaledwie trzy nazwiska artystów (K. Polent, R. Kober, Grete Herzig-Woinar), którzy wykazują jakieś zainteresowanie problemami plastyki i kulturę malarską — inni w ogóle się nie liczą. Wśród innych dziedzin korzystnie wyróżnia się talent ilustratorski W. Heiera, obracającego się w sferze dobrze podchwyczonej groteski i pogodnego humoru oraz ceramika z dekoracjami malarskimi Hanny Noglińskiej i K. Polenta.

G. Morcinek po grecku i francusku

Nawiązując do notatki o drugich wydanach i tłumaczeniach G. Morcinka (Z. S., 1937, 46—50), podajemy poniżej za „Kulturą” (1938, 8) następujące szczegóły: „Pisarz i publicysta grecki Spyros Melas, który w sierpniu ubiegłego roku objechał sa-

mochodem prawie całą Polskę, zamieścić w dzienniku ateńskim ELEFThERON VIMA dłuższy artykuł o twórczości G. Morcinka. Równocześnie w dzienniku tym ukazała się nowela Morcinka „Gryzelda”. — W paryskim tygodniku GRINGOIRE ukazała się nowelka G. Morcinka „Wiara”, opisująca przeżycia zasypanych w kopalni górników. Przekładu dokonała p. Strowska-Regamey.”

List do Redakcji

W związku z artykułem p. M. Pilchówny pt. „Król Wisły” w góralskim nrze „Zarania Śląskiego” (1937, nr 3, s. 209—212), pozwalam sobie zwrócić uwagę Szan. Redakcji na zawartą tam nieprawdę. Z „dobrą gospodarką” w gminie i „działalnością patriotyczną” śp. Raszki miałem niestety za dużo do czynienia, a żeby przyklasnąć temu, co p. M. Pilchówna o tym pisze. Z jej strony może to i pięknie, że tak wybiela Raszkę, którego działalność jako mała wówczas dziewczyna zresztą śledzić nie mogła, ale niech prawdy tej nie pieczętuje tak cennym piśmem, jakim jest „Zaranie Śląskie”. Żyje jeszcze sporo ludzi poważnych i względem Polski zasłużonych, którzy o gospodarce „króla Wisły” i jego polskości zbyt wiele na jego niekorzyść powiedzieć by mogli.

Nie wolno stawiać za wzór „polskości” typów w rodzaju „Zabuczana”. Tacy szkodnicy nie mogli podtrzymywać ducha polskiego. Sama autorka pisze o nim, że „nie znosił nowinek o t. zw. Polsce, z szyderstwem i ironią odnosił się do nowych porządków” w odbudowanej już Polsce, a hymn narodowy „Boże coś Polskę” nazywał „gupotką” (Z. Ś., 1935, z. 4, str. 270). P. M. P. twierdzi, że „takim typom głównie zawdzięczamy utrzymanie polskości i jej odrodzenie w następnych pokoleniach” (str. 212).

Pisząc o „królu Wisły” (Zaranie Śląskie, r. 13: 1937, z. 3, str. 210), potrafi autorka twierdzić, że „człowiek ten (Raszka) nigdy nie poszedł w ślady renegeatów”, albo

jest zdania jeszcze pochlebniejszego. Na str. 211 p. P. pisze, że Raszka „przyjmował agitatorów polskich bez cienia nienawiści... lecz i bez zapachu”. Tak robią ludzie siedzący dla wszelkiej pewności na dwóch krzesłach, ludzie bez ideałów. Albo to wynoszenie z Wisły pstrągów, sera, baranów itp. rzeczy w charakterze podarków dla panów Niemców w Bielsku, Cieszynie itd. Czy nie było to raczej przekupstwem? Trzeba było dodać, z czyjej kieszeni były pokrywane te podarunki, czy „król Wisły” bezinteresownie wyciągał ludzi z aresztów i innych nieprzyjemności, oraz czy działo się to w wypadkach, gdy chodziło o jednostki niemające.

Gospodarował dobrze, owszem, ale dla siebie. Kiedy władze austriackie zaferowały gminie nową szkołę (pięcioklasówkę!), to dobry gospodarz zamknął plany w biurku i nie dopuścił do budowy szkoły, „boby nioł gdo krów paś”. A znaną była do niedawna t. zw. „pajta”, do której za R. dostać się było można tylko przez kałuże gnojówki i kupy nawozu. W dni targowe, bywało, nie mogły wchodzić dzieci do klasy, ponieważ „gazdowie” u klamki klasy wiązali bydło, co ustało dopiero na skutek doniesień do władz szkolnych. Raszka był też krzewicielem pijaństwa w Wiśle. Jako „Verleger” arcyksiążęcy pobierał gażę miesięczną za tę funkcję wraz z premiami za konsumpcję gorzałki ponad wymiar kontyngentu rocznego. Za gorliwą pracę w tym kierunku przyznała mu Komora dożywotnią emeryturę. Krótco przed wyborami w gminie, lub w innych wypadkach ważniejszych, objeżdżał wszystkie gospody z „upominkami” o zapłaty zaległe, nie egzekwował ich jednak, o ile sprawa poszła po jego woli. O innych sprawach woleł zamilczeć, gdyż to wystarcza chyba dla uspokojenia autorki „Króla Wisły”, by „na dźwięki napływającej tu fali nowego życia — to stare, w mrokach wszechświata drgające serce, choćby przez chwilę nie odczuło żalu za tę swoją krzywdę, brak delikatności ludzkiej — do Polski”. Nie, śp. Raszka wiedział dobrze, czy mu Polska co winna i ina-

czej by się sam dziś o niej wyrażał, choćby dla samych wyrzutów sumienia. Zrozumiałby też może lepiej, dlaczego jego królowaniu w Wiśle położyli kres — „ci, co do zrozumienia jakiegokolwiek idei... nie dorosli” (słowa autorki), oraz to, że inaczej stać się nie mogło, nie śmiało!

Andrzej Podzorski.

Sprostowanie

W notatce Jana Brody „O Tygodniu Gór i grupie wiślańskiej”, zamieszczonej w „Zaraniu Śląskim” (1937, nr 4, s. 280—281), znajduje się szereg błędów sprawozdawczych, które jako ogólny kierownik wszystkich grup śląskich na „Tydzień Gór” w Wiśle prostuję: 1) W programie śląskim podczas Tygodnia Gór wiślanie wystawili trzy obrzędy: „moiczek”, „kolędników” i „czepiny” („kolędników” odegrali wiślanie, a nie istebnianie!). 2) Istebnianie wystawili jeden obrzęd, „szkubaczki”, a nie „prządki”, jak mylnie podano. 3) Wszystkie zespoły wspólnie, a więc istebnianie, ustronianie i wiślanie, wystawili „dożynki”. — Ponieważ błędy powyższe zaważyły na całości notatki, uważam za wskazane sprostować je niniejszym. Zdanie „Można by ich pominąć (wiślanów), bo nie dali nic nowego...” jest ze wszechmiar krzywdzące. Wiślanie jako gospodarze starali się zaprezentować jak najlepiej. Notatkę p. Brody uważam wobec tego co najmniej za złośliwą.

Drozd Jerzy.

Do wiadomości czytelników „Zarania”

W tomie XVII „Prac Filologicznych” (Warszawa 1937, str. 157—171) zamieściłem „Krytyczne uwagi o drugim wydaniu Roździeńskiego *Officina ferraria*”. W krytyce swojej wychodziłem ze stanowiska ściśle naukowego, uwagi utrzymane były w tonie rzeczowym. Odpowiedział na nie prof. Pollak w „Zaraniu Śląskim”, r. 14: 1938, z. 1, str. 44—47. Wnosząc dyskusję do „Zarania

Śląskiego”, wyrzekł się gruntu naukowego, językoznawczego, bo wszak „Zaranie Śląskie”, pismo pożyteczne, dla którego mam najpełniejsze uznanie, nie jest organem ściśle naukowym i nie jest przede wszystkim organem językoznawczym, a moje uwagi obracały się w granicach krytyki językoznawczej wydania. Wobec tego nie mogę i nie chcę odpowiadać prof. Pollakowi w „Zaraniu Śląskim”, ale swoją replikę wydrukuję w najbliższym, tj. XVIII tomie „Prac Filologicznych”, dokąd też czytelników „Zarania Śląskiego” odsyłam.

Notatka powyższa powinna się była pojawić w z. 2 „Zarania Śląskiego”. Nie stało się tak dlatego, że z. 1 dostał mi się do rąk późno, dopiero po wyjściu zeszytu 2.

Edward Klich.

Jeszcze o kościele wiślańskim

W poprzednim zeszycie „Zarania Śląskiego” ogłosił ks. Józef Buryan artykuł pt. Deska dokumentem, w którym przy pomocy dużego odczytania i skrzętnie zebranych notatek historycznych stara się udowodnić, że kościół katolicki we Wiśle cieszyńskiej istnieje od r. 1444. Ponieważ twierdzenie to sprzeciwia się temu, co napisał ks. Wantuła o początkach osadnictwa we Wiśle (Zaranie Śl., 1933, 158—169) i podpisany w „Dziejach Wisły Ciesz.” (Z. Ś. 1937, 132—154), nie mogę go pozostawić bez odpowiedzi.

Kościół nie mógł istnieć we Wiśle już w r. 1444, bo Wisły jeszcze w tym czasie nie było. Pierwszy spis powinności chłopskich z r. 1577, zestawiony po spaleniu się dawniejszych spisów podczas pożaru zamkowego w r. 1570, nie zawiera wzmianki o Wiśle cieszyńskiej. Nie było Wisły jako zorganizowanej wsi w r. 1615, skoro rozkazy jej mieszkańcom wydawał wójt cisownicki, ani w r. 1623, kiedy jeden z pierwszych osadników zgłaszał sprzedaż młyna i piły we Wiśle na zebraniu wielkiej gromady w Cisownicy, a powtórzył to zgłoszenie już we Wiśle dopiero w r. 1644, tj. w tym roku, od

którego wiślanie mieli płacić księciu czynsz od gruntów im przydzielonych. Przy tej sposobności jest po raz pierwszy wzmianka o kościele we Wiśle, w tym miejscu, gdzie stoi obecnie kościół katolicki, tj. najstarszej części wsi.

Ks. Buryan przypuszcza, że wieś istniała już w XV wieku, ale jej nie wymieniono w spisie, bo mieszkańcy jeszcze nie uiszczali opłat, co jest historycznie niemożliwym. Nie jest możliwym istnienie wsi w czasie sporządzenia spisu, czy t. zw. urbarza, bo by jej w takim razie nie pominięto w spisie. Nie jest możliwym istnienie wsi, której mieszkańcy, otrzymawszy grunta od księcia, nie płaciliby z nich czynszu księciu. Osadników przyjmowano i przydzielano im grunta dlatego wyłącznie, żeby z nich mieć dochód w postaci czynszów i różnych danin w naturze. Zazwyczaj, ale nie zawsze, uwalniał ich książę na pewien czas od opłat, aby im umożliwić zagospodarowanie się, oczyszczenie gruntu z pni i zarośli i przysposobienie go do uprawy roli, ale ta wolność rozciągała się najdłużej na 20—24 lat, i to przy osadach całkiem nowych, we wsiach zaś już istniejących, dla poszczególnych nowych osadników, ograniczała się od jednego do 6 lat najwyżej. Natomiast jest absolutnie wykluczonym, żeby istniała wieś i to taka z kościołem już w r. 1444, a nie płaciła czynszu jeszcze do r. 1644, czyli przez całe 200 lat. Takiego wypadku nie zna historia osadnictwa.

Porównanie z Lipowcem, gdzie kościół istniał już w XIV wieku, a wizytator biskupi z XVII w. pisze o nim, że został zbudowany przez protestantów, nie dowodzi niczego, gdyż kościół jako instytucja istniał w tej wsi, należącej do najstarszych na Śląsku Cieszyńskim, od dawna, ale jako budy-

nek musiał zniszczyć do XVII wieku i został zbudowany na nowo przez protestantów, którymi wówczas byli wszyscy mieszkańcy Lipowca.

Twierdzenie swoje o założeniu kościoła wiślańskiego w r. 1444 opiera autor artykułu na desce kościelnej z cyfrą 1444, która miałaby oznaczać datę założenia kościoła. Deska ta nie istnieje, nikt z piszących o tej sprawie jej nie widział ani nie sprawdził napisu na niej. Urzędnik kameralny w swoim opisie urbarialnym Wiśły sprzed stu lat tak o tym pisze: „Na starym drewnianym wieszadle, które teraz jest na probostwie, a według zgodnej opinii mieszkańców pochodzi z zakrystii, jest wycięta liczba 1444 i nazwisko: Jerzy Reiss”. Z tego wynika, że owa deska miała być za jego czasów na probostwie, ponieważ jednak probostwa we Wiśle nie było (i nie ma), zatem liczba wspomniana może się odnosić tylko do kościoła ustronńskiego, jeżeli w ogóle odnosi się do kościoła, co jest prawdopodobnym, ale nie udowodnionym. Gdyby nawet zatem ta „mityczna” deska rzeczywiście istniała i napis na niej został stwierdzony, to i tak nie dowodziłoby to jeszcze istnienia kościoła w Wiśle ciesz. w XV wieku wobec argumentów przemawiających przeciw temu twierdzeniu. Do nich należy sprawozdanie wizytatora biskupiego z Wrocławia z XVII wieku, czyli najbliższego świadka sprawy, który powiada, że kościół zbudowali heretycy, a więc nie w XV wieku. Sprawozdania te i wiadomości w nich zawarte nie zostały dotychczas zakwestionowane przez nikogo. Na nich oparł ks. Londzin swą cenną pracę o kościołach drewnianych na Śląsku i przedrukował je w całości dr Morr w czasopiśmie „Zeitschrift f. Geschichte und Kulturgeschichte Schlesiens”. Fr. P o p i o ł e k.